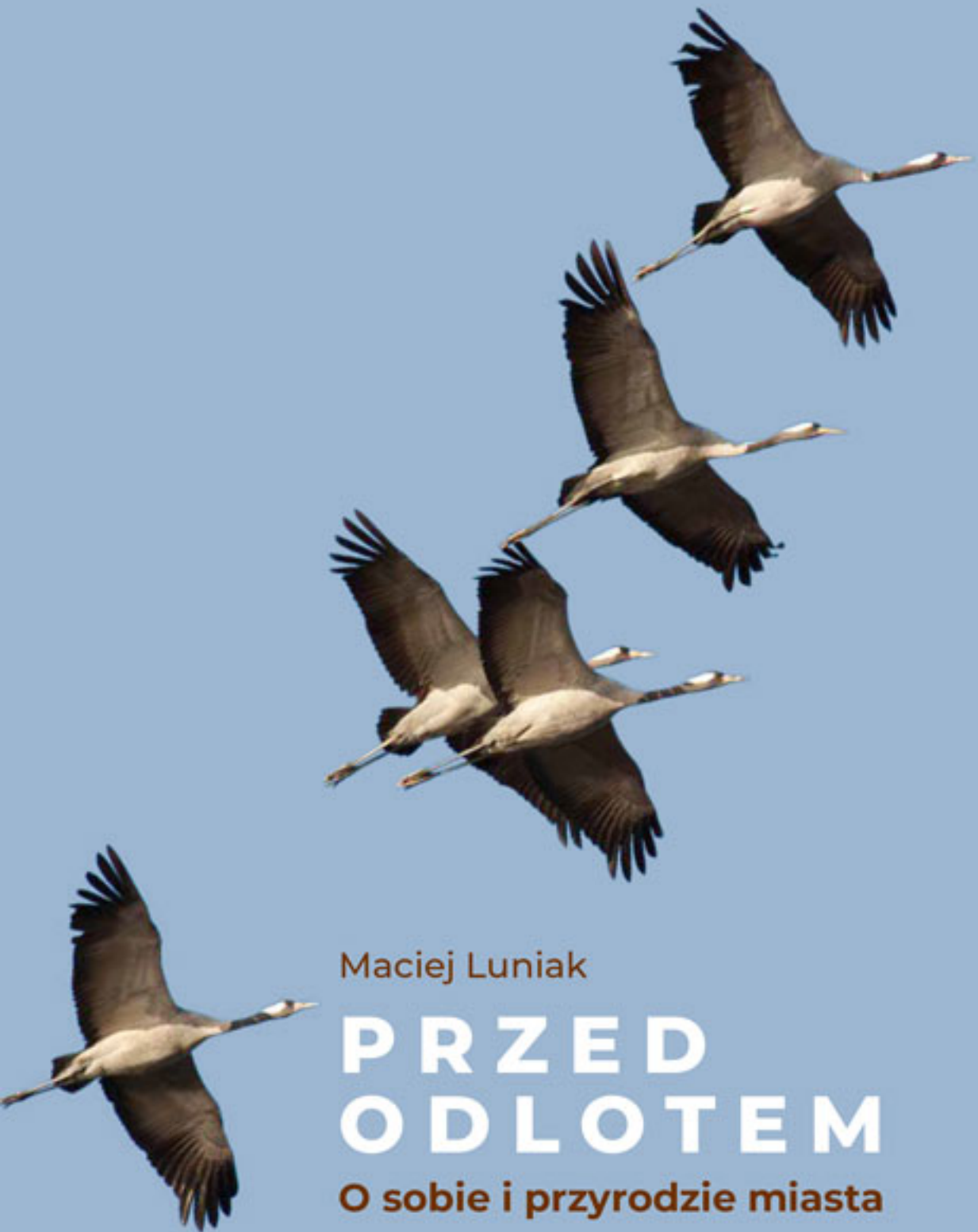

Maciej Luniak

PRZED ODLOTEM

O sobie i przyrodzie miasta

Maciej Luniak

PRZED ODLOTEM

O sobie i przyrodzie miasta

MULTICO Oficyna Wydawnicza

Osobom i ptakom,
z którymi
byłem blisko

SPIS TREŚCI

Rozdział 1	O SOBIE I O KSIĄŻCE	7
Rozdział 2	ROZGAŁĘZIONE KORZENIE RODZINY	12
Rozdział 3	LUNIAKOWIE WE WSI MOKOTÓW	15
Rozdział 4	OKUPACJA OCZAMI DZIECKA	20
Rozdział 5	POWSTANIE I NA WYGNANIU	29
Rozdział 6	LATA SZKOLNE W WARSZAWIE	35
Rozdział 7	W ŚWIDRZE I W OTWOCKIM LICEUM	37
Rozdział 8	JAK ZACZĘŁO SIĘ Z PTAKAMI	46
Rozdział 9	NA STUDIACH	51
Rozdział 10	SZUKAM PRACY – MYSZY I SZCZURY	59
Rozdział 11	W INSTYTUCIE ZOOLOGII PAN – OD PUCYBUTA...	65
Rozdział 12	ZABIJAŁEM PTAKI	74
Rozdział 13	MOJA DZIELNICA – ZIELONE BIELANY	79
Rozdział 14	Z WISŁĄ	88
Rozdział 15	PTASIARZE?	98
Rozdział 16	KLUB PTAKOLUBÓW	105
Rozdział 17	PTAKI WARSZAWY	109
Rozdział 18	FAUNA MIASTA	117
Rozdział 19	W KANADZIE I PTAKI PRZECIW SAMOLOTOM	125
Rozdział 20	SKRZYNKI ZAMIAST DZIUPLI	136
Rozdział 21	PARKI EKOLOGICZNE	146
Rozdział 22	WARSZAWSKIE SOKOŁY	157
Rozdział 23	MIESZKAM Z DZIKIM ŻYCIEM	163
Rozdział 24	ZMIANY WOKÓŁ MNIE	174
Rozdział 25	CIEKAWOSTKI, KTÓRE MI SIĘ ZDARZYŁY	177
Rozdział 26	PRZED ODLOTEM	197

Zdjęcia pochodzą z archiwum rodzinnego Autora
oraz od osób, których nazwiska zamieszczono
przy fotografiach;
s. 5 – Urząd Dzielnicy Bielany/Małgorzata Sokół
s. 200 – Urząd Dzielnicy Bielany/Wojciech Artyniew

Zdjęcia na okładce:
s. I – Marek Długosiewicz
s. IV – Magda Dziadosz

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Marta Zięba

Opracowanie redakcyjne: Ewa Ankierszejn

Produkcja: Sylwia Karczyńska

© Copyright by MULTICO Oficyna Wydawnicza,
Warszawa 2022
Wszelkie prawa zastrzeżone

Rok wydania 2023

Wydawca:
MULTICO Oficyna Wydawnicza sp. z o.o.
tel. 22 564 08 00
e-mail: biuro@multicobooks.pl
www.lasksiazek.pl

ISBN 978-83-7763-657-2

Wydano na zamówienie Urzędu Dzielnicy Bielany
m.st. Warszawy

Warszawa
Bielany

Drodzy Czytelnicy,
trzymają Państwo w ręku książkę autorstwa Profesora Macieja Luniaka, opisującą jego barwne życie – badacza i miłośnika przyrody, a jednocześnie przyjaciela bielańskiego świata roślin i zwierząt. Szczególnie bliski sercu Profesora jest Las Bielański, zielona wizytówka dzielnicy – 60 lat temu Maciej Luniak był jednym z inicjatorów ustanowienia Lasu rezerwatem przyrody. Od tamtego czasu zaczął zajmować się bardziej wnikliwie przyrodą naszej dzielnicy, a wynikami badań dzielił się w publikacjach, w tym w obszernej monografii *Przyroda Bielan warszawskich* (wyd. I 2010, wyd. II 2013), opracowanej z udziałem 48 współautorów o różnych specjalnościach.

Profesor Maciej Luniak wiele razy służył swoją wiedzą i doświadczeniem przy konsultowaniu i opracowywaniu opinii w sprawach związanych z zielenią i ptakami. Jako nasz sąsiad, mieszkaniec Starych Bielan, często jest gościem wydarzeń organizowanych przez Urząd Dzielnicy. Szczególnie chętnie, jak sam przyznaje, odwiedza co roku piknik edukacyjny Bielański Dzień Ptaków organizowany w parku Olszyna.

W ciągu ostatnich kilku lat w naszej dzielnicy (i w całej Warszawie) zmienił się sposób utrzymania zieleni miejskiej – coraz bardziej dąży się do nadania jej naturalnego charakteru. Nawet w najbliższym otoczeniu – w domu, na balkonie, w ogródku – mamy „dzikie życie", które warto poznać. Najbardziej widoczną jego częścią w mieście są ptaki. Dbając o dobre sąsiedztwo, zapewniamy im miejsca lęgowe w specjalnych skrzynkach. Z kolei sokoły wędrowne – atrakcja ornitologiczna Warszawy, upodobały sobie wieżowce na osiedlu Marymont (zarówno po części bielańskiej, jak i żoliborskiej), a nawet tu gniazdowały. Maciej Luniak przyczynił się do przywrócenia tych ptaków Warszawie, po wieloletniej nieobecności.

W uznaniu dokonań na rzecz ochrony przyrody Profesor został wyróżniony, z inicjatywy Samorządu Bielan, m.in. Nagrodą Miasta Stołecznego Warszawy (2017) i Odznaką Honorową Zasłużonego dla Warszawy (2018). W 2021 roku otrzymał nagrodę w kategorii „Bielański Autor" przyznaną podczas Bielańskiej Gali Kultury. Publikacja *Przed odlotem. O sobie i przyrodzie miasta* jest kolejnym uzasadnieniem dla tych nominacji.

Cieszę się, że Dzielnica Bielany uczestniczy w wydaniu tej książki – opowieści o pasji ornitologicznej, która trwa już kilkadziesiąt lat!

Czytelnikom życzę miłej lektury. Jestem przekonany, że dzięki tej publikacji zaprzyjaźnią się Państwo z miejską (więc też bielańską) przyrodą.

Grzegorz Pietruczuk
Burmistrz Dzielnicy Bielany
m.st. Warszawy

Warszawa, grudzień 2022 roku

Rozdział 1

O SOBIE I O KSIĄŻCE

Ta książka to spojrzenie wstecz na ponad osiem dekad mojego życia. We wstępnych rozdziałach opowiadam w niej, jak moja rodzina, polska od trzech pokoleń, wyrosła z korzeni czterech narodowości, jak oczami dziecka widziałem czasy okupacji, jak dorastałem w latach powojennych, jak znalazłem swoje zamiłowanie i drogę zawodową – ptaki. Główna treść dotyczy jednak tego, czym zajmowałem się jako przyrodnik. Nie są natomiast te wspomnienia pamiętnikiem życia osobistego i rodzinnego.

Z wykształcenia jestem zoologiem ekologiem, przez prawie całe życie pracowałem w tej dziedzinie naukowo, a moją specjalnością i hobbystyczną fascynacją są ptaki (ornitologia). W badaniach naukowych oraz związanej z nimi innej działalności szczególnie interesuje mnie żywa przyroda miasta, a w niej ptaki. Książka w znacznej części jest temu poświęcona.

Studiowałem i zrobiłem doktorat na Wydziale Biologii Uniwersytetu Warszawskiego. Tytuł naukowy profesora otrzymałem od prezydenta Lecha Wałęsy. Prawie od początku pracy zawodowej byłem związany z Muzeum i Instytutem Zoologii Polskiej Akademii Nauk, który wcześniej zmieniał nazwę (dalej używam nazwy Instytut Zoologii), a po przejściu na emeryturę nadal jestem jego współpracownikiem. Nie uczestniczę już aktywnie w badaniach naukowych, natomiast kontynuuję dotychczasową działalność na rzecz ochrony przyrody

Z żoną Anną i prezydentem Lechem Wałęsą w Belwederze po wręczeniu tytułu profesora, 1992 rok, fot. Magda Luniak

– w publikacjach, w mediach i w bezpośrednich kontaktach z publicznością, również jako ekspert i konsultant. Mam (2021 rok) w dorobku ponad 400 publikacji – około 213 naukowych i około 244 popularnonaukowych. Wypromowałem sześciu doktorantów.

Z dwiema dziedzinami warunkującymi codzienne funkcjonowanie – zdrowiem i praktyką informatyczną (IT) – daję sobie radę z trudnościami narastającymi z wiekiem. Mieszkam wygodnie, w otoczeniu starych drzew, na warszawskich Starych Bielanach (to zielona dzielnica!). Sam od śmierci żony Anny w 2008 roku. Łączy mnie bliska przyjaźń z Elą. Mam córkę Magdę, zięcia Philippa, Niemca, i parkę wnuków – Hanię i Emilka.

Magda i Philipp poznali się na wspólnym stażu stypendialnym informatyków. Pobierając się, przyjęli nazwisko Luniak. Mieszkają w Berlinie, więc w odległości krótkiego lotu lub kilku godzin podróży pociągiem, co pozwala nam na dość częste (i serdeczne!) kontakty.

Cieszy mnie, że w ich rodzinie dba się o polskość. Philipp pracowicie (na kursach) nauczył się polskiego. Rozmawiam z nim w tym języku. Dzieci też mówią po polsku równolegle z niemieckim. Sprzyjają temu ich wakacyjne i częste weekendowe pobyty w naszym kraju.

Większość osób z mojego pokolenia – wśród rodziny (m.in. młodszy brat Sławomir, 1937–2010), przyjaciół i w środowisku zawodowym – już odeszła, a nowe znajomości nie są ich naturalnym zastępstwem. Odszedł także kot Agent, który – przygarnięty z ulicy – przez 17 lat był naszym domownikiem. Do dziś pozostał po nim domowy zwyczaj niedomykania drzwi od łazienki, gdzie miał swoje „miejsce" z piaskiem. W garażu leni się samochód. Kiedyś miewał przebieg niewiele większy od kilometrażu, który dawniej wykręcałem na rowerze. Rower, obok metra, jest naszym (z Elą) podstawowym środkiem przejazdów po mieście, także przyjemnością.

Magda, Philipp oraz wnuki Hania i Emilek

Z Elą na tarasie mojego mieszkania, fot. Joanna Radziejewska

W poglądach na istotę świata jestem agnostykiem przywiązanym do rodzinnej tradycji ewangelickiej. Podoba mi się naturalistyczny panteizm XVII-wiecznego myśliciela Barucha Spinozy (tożsamość Boga z przyrodą). Poza szkolną i studencką przynależnością do Związku Młodzieży Polskiej, w czasach tzw. Polski Ludowej prawie obowiązkową, nigdy nie byłem w żadnej organizacji politycznej. Jednak interesuję się sprawami kraju i świata, m.in. jestem zwolennikiem udziału Polski w integracji europejskiej.

Mój młodszy brat Sławek w 2004 roku – brak mi go…

Rower jest moją i Eli przyjemnością, także głównym środkiem przejazdów po mieście, fot. Joanna Radziejewska

Pisząc te wspomnienia, byłem świadomy dwóch niedostatków sięgania do przeszłości: pamięć osobista zamazuje się z wiekiem, a „zewnętrzna" niknie, bo coraz mniej jest uczestników i świadków opisywanych wydarzeń. Gdy spoglądam wstecz na swoje długie życie, któremu niejednokrotnie towarzyszyły barwne okoliczności, pojawia się bogactwo wspomnień i chciałoby się je wszystkie przekazać. Wiem jednak, że takie opowieści, gdy są zbyt obszerne, bardziej zaspokajają ambicje autora niż zainteresowanie u współczesnego czytelnika.

Wszystkie osoby wymienione imiennie w treści książki są autentyczne, także opisane w niej zdarzenia i sytuacje. Temu walorowi prawdziwości ma służyć częste powoływanie się na nazwiska i daty. Wiadomości ogólne, tworzące szersze tło moich wspomnień, są w tekście wydzielone. Wspomnienia zawarte w książce kończą się na 2021 roku.

Kot Agent był naszym domownikiem przez 17 lat, 2014 rok

Podziękowania

Dziękuję Urzędowi Dzielnicy Bielany za wydanie i promocję tej książki, w szczególności Panu Burmistrzowi Grzegorzowi Pietruczukowi, który o tym zdecydował, i Pani Paulinie Szczuczko-Jędruszak pilotującej (skutecznie!) sprawę.

Dziękuję też MULTICO Oficynie Wydawniczej za edycję książki w tak udanym kształcie, a Pani Redaktor Ewie Ankiersztejn – za trud i cierpliwość przy opracowaniu tekstu.

Mojej bratanicy Ewie Malewicz jestem wdzięczy za dane o rodzinnej genealogii, córce Magdzie i Eli Kłos ze bieżące opiniowanie powstającego tekstu, a za uwagi o manuskrypcie Państwu: Lidii Aniśkowicz, Jerzemu Axerowi, Przemysławowi Chylareckiemu, Melanii Dzieduszyckiej, Antkowi Gajewskiemu, Majce Główce, Andrzejowi Galubie, Magdzie Kwiecińskiej, Pawłowi Kozłowskiemu, Andrzejowi Lewandowskiemu, Ali Moskalewskiej-Lasocie, Joannie Saneckiej, Jurkowi Moraczewskiemu, Piotrowi Tryjanowskiemu, Dance Tymowskiej i Hannie Żelichowskiej.

Dziękuję autorom fotografii bezinteresownie użyczonych do zilustrowania książki – zostali oni wymienieni przy zamieszczonych zdjęciach, a Pani Hannie Żelichowskiej – za techniczne opracowanie niektórych zdjęć. Ilustracje, przy których nie podano autora, pochodzą ode mnie lub od osób bądź instytucji niezidentyfikowanych.

Za inspirację spisania tych wspomnień jestem wdzięczny Wydawnictwu Czarne i Panu Staszkowi Łubieńskiemu.

Rozdział 2

ROZGAŁĘZIONE KORZENIE RODZINY

Znane nam XIX-wieczne korzenie rodziny wyrastają z czterech narodowości. Ze strony ojca wywodzą się z dzisiejszych Czech, gdzie na pograniczu z Niemcami w regionie Uste doszukaliśmy się Johana Luňáka, urodzonego około 1802 roku w miejscowości Jiřikov (Georgswalde). W języku czeskim „luňák" to „kania" – ptak z grupy gatunków nazywanych potocznie drapieżnymi, a we współczesnej ornitologii szponiastymi. W Polsce i Czechach występują dwa gatunki kań – czarna (luňák hňédy) i ruda (luňák červený). I w obu krajach nazwiska wywodzące się od nazwy tego ptaka – w Czechach Luňák, a w Polsce Kania – są dość rozpowszechnione. Jest szczególnym przypadkiem, że to „ptasie" nazwisko zbiegło się z moją późniejszą życiową fascynacją ptakami i z zawodowym związaniem się z ornitologią.

Wspomniany Johan Luňák, z zawodu tkacz, w 1831 roku przeniósł się do Łodzi, wówczas burzliwie rozwijającego się ośrodka przemysłu – „ziemi obiecanej" z powieści Władysława Reymonta i filmu Andrzeja Wajdy. Tam, już jako spolonizowany Jan Luniak, ożenił się z łódzką Niemką. To czesko-niemieckie małżeństwo zapoczątkowało trwającą trzy pokolenia ciągłość klanu łódzkich Luniaków. Kolejni w tym rodzie: mój pradziadek Prokop Luniak (ur. ok. 1832 roku), ożeniony z Emilią Wegen (też była pochodzenia niemieckiego) i ich syn, a mój dziadek, Karol Luniak (1863–1943), byli mistrzami tkackimi – ówczesną arystokracją robotniczą.

Dziadek Karol wyłamał się później z łódzkiej tradycji Luniaków. Ożenił się z Elżbietą Bauer (1865–1935), pochodzącą z rodziny osadników holenderskich zamieszkałych na początku XIX wieku pod Warszawą (nazywano ich tu Olendrami), gdzie zajmowali się rolnictwem i ogrodnictwem. Dla żony dziadek Karol zmienił katolickie wyznanie na ewangelickie, przeprowadził się z Łodzi do Warszawy i z czasem porzucił pierwotny zawód. Babcia Elżbieta była więc dla niego przemożną motywacją, skoro tak gruntownie zmienił swoje życie. Z ich małżeństwa urodził się m.in. mój ojciec – Ryszard (1892–1951).

Ze strony taty są więc trzy obce narodowościowo korzenie polskiej współczesności Luniaków – czeskie, niemieckie i holenderskie. W aktualnej terminologii można by tu mówić o imigrantach, którzy jednak szybko znaturalizowali się w nowej ojczyźnie. Łódź była wówczas miastem wielonarodowym z burzliwie rozwijającym się przemysłem przyciągającym fachowców i przedsiębiorców z całej Europy. Zresztą cała rozbiorowa Polska nie była pod względem narodowym tak jednolita jak obecnie. Jednak te różne napływowe narodowości spajało polskie – językowe i kulturowe – tło miejsca osiedlenia.

Rodzina Luniaków. Tata Ryszard stoi za babcią Elżbietą, ok. 1910 roku

Natomiast korzenie rodziny ze strony mojej mamy są (prawie) czysto polskie. Pradziadek Aleksander Antoni Barycki (ur. 1839 rok), zubożały szlachcic zamieszkały w Warszawie, uczestniczył w powstaniu styczniowym i ranny trafił do majątku Wierzbica w okolicach Jędrzejowa w ziemi radomskiej. Widocznie znalazł tam dobrą opiekę, bo wkrótce ożenił się z córką właścicieli Wincencją Filipiną. Miał z nią dwóch synów, których niebawem osierocił. Wdowa, po odchowaniu synów, ponownie wyszła za mąż – za carskiego oficera. Jej synowie

Siedem pokoleń Luniaków i Baryccy

	Luniakowie	Baryccy
przodek	Johan Luňák później Jan Luniak (ur. 1802 w Czechach)	
pradziadkowie	Prokop (ur. 1833 w Łodzi) i Emilia z d. Wegen	Aleksander (ur. 1839) i Wincencja
dziadkowie	Karol (1863–1943) i Elżbieta z d. Bauer (1865–1935)	Julian (1864–1918) i Kazimiera z d. Werner (1868–1928)
rodzice	Ryszard (1892–1951) i Helena z d. Barycka (1906–1988)	
	Maciej (ur. 1936) i żona Anna z d. Fedon (1944–2008) brat Sławomir (1937–2010)	
dzieci	Magda (ur. 1980) i Philipp z d. Lenarz (ur. 1979 w Heidelbergu)	
wnuki	Hania i Emilek (ur. 2012 i 2015 w Berlinie)	

– z pobudek patriotycznych – zerwali wówczas kontakt z matką. Gdy znów owdowiała, opuszczona przez synów (zapewne też przez resztę rodziny), trafiła do przytułku – widać system socjalny carskiej armii nie zapewniał wdowich rent. Jej starszy syn, a mój dziadek, Julian Barycki (1864–1918), zamieszkały w Warszawie, ożenił się z Kazimierą Werner (1868–1928) ze spolonizowanej niemieckiej rodziny (więc znów imigranci), początkowo osiadłej w Kaliszu, a później w Warszawie. Niedawno na warszawskim Cmentarzu Ewangelickim odkryliśmy też grób pradziadka – Roberta Wernera (1844–1905), ojca babci Kazimiery. Moja mama Helena (1906–1988) była najmłodsza z dzieci Juliana i Kazimiery Baryckich.

Rodzina Baryckich. Mama Helena – najmłodsza, przytulona między rodzicami Kazimierą i Julianem, ok. 1910 roku

I tu znów, obok wyżej wspomnianego „ptasiego" znaczenia nazwiska Luniak, rodzinna ciekawostka ornitologiczna, znana z opowiadań mamy. Dziadek Julian trzymał w domu szpaka, którego nauczył odezwania: „Julciu, goście idą". Szpaki mają w naturze skłonność do naśladowania dźwięków z otoczenia i ich możliwości wokalne są dość szerokie, mogą więc przyswoić krótkie odezwania podobne do mowy. Szpak dziadka Juliana powtarzał swoje przywitanie, oczywiście bez związku z czyjąś wizytą. Trzymanie klatkowych ptaków było wówczas powszechne jako domowe „tło dźwiękowe" – dziś tę rolę spełnia sprzęt elektroniczny. Najczęściej trzymano intensywnie śpiewające ziarnojady – czyże, dzwońce, zięby, makolągwy, rzadziej kosy i szpaki. Kupowano je na bazarze od ptaszników. W bogatszych domach były też kanarki i papużki faliste.

Oba szlaki genealogiczne moich przodków – ze strony taty (Luniakowie) i mamy (Baryccy) – wychodzące z czterech narodowości i różnych stron Polski, zeszły się na warszawskim Mokotowie, wówczas poza rogatkami miasta.

Rozdział 3

LUNIAKOWIE WE WSI MOKOTÓW

Dziadek Karol, ok. 1940 roku

Dziadek Karol Luniak, żeniąc się z babcią Elżbietą, przeniósł się z Łodzi właściwie nie do samej Warszawy, a do wsi Mokotów, bo wówczas miasto kończyło się rogatkami na dzisiejszym placu Unii Lubelskiej. Obecnie jest to śródmiejska dzielnica, a ul. Puławska, gdzie zamieszkali moi przodkowie, jest jedną z głównych arterii Warszawy. Wówczas ulica ta nazywała się Nowoaleksandryjska – od Nowej Aleksandrii, jak na cześć cara Aleksandra I zaborca przemianował Puławy, od których pierwotnie została nazwana ul. Puławska.

Około 1914 roku dziadek Karol kupił w Mokotowie kamienicę i place, wówczas zapewne pola uprawne, które wkrótce uzyskały przeznaczenie budowlane. To zapoczątkowało trwający do dziś przeszło 100-letni związek majątkowy mojej rodziny z tą dzielnicą, głównie z ul. Puławską[1]. Tymi inwestycjami dziadek wykazał zmysł

[1] O Luniakach na Mokotowie zob. w: W. Kielak-Ciemieniewska, *Plac Unii i okolice*, EKBIN Studio PR, Warszawa 2013, s. 53–54, 219–220 i 241; P. Tanewski, *Wokół SGH. Domy. Ludzie. Zdarzenia*, t. 2, Oficyna Wydawnicza SGH, Warszawa 2014, s. 205–211.

do interesu, bo wieś Mokotów żywiołowo urbanizowała się i wkrótce (w 1916 roku) została włączona do Warszawy, co podniosło wartość zakupionych nieruchomości.

Jak było stać przybyłego z Łodzi tkacza – dziadka Karola – na te inwestycje? Wiemy, że łódzcy Luniakowie byli w swoim zawodzie mistrzami (wówczas majstrami) – kadrą nadzorczą, zapewne dobrze płatną. Do tego pewnie dołożył się też posag babci Elżbiety, córki holenderskich ogrodników osiadłych pod Warszawą. I mogła być jeszcze jakaś pożyczka. Poza znacznym wydatkiem na kamienicę zakupienie niewielkich wiejskich gruntów zapewne nie było kosztowne.

Dziadek Karol swoimi inwestycjami włączył się w deweloperski boom, jaki wywołało rozszerzenie granic miasta. W okresie międzywojennym cieszył się opinią szanowanego obywatela, działał społecznie w gminie ewangelickiej i łożył na jej cele. Między innymi był współfundatorem kaplicy w ewangelickim domu opieki Tabita w Konstancinie-Chylicach pod Warszawą, co upamiętnia wmurowana tam tablica.

Tablica w kaplicy ewangelickiego domu opieki Tabita w Konstancinie

Dziadka Karola dobrze pamiętam. Zajmował sąsiednie mieszkanie w naszym domu na Puławskiej, więc widywałem go codziennie. Przed samą wojną był majętnym człowiekiem. Żył wygodnie, miał gospodynię, panią Halinkę – pamiętam ją w białym półczepku okalającym włosy. Woził go kierowca dużym – jak na tamte czasy – czarnym chevroletem, który po wybuchu wojny przejęło wojsko. Dziadek mało korzystał z tego samochodu i nie mógł znieść, że kierowca bezczynnie przesiadywał w kuchni z Halinką. Wysyłał go po zakupy lub jako gońca – wtedy był to częsty sposób przekazywania korespondencji. Zawodowi szoferzy w tamtych czasach uważali się za elitę, dlatego kierowca zatrudniony przez dziadka traktował rolę „na posyłki" jako poniżenie.

Dziadek Karol zmarł podczas wojny, w 1943 roku. Nie dożył więc czasów PRL, gdy cały dorobek jego życia zawalił się wraz z osławionym tzw. dekretem Bieruta wywłaszczającym warszawskich kamieniczników.

Tata Ryszard, lata trzydzieste XX wieku

Tata Ryszard przy pierwszym „kawalerskim" samochodzie, Podkowa Leśna, wczesne lata trzydzieste XX wieku

Tata Ryszard przy „rodzinnym" samochodzie, niestety z tabliczką rajdu „Za Olzę", 1938 rok

Mój ojciec, Ryszard Luniak (1892–1951), studiował w Berlinie handel, potem prawo w obecnie ukraińskim Charkowie. Nie ukończył jednak tych studiów. To był burzliwy czas I wojny światowej, rewolucji w Rosji i odradzającej się Polski. Ojciec wstąpił do polskiego wojska, brał udział w kampanii 1920 roku przeciw bolszewikom i w głośnej odsieczy Lwowa. Ukończył służbę w stopniu podporucznika z odznaczeniami „Orlęta" i „Za Kampanię Ruską 36 pp Legii Akademickiej". Po wojnie ponownie zaczął studiować prawo, tym razem na Uniwersytecie Warszawskim. Znowu jednak przerwał studia, bo włączył się w działalność dziadka Karola – budowanie kamienic i zarządzanie ich wynajmem. Po dynamice kolejnych inwestycji można wnioskować, że było to zyskowne.

Wówczas budownictwo nie miało dzisiejszego charakteru przemysłowego, a rzemieślniczy – oparty na wysiłku ludzi i koni. Dom, w którym mieszkaliśmy, zbudowany przez dziadka Karola i tatę, był nowoczesny, z windami. Jako jeden

Wmurowanie kamienia węgielnego kamienicy. Na pierwszym planie bez kapelusza siedzi dziadek Karol, pośrodku stoi z teczką mama Helena, obok niej (po prawej) tata Ryszard. Od lewej stoją Stanisław i Konrad Orzechowscy (o nich w rozdziale 5), ok. 1938 roku

z pierwszych w Warszawie miał konstrukcję z tzw. żelazobetonu. Świadczy to o ich, a może tylko taty, podążaniu za postępem techniki budowlanej.

Baryccy, przodkowie ze strony mojej mamy Heleny (1906–1988), również mieszkali na ul. Puławskiej, po przeciwnej stronie niż Luniakowie. Lokatorami kamienicy, prawdopodobnie współnależącej do rodziców babci, były w dużej mierze rodziny żydowskie i tramwajarzy z sąsiedniej zajezdni. Najbliższą przyjaciółką z dzieciństwa mamy była Hawcia (Hawa – Ewa) z rodziny pobożnego Żyda, który spędzał czas na modlitwach i studiowaniu ksiąg teologicznych. O utrzymanie troszczyła się jego ciężko pracująca żona, traktując to jako naturalne, bo przecież „mąż modlił się za rodzinę". Przyjaźń z Hawcią skończyła się z jej emigracją w latach trzydziestych XX wieku do Palestyny.

Trzy pokolenia mokotowskich Luniaków – dziadek Karol, tata Ryszard i mój młodszy brat Sławomir

Mama Helena we wczesnych latach trzydziestych XX wieku

Natomiast co do tramwajarzy – wtedy było to środowisko o wysokim prestiżu zawodowym, w znacznej części związane z lewicą polityczną (partiami PPS i KPP). Później, gdy mama administrowała tym domem, była wypytywana przez policję o takich lokatorów. Starała się ich „kryć", nie z pobudek politycznych, a z sąsiedzkiej życzliwości. Po latach, w czasach PRL, jeden z nich przypomniał się mamie z chęcią odwdzięczenia się, co umożliwiało jego ówczesne wysokie stanowisko.

Rodzice zapewne poznali się przez bliskie (przez ul. Puławską) sąsiedztwo i środowisko zawodowe – oboje zarządzali kamienicami. Pobrali się w 1934 roku, chociaż mama w sentymentalnych wspomnieniach zachowała jakichś oficerów lotnictwa, pewnie z pobliskiego lotniska na Polu Mokotowskim. Mimo trudnej sytuacji w latach wojennych i powojennych, m.in. utraty majątku, było to udane małżeństwo. Dochowali się dwóch synów – starszego mnie i młodszego Sławomira.

Rozdział 4

OKUPACJA OCZAMI DZIECKA

Jako dwulatek z mamą w Podkowie Leśnej, 1938 rok

Pierwsze obrazy z dzieciństwa, jakie mam w pamięci, pochodzą chyba z ostatniego przedwojennego lata i września 1939 roku. Miałem wtedy trzy lata. Pamiętam samochody – wiśniowego forda rodziców i czarnego chevroleta dziadka Karola. Perliczki, hodowane w naszym domu letniskowym w Podkowie Leśnej, zapamiętałem pewnie dlatego, że uciekały do sąsiedniego lasu i zbiorowe akcje ich łapania były dla dziecka atrakcją. Niedawno odnalazłem nasze przedwojenne letnisko na ul. Sosnowej i poznałem aktualnych właścicieli posiadłości.

Na stałe mieszkaliśmy w naszym domu na Puławskiej, sąsiadując z dziadkiem Karolem. Była to nowoczesna kamienica, zbudowana w latach 1935–1936 jako rodzinna inwestycja. Tata był jej współwłaścicielem (kamienicznikiem) i zarządcą. Z tamtego czasu mam też mgliste wspomnienie niani, panny Izi. Z opowiadań mamy wiem, że została natychmiast „oddalona", gdy w jej włosach mama odkryła wszy, choć wtedy to nie była rzadkość.

Późniejsze, coraz wyraźniejsze wspomnienia dziecka z lat wojennych łączą się w pamięci z opowieściami rodzinnymi. Z okresu oblężenia Warszawy w 1939 roku pamiętam szyby w oknach oklejone papierem, na klatce schodowej worki z piaskiem do gaszenia pożaru, tatę z opaską Ligi Obrony Przeciwlotniczej. I szczególne wydarzenie: w ogródku cioci na Żoliborzu pojawił się niedźwiedź, zapewne uciekinier z bombardowanego zoo, może z cyrku. Policjant zastrzelił go, a mięso podzielono między sąsiadów. Ciocia przysłała nam na drugi koniec miasta ogarniętego wojną niedźwiedzią łapę. Mam więc w swojej biografii kulinarnej ten przysmak staropolskiej kuchni, ale oczywiście nie pamiętam, czy się nim delektowałem.

Mimo wczesnej inicjacji samochodowej motoryzacja nie stała się moją pasją, 1939 rok

I zupełnie inne wspomnienie z tamtego okresu: mama opowiadała, jak ludzie na ulicy płakali na widok wkraczających pokazowo oddziałów niemieckiego wojska.

Realia okupacji obserwowałem oczami dziecka, dla którego była to „normalność" – nie znałem alternatywy. Żyliśmy w bezpośrednim niemieckim otoczeniu, bo ta okolica była przeznaczona dla Niemców, co oznaczało, że w miarę ich przybywania do Warszawy wypędzano polskich mieszkańców.

Niespodziewanie niektórzy z dotychczasowych lokatorów naszego domu zadeklarowali się jako osoby narodowości niemieckiej – folksdojcze (Volksdeutsch). Okupant sprzyjał temu luźnymi kryteriami uznawania „niemieckości" i uprzywilejowaniem w stosunku do polskiej ludności, przede wszystkim w bezpieczeństwie osobistym, także w możliwościach zaopatrzenia (m.in. kartki żywnościowe). Skład lokatorów domu stał się zatem już trochę niemiecki, zanim jeszcze wprowadzili się do niego „prawdziwi" Niemcy.

Szczególny jest tu przykład naszych sąsiadów – państwa Joanny i Edwarda Czepowiczów, z którymi rodzice się przyjaźnili. On był Polakiem i jako wojskowy lotnik (oficer?) brał udział w kampanii wrześniowej. Jego samolot został strącony w przelocie do Rumunii, a on ciężko ranny uratował się. Kiedy weszli Niemcy, pani Joanna zadeklarowała się jako rajchsdojczka (Reichsdeutsch), to jest osoba narodowości niemieckiej urodzona w Rzeszy. Rodzice chyba o tym wcześniej nie wiedzieli. Była przecież żoną lotnika w polskim wojsku i mówiła nienaganną polszczyzną! Pamiętam to.

Wykorzystując swój niemiecki status, uchroniła męża przed obozem jenieckim. Po wyleczeniu żył dostatnio przy żonie, zajmując się jedynie pieskiem foksterierem. Uczył go sztuczek, np. na komendę „looping" (jeden z manewrów akrobacji lotniczej, robienie pętli) piesek wskakiwał na krzesło i zeskakiwał ze śmiesznym skrętem. Pani Joanna przejęła zaś w naszym domu sklep odebrany dotychczasowemu polskiemu użytkownikowi i z powodzeniem finansowym handlowała w nim tekstyliami. Pewnie dostawała towary z rekwizycji mienia żydowskiego.

U Czepowiczów zatrzymywali się przyjezdni z Rzeszy pracownicy firmy optycznej Zeiss. Czasem byliśmy częstowani przywożonymi przez nich łakociami i egzotycznymi owocami, niedostępnymi dla polskiej ludności. Pamiętam, że kiedyś pani Joanna przyszła do nas z pudełkiem nakryć stołowych wyglądających jak szklane. Niby niechcący upuściła je i wtedy okazało się, że się nie stłukły. Były z jakiegoś sztucznego tworzywa, a ona chciała pochwalić się tym osiągnięciem niemieckiej techniki. Era plastiku nastała prawie pół wieku później.

Dziś zastanawiam się nad paradoksem dobrych (pozornie?) stosunków, jakie rodzice utrzymywali z tymi sąsiadami w ówczesnej okupacyjnej rzeczywistości. Podczas częstych wizyt (dawniej był to powszechny zwyczaj) zapewne udawało się unikać (ale jak?) oczywistych konfliktowych tematów. Nie sądzę, żeby rodzice potakiwali niemieckiemu punktowi widzenia pani Joanny, ale musieli też mieć na uwadze niebezpieczne skutki ewentualnych kontrowersji. Pamiętam, że stawiających opór przeciw okupantowi nazywała bandytami oraz bagatelizowała alianckie naloty na miasta Niemiec. Trzeba jednak przyznać, że była nam też życzliwa, np. broniąc przed rekwizycją mieszkania. Mieliśmy wizyty Niemców upatrujących sobie lokum, a nasz nowoczesny dom był pod tym względem atrakcyjny. Na szczęście tata, po studiach w Niemczech, dobrze znał język i był obyty z niemiecką mentalnością, nawiązywał więc kontakt z takim intruzem. Zjawiała się także pani Joanna i przyłączała do „rozmowy". Ciekaw jestem, jakimi argumentami przekonywała Niemca, np.: „To są moi dobrzy sąsiedzi, w okolicy jest tyle innych polskich mieszkań do wzięcia"? Czepowiczowie wyjechali do Niemiec w lecie 1944 roku, gdy zbliżał się front. Dostali wagon towarowy na wywóz rzeczy – niemiecka ewakuacja była dobrze zorganizowana.

W naszej okolicy obecność Niemców była bardziej widoczna niż w innych częściach miasta. Na Rakowieckiej znajdował się, tak jak jest to obecnie, rozległy kompleks terenów wojskowych, m.in. lotnictwa, w al. Szucha (przemianowanej na Deutsche Polizei Strasse) mieściła się główna kwatera warszawskiego Gestapo – tajnej policji, narzędzia terroru okupacyjnego. Na ul. Dworkowej (bliska od nas przecznica ul. Puławskiej) stacjonowała żandarmeria, a niedaleki park Łazienkowski był „nur für Deutsche" („tylko dla Niemców"). Na ul. Rakowieckiej widywało się często wojskowych, m.in. dziewczęta w mundurach lotnictwa z noszonymi gustownie furażerkami, także przemarsze oddziałów. Niemieckie uniformy – efektowne i w dobrym gatunku – wyróżniały się na tle ubóstwa i szarzyzny ubiorów warszawskiej ulicy, a we mnie, kilkuletnim chłopcu, wzbudzały podziw. Na początku okupacji widać było, że to wojsko jest kadrą wyborową, dopiero później było coraz więcej starszych, o mniej butnym wyglądzie.

Z obrazu ul. Puławskiej pamiętam również chodzące miarowym krokiem patrole żandarmerii. Ich zainteresowanie kimś mogło skończyć się źle, ale widziało się też, jak legitymowali żołnierzy Wehrmachtu. Żandarmi mieli na piersiach blaszane ryngrafy i w hełmach wyglądali groźnie. Moje chłopięce

Przemarsz wojska niemieckiego ul. Puławską koło nieistniejącej dziś zajezdni tramwajowej, ok. 1940 roku

Tablica upamiętniająca rozstrzelanie zakładników przy dawnej zajezdni na ul. Puławskiej

zainteresowanie wzbudzały ich pistolety automatyczne. Była to wówczas nowość, nazywana przez ulicę „rozpylaczami".

Widywało się też ciężarówki, tzw. budy, z ludźmi wiezionymi pod strażą. Pamiętam płacz mamy, gdy 3 grudnia 1943 roku przy ówczesnej zajezdni tramwajowej (dziś wylot ul. Goworka), naprzeciw naszego okna, rozstrzelano polskich więźniów w odwecie za akcję AK. Mówiła, że mieli głowy w workach i chwiali się.

Wkrótce na podwórku pojawili się krzykliwi chłopcy z paramilitarnej młodzieżówki Hitlerjugend, niektórzy z nich mówili po polsku. Jako 5–7-latek byłem pod wrażeniem ich umundurowania – czarne sztruksowe spodnie, brunatne koszule, wojskowe pasy. Na ogół bawili się w wojnę. Pamiętam często powtarzany okrzyk „zum Angriff!" („do ataku"). Rodzice nie pozwalali nam wychodzić do nich, starszych wiekiem, obawiając się nieprzyjaznych zachowań i ewentualnych ryzykownych rozmów. Jednak przy różnych kontaktach z nimi nie doświadczyliśmy tego.

Nie pamiętam natomiast obecności dziewcząt na podwórku. Przyjaźniliśmy się jedynie z bliską nam wiekiem córką dozorcy Józefa – Tereską.

Moja pierwsza lektura – niemiecka książeczka o samolotach drugiej wojny światowej, wyd. 1941 rok

Na spacery chodziliśmy do parku Ujazdowskiego, bo pobliskie Łazienki były niedostępne dla Polaków. Prowadzące do parku Aleje Ujazdowskie przemianowano na Siegesstrasse (ul. Zwycięstwa).

W tym okresie szczególnie fascynowałem się samolotami często przelatującymi nad Warszawą. Ich ruch szczególnie wzmógł się podczas wojny ze Związkiem Radzieckim. Moją pierwszą w życiu samodzielną lekturą była niemiecka ilustrowana książeczka z opisami ówczesnych wojskowych samolotów europejskiego teatru wojny powietrznej – Niemiec, Włoch i Wielkiej Brytanii. Te proste wiadomości o różnych typach samolotów odczytywałem przy pomocy taty znającego niemiecki. Do dziś mam tę książeczkę – pamiątkę z tamtego czasu. Czy to dziecięce wypatrywanie samolotów na niebie było zapowiedzią moich późniejszych zainteresowań ptakami? Wtedy samoloty latały niżej i wolniej niż współczesne – było tu więc więcej podobieństwa do obserwacji ptaków.

Po krótkim okresie mojego uczęszczania do szkoły rodzice zdecydowali, że będziemy z bratem Sławkiem brali lekcje w domu. Nauczycielką była pani Kazimiera, która uciekła z Wołynia przed ukraińskimi prześladowaniami. Z inną panią mieliśmy lekcje niemieckiego – umiejętności wówczas życiowo potrzebnej.

Rodzice z ostrożności nie zaszczepiali w nas wrogości do Niemców, wiedzieliśmy tylko, że są „złe czasy" i stale grozi niebezpieczeństwo, np. wyrzucenia z mieszkania. Przy dzieciach na ogół unikano politycznych tematów, w szczególności o działaniach przeciw okupantowi. Zapamiętałem jednak powtarzające się w rozmowach słowo „gazetki" – tak określano podziemną prasę. Na pewno nie trzymano w domu niczego „trefnego", tata nie ryzykowałby czegoś takiego wobec stałego niebezpieczeństwa nakazu opuszczenia mieszkania, a miał też ciągle na karku Niemców – lokatorów. Czytał „Nowy Kurier Warszawski", tzw. szmatławiec i „Warschauer Zeitung". Zaznaczał też na mapie sytuację na froncie wschodnim – wojny ze Związkiem Radzieckim. Żyliśmy w stałej obawie. Powszechnym zwyczajem były ostrzeżenia o łapankach i niebezpiecznych sytuacjach. Mama wysyłała paczki siostrzeńcowi do obozu jenieckiego w Niemczech.

Z tamtych czasów utkwiło w mojej dziecięcej pamięci szczególne zdarzenie. Przez Warszawę przechodziły transporty dzieci zbrodniczo odebranych przez okupanta mieszkańcom wysiedlanej Zamojszczyzny, przeznaczonych do germanizacji w Niemczech. Kiedyś pewnie była przygotowywana jakaś akcja ratowania ich i rodzice powiedzieli, że zamieszka z nami dziecko. W pokoju dziecinnym zostało przygotowane dodatkowe miejsce, a my ze Sławkiem opróżniliśmy półkę na „jego" zabawki i czekaliśmy z radosnym zaciekawieniem. Okazało się, że na próżno.

Odgłosem ulicy zza okna, który pamiętam z dzieciństwa, był stukot końskich kopyt i wozów z żelaznymi obręczami. Podstawę transportu stanowiły bowiem wozy konne i riksze rowerowe. Pod naszym domem na rogu ul. Olszewskiej był postój riksz. Słyszeliśmy głośne, „soczyste" rozmowy, jednak ze słownictwem znacznie „łagodniejszym" niż współczesne tej kategorii.

Na przeciwległym rogu ul. Olszewskiej był sklep sieci Meinla obsługującej Niemców i folksdojczów. Myśmy kupowali gliniasty chleb z przydziału kartkowego w pobliskiej piekarni „Ziarno", po drugiej stronie ul. Puławskiej. Jej właścicielem był pan Ślusewicz, który bywał u nas z dwoma synami, nieco starszymi ode mnie i Sławka.

Piło się herbatę z suszonych obierzyn jabłek lub z suszonych liści wiśni, kawę – tylko zbożową. Do słodzenia (także potraw) służyła głównie sacharyna – pastylki w małych pudełeczkach (pamiętam je) z wyeksponowanym hitlerowskim godłem. Wyczuwalny był sztuczny smak tego specyfiku, również w powszechnie używanej marmoladzie. Mama piekła ciasta z marchwi (teraz przeżywają renesans kulinarny), szyła i przerabiała ubrania dla nas.

Centralne ogrzewanie działało minimalnie, zimą w mieszkaniu chodziliśmy ubrani w różne „docieplenia". Przy pokoju dziecięcym była postawiona „koza" – piecyk węglowy, z którego niekiedy wydobywał się dym. Były też wyłączenia światła, wtedy pojawiały się lampki naftowe.

Nocne alarmy lotnicze zdarzały się rzadko i chyba dopiero pod koniec wojny. Spędzaliśmy je wraz z innymi mieszkańcami domu w piwnicznym schronie. Dziś wiem, że to były mało skuteczne radzieckie naloty na sieć kolejową. Ich akustyczne tło stanowiły salwy artylerii przeciwlotniczej nazywanej „zenitówkami" o charakterystycznym dźwięcznym huku.

Powszechne zubożenie przejawiało się i tym, że u nas często był ktoś na obiedzie, nawet jacyś bardzo dalecy znajomi, m.in. żony oficerów poległych, przebywających w obozach jenieckich (oflagach) lub „na Zachodzie". Przed wojną prowadziły dostatnie życie kasty uprzywilejowanej, a teraz znalazły się bez źródła utrzymania. Czasami posiłki były wynoszone na klatkę schodową obcym, którzy prosili o „coś do zjedzenia".

Mięsem, jadanym rzadko, była głównie konina. Częstą potrawą była brukiew – obecnie spotykam ją czasem jako ekskluzywne danie w restauracjach i nie widuję w handlu bazarowym. Zaopatrzenie w mleko zapewniała nam koza trzymana okresowo w garażu i na letnisku w Świdrze. Stąd mam sentyment do tych mądrych zwierząt, bo z nimi spędziłem dzieciństwo również po wojnie i wychowałem się na ich mleku.

Przed wojną i w czasie okupacji była u nas służąca, teraz mówi się pomoc domowa, Bronia, przybyła ze wsi. Miała swój osobny pokoik z oknem koło kuchni i była „dobrze" traktowana – bez poniżania, co wówczas zdarzało się wobec „służby". Jadała osobno w kuchni i zwracano się do niej w trzeciej osobie, np. „niech Bronia przyniesie...". Po wojnie zamieszkała w Warszawie i odwiedzała nas „towarzysko", a my ze Sławkiem przyjaźniliśmy się z jej synem – Stasiem, który bywał u nas na letnisku w Świdrze.

Na lato wyjeżdżaliśmy do posiadłości w Świdrze, gdzie był stary dom na ul. Zacisznej z rozległym terenem zalesionym sosnami, nad samą rzeką. Rodzice w 1939 roku przenieśli tu letnisko z Podkowy Leśnej, ponieważ tata zapadł na gruźlicę, chorobę powszechną w tamtych czasach, i Świder był wskazany ze względów klimatycznych. Docierała tam podmiejska kolej elektryczna, ale my mieliśmy bliżej do wąskotorowej „ciuchci" jeżdżącej do pobliskiego Karczewa. Wsławiła się ona okupacyjnym „szmuglem" (słowo dziś zapomniane) mięsa. Karczew był wtedy miastem rzeźników. Stacja tej kolejki stanowiła miejsce towarzyskich spotkań, gdzie wypatrywało się, kto przyjechał i jakie nowiny przywiózł z Warszawy. Wtedy wiadomości rozchodziły się w bezpośrednich kontaktach, bo gazety były „niemieckie", a za posiadanie radia groziła kara śmierci.

Pamiętam wybuch radości, gdy „przyjechała" wiadomość o zamachu na Hitlera latem 1944 roku. Cenione były też przywożone z Warszawy żarty polityczne, nie zawsze wyrafinowane. Zapamiętałem przykład: Hitler i Mussolini dla upamiętnienia przymierza posadzili drzewo – dąb uważany przez hitlerowców za starogermańską świętość. Okazało się, że zamiast monumentalnego dębu wyrosła wątła lipa (z naciskiem na dwuznaczność tego słowa).

Pobyt na letnisku w Świdrze był pozorną sielanką – bez codziennego widoku wojska, nocnych alarmów, łapanek. Nie było też stąd widać tragedii getta w pobliskim Otwocku. Obawę budziły jednak napady rabunkowe, które nasiliły się w ostatnim okresie okupacji, gdy osłabła obecność Niemców. Ta atmosfera wytchnienia od okupacyjnej Warszawy i atrakcja płytkiej i wówczas czystej rzeczki z piaszczystymi plażami ściągała do Świdra licznych letników, na sezon lub tylko na niedziele – to były czasy bez wolnych sobót. Również u nas stale ktoś bywał, często na dłużej, m.in. dziadek Karol. Czasem tata przywoził córkę dozorcy Józefa, naszą rówieśnicę – Tereskę.

My ze Sławkiem spędzaliśmy czas głównie nad rzeczką, gdzie na plażach kopaliśmy kanały i wznosiliśmy budowle piaskowe. Szczególną naszą pasją było łowienie rybek – wędką, siatką lub koszem. Niekiedy widywało się niemieckich

Dziadek Karol z wnukami w Świdrze, ok. 1942 roku

żołnierzy zażywających kąpieli – zawsze kilku z nich pozostawało z bronią na brzegu.

W tamtych czasach woda tej płytkiej rzeczki była czysta i – patrząc z brzegu albo brodząc – widziało się na tle piaszczystego dna ławice kiełbi i innej rybiej drobnicy, a w zacisznych zatoczkach – małże, których obecność świadczyła o jakości wody. Obecnie rzeka Świder, mimo że jest rezerwatem przyrody, ma wodę mętną i rzadko można zobaczyć w niej coś żywego.

Wśród okupacyjnych wspomnień ze Świdra wyróżnię jeszcze dwa. Jedno z nich to coroczny rytuał robienia wina z porzeczek odprawiany przez tatę z zaangażowaniem wszystkich domowników. Rozpoczynało się zbieraniem porzeczek ze sporej plantacji w naszym ogrodzie, co pamiętam jako zajęcie nudne i – niestety – obowiązkowe. Urobek liczony w dużych koszach przechodził procedurę winiarską w reżimie sterylności ściśle przestrzeganym przez tatę. (Skąd miał cukier do tego wina?). W ten sposób latami, również po wojnie, stopniowo pomnażał się zasób gąsiorków przechowywanych w piwnicy. To porzeczkowe wino ze Świdra służyło naszemu życiu rodzinnemu i towarzyskiemu. A były to czasy wódki i bimbru, gdy wino było rarytasem. Ten zapas znakomitego wina, nieuzupełniany po śmierci taty, starczył jeszcze do naszych ze Sławkiem imprez licealnych i studenckich. Ostatni gąsiorek wysunął mi się z rąk podczas przeprowadzki mamy ze Świdra do Falenicy, więc było to dosłownie „oblanie" nowego mieszkania, kończące wieloletnią rodzinną tradycję porzeczkowego winiarstwa taty.

Inne moje okupacyjne wspomnienie ze Świdra dotyka „wielkiej historii". W przeddzień 22 czerwca 1941 roku (data historyczna), gdy byliśmy na letnisku w Świdrze, niespodziewanie do naszej posiadłości wjechał zmotoryzowany oddział Wehrmachtu, rozbierając w tym celu część ogrodzenia. Wyglądało to groźnie – baliśmy się zajęcia domu i wyrzucenia nas. Na szczęście tata, ze swoją umiejętnością kontaktów z Niemcami, dowiedział się od dowódcy, że będą tu stacjonować tylko do jutra, a od nas nie chcą niczego. Odetchnęliśmy! Później ten sam oficer w czasie rozmowy przy winie porzeczkowym, o którym wyżej, zdradził tacie, że jutro Niemcy zaatakują Związek Radziecki i jego oddział weźmie w tym udział. Obiecał też naprawienie rozebranego ogrodzenia, z czego się wywiązał. W ten sposób tata znalazł się w kręgu wtajemniczonych w zapowiedź mającego nastąpić nazajutrz historycznego aktu tamtej wojny. Stalin miał tę wiadomość wcześniej, ale nie wykorzystał jej skutecznie. W tamtych dniach okolica zapełniła się przeciągającymi transportami wojska, ale my już nie mieliśmy takich wizyt.

W lipcu 1944 roku, gdy przychodziły wiadomości o szybkim zbliżaniu się frontu radzieckiej ofensywy, wyjechaliśmy ze Świdra do Warszawy. Pamiętam, jak karczewska ciuchcia była wtedy zapchana ludźmi wyjeżdżającymi do Warszawy i ich bagażami.

Wędkowanie ze Sławkiem w rzeczce Świder

Rozdział 5

POWSTANIE I NA WYGNANIU

W końcu lipca 1944 roku, gdy nadchodziły wiadomości o szybkim zbliżaniu się frontu wschodniego, powróciliśmy z letniska w Świdrze do Warszawy. Panowała tu atmosfera ewakuacji Niemców. Przez miasto przeciągały kolumny wojsk, nasz dom opuścili m.in. niemieccy sąsiedzi – Czepowiczowie. Wydawało się, że to już bliski koniec panowania okupanta – o tym wszyscy mówili, często z obawami, co przyniosą z sobą bolszewicy.

Miałem wtedy prawie 8 lat, więc dość dobrze pamiętam te zdarzenia. Sam wybuch powstania zastał nas w domu na Puławskiej. W przeddzień nieznajomy starszy pan (pamiętam to) powiadomił mamę, żeby przygotowała duży garnek zupy, ale nazajutrz okazało się, że zrobiła to na próżno. Kiedy wybuchła strzelanina, zbiegliśmy do osłoniętego od ostrzału z ulicy pomieszczenia administracyjnego na półpiętrze. Pamiętam, że tata spojrzał na zegar nad lustrem w hallu klatki schodowej i powiedział: „O, dokładnie godzina piąta" (może coś wiedział?). Pamiętam też inne szczególne zdarzenie, które wtedy miało miejsce. Koło naszego domu znalazła się platforma z dwoma końmi, bez woźnicy. Dozorca Józef wybiegł na ulicę, wyprzągł je pod ostrzałem i przyprowadził na podwórko. Konie dla niego, wychowanego na wsi, były cenniejsze niż życie, które ryzykował.

Te konie wkrótce zabrali grasujący w tym rejonie żołnierze z kolaboracyjnej rosyjskiej armii RONA (Russkaja Osvoboditelno-Narodnaja Armia) Bronisława Kamińskiego, wtedy niesłusznie nazywani „ukraińcami". RONA podczas powstania szczególnie upamiętniła się rabunkami i okrucieństwami wobec ludności. W pierwszych dniach sierpnia podpalili domy i bazar po przeciwnej stronie Puławskiej. W czasie pożaru jego drewnianych bud w okolicy zrobiło się ciemno od dymu i nie było czym oddychać. Ci „ukraińcy" przyszli też do naszego domu, wywołali mieszkańców na podwórko (chcieli podpalić dom?), ale skończyło się „tylko" na obrabowaniu z biżuterii i zegarków. Krzyczeli na nas w nieznanym mi (rosyjskim?) języku. W naszej okolicy nie dokonywali jednak zbiorowych rozstrzeliwań, tak jak np. na Ochocie.

Wkrótce ten rejon opanowali Niemcy. Któregoś dnia mieszkańców okolicznych domów, m.in. nas, popędzili z podniesionymi rękami kolumną na al. Szucha. Tam oddzielono mężczyzn, a kobiety z dziećmi stłoczono na dziedzińcu ówczesnej siedziby Gestapo (dziś budynek Ministerstwa Edukacji i Nauki).

Po drodze na ulicy pierwszy raz zobaczyłem ciała zabitych, ale u ośmioletniego chłopca budziło to bardziej zaciekawienie niż grozę (!). Pamiętam leżące

przy chodniku ciało kobiety z szarą zapyloną twarzą i rozrzuconymi włosami. Wylotu al. Szucha do pl. Unii Lubelskiej strzegł samochód pancerny.

Na dziedzińcu Gestapo staliśmy stłoczeni cały dzień, pełni najgorszych obaw, tym bardziej że z balkoniku (widać go z ulicy w prześwicie bramy Ministerstwa) „patrzył" na nas karabin maszynowy. Teraz wiem, że mieliśmy być użyci jako żywe tarcze osłaniające czołgi. Przy poprzedniej grupie to zawiodło, bo ludzie rozbiegli się i nie wywiązali z wymuszonej roli. Po tak spędzonym dniu, wieczorem popędzono nas na Rakowiecką i zamknięto w pustej hali na terenie wojskowym. Przechodząc teraz, widzę z ulicy ten hangar i budzi we mnie wspomnienia. Tam wówczas spędziliśmy noc na betonie. Ale najbardziej pamiętam ubikację – bajoro nieczystości (kanalizacja już nie działała), skąd smród rozchodził się na całą halę.

Następnego dnia przyszli żołnierze i coś ogłaszali po niemiecku. Kobiety zdesperowane po nocy na betonie, ponad dobę bez jedzenia i picia (z dziećmi!), krzyczały do nich. Wtedy padły strzały (w górę?) i zrobiło się groźnie. Wkrótce okazało się, że wypuszczają nas. Dostaliśmy nawet zupę. Żołnierz obsługujący kuchnię polową zagadnął do mnie, a ja już na tyle znałem niemiecki, że mu odpowiedziałem coś w rodzaju „schmeckt sehr gut" („smakuje bardzo dobrze").

Wróciliśmy więc do domu i wkrótce dołączył do nas tata. Ale u siebie byliśmy krótko, bo Niemcy „czyścili" rejon w pobliżu swoich obiektów wojskowych. Teraz, wypędzając nas, pozwolili zabrać bagaż ręczny, co oznaczało, że opuszczamy dom „na zawsze". Dziś wiem, że pędzili nas do obecnego Dworca Zachodniego, skąd odchodziły transporty do obozu przejściowego (Dulag 121) w Pruszkowie. Gdy szliśmy w luźnej kolumnie Rakowiecką, udało się nam wymknąć (uchyloną bramą?) do domu, gdzie mieszkała osoba z dalszej rodziny – pani Michalina Orzechowska, u której zostaliśmy gościnnie przyjęci. Kilkudniowy pobyt u pani Orzechowskiej zostawił mi szczególne wspomnienie. Po drugiej stronie Rakowieckiej był rozległy teren wojskowy, z parkującymi i wyjeżdżającymi na akcje czołgami i innymi pojazdami bojowymi. Obserwowaliśmy to ze Sławkiem przez zasłonięte okno, zafascynowani. Natomiast patrząc od strony podwórza, widzieliśmy jak „sztukasy" (bombowiec junkers Ju 87) nurkują nad pobliskim rejonem Mokotowa i potem z tego miejsca wytryskiwał pióropusz dymu. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jaka tragedia kryła się za tym „widowiskiem". Chłopięce zainteresowanie wzbudzali też widziani po raz pierwszy żołnierze w kamuflujących mundurach.

Oczywiście nie wolno było wychodzić na ulicę. Nadzór nad domem sprawował wojskowy, „hauptmann", który – częstowany papierosami – wdawał się w podwórkowe pogawędki. Od niego tata przyniósł przerażającą relację: złapany przez Niemców powstaniec, młody chłopak, na pytanie, dlaczego przystał do „bandytów", tłumaczył się, że go namówili. Usłyszał więc od nich, że nie zasługuje na śmierć żołnierza i przed zastrzeleniem przypalali papierosami twarz chłopaka.

Któregoś dnia ojciec dowiedział się od „naszego hauptmanna", że nazajutrz dom ma być opróżniony. Przekupiony składką grupki wtajemniczonych, pozwolił nam wcześniej wyjść „na swoją odpowiedzialność". Zapewne sądził, że i tak zostaniemy złapani, bo cała okolica była pod kontrolą Niemców. Zapakowaliśmy trochę rzeczy na zdobyty skądś dwukołowy wózek – wówczas powszechny środek „małego transportu". Rano wyruszyliśmy w dziewięć osób (w tym nasza rodzina i „służąca" Bronia) ulicami Rakowiecką i potem Boboli z zamiarem wydostania się z miasta. Nikt nas nie zatrzymywał, ale gdy zboczyliśmy z ulicy, zaraz „przeszła" nam nad głowami seria z karabinu maszynowego. Wywiesiliśmy więc na lasce białą chustkę i ruszyliśmy dalej.

Na rogu ulic Boboli i Racławickiej zostaliśmy zatrzymani przez niemiecki posterunek ulokowany w domku, który do dziś rozpoznaję. To stamtąd ostrzeliwano nas wcześniej ze stanowiska na dachu. Chyba byli to żołnierze frontowi strzegący dostępu do miasta, nieuczestniczący bezpośrednio w pacyfikacji powstania. Nie wiedzieli, co z nami zrobić. Czekaliśmy kilka godzin pełni obaw. W końcu dostaliśmy strażnika, który miał nas doprowadzić na miejsce odpraw transportów do obozu w Pruszkowie. Ten eskortujący żołnierz nie był bardzo przejęty swoim zadaniem, nie poganiał naszej grupki, posuwającej się wolno, obciążonej bagażami, bo nie mieliśmy już wózka. Wkrótce nadszedł wieczór i strażnik (przekupiony? życzliwy?) zostawił nas w jakimś opuszczonym pomieszczeniu gospodarczym na Okęciu, gdzie mieliśmy czekać na niego do rana. Kiedy poszedł, wydostaliśmy się i nocą wędrowaliśmy przez pola, aż dotarliśmy do Michałowic.

To obecnie podmiejskie osiedle willowe wówczas było zapadłą wsią. O świcie znaleźliśmy u jakiegoś gospodarza schronienie, a zarazem kryjówkę, bo uciekinierzy z Warszawy byli wyłapywani. Tam pierwszy raz spotkałem się z „chodzeniem za stodołę", bo w zagrodzie nie było ubikacji wtedy nazywanej „sławojką". Wieczorem widać było łunę płonącego miasta. Którejś z następnych nocy gospodarz przewiózł nas polnymi drogami do Tarczyna, ostatniej stacji, dokąd podczas powstania dojeżdżała kolejka grójecka. Naszym celem była Mogielnica, miasteczko leżące na linii tej ciuchci. Tam mieszkała rodzina pani Michaliny Orzechowskiej, która – po wspólnej ucieczce z Rakowieckiej – nam towarzyszyła.

W Tarczynie dowiedzieliśmy się, że na stacji kolejki Niemcy wyłapują uchodźców z Warszawy. Kolejarze ukryli nas w pociągu, gdy stał jeszcze na bocznicy, a gdy podstawiono go na peron, byliśmy już bezpieczni w tłumie pasażerów. Po jeździe z długimi postojami dopiero wieczorem dotarliśmy do Mogielnicy, gdzie zostaliśmy gościnnie przyjęci. To był powrót do „normalnego" życia.

W Warszawie ogarniętej powstaniem przebywaliśmy stosunkowo krótko, gdy jeszcze nie było głodu i nie brakowało wody. Nie zaznaliśmy okropności walk, bombardowań i rozstrzeliwań, które spotykały ludność w innych rejonach miasta. Zdołaliśmy też (dwukrotnie!) uniknąć wysyłki do obozu przejściowego (Dulag 121) w Pruszkowie, miejsca gehenny stłoczonych wygnańców z powstańczej Warszawy. Tata zapewne trafiłby stamtąd na niewolnicze roboty do Niemiec.

Jako dziecko często przyjmowałem ówczesne zagrożenia i „nienormalności" z zaciekawieniem, ale także zdawałem już sobie sprawę z ich przerażającej

istoty. Oczywiście nie byłem w pełni świadomy wysiłku rodziców, żeby nas chronić przed niebezpieczeństwami, zapewnić wyżywienie, nocleg, możliwość umycia się. Szczególnym przykładem było tu zabranie przez mamę do naszego niewielkiego ręcznego bagażu, z jakim opuszczaliśmy dom, książki z bajkami[2], które później czytała nam „na dobranoc", stwarzając nastrój „domu". Ta książka odbyła z nami całą wędrówkę podczas powstania, a teraz wzrusza mnie wspomnieniem matczynej troski. W tamtych krytycznych sytuacjach wiele zawdzięczaliśmy umiejętności taty nawiązywania kontaktu z Niemcami.

Pobyt w majątku w Górkach koło Mogielnicy pamiętam jako pierwsze spotkanie z wiejskim życiem, bo Świder to było podmiejskie letnisko. Górki były stosunkowo niedużym, lecz nowocześnie prowadzonym majątkiem sadowniczo-rolnym. Należał do rodzeństwa Orzechowskich, częściowo do pani Michaliny, która z nami opuściła Warszawę. Jej brat, pan Stanisław (na zdjęciu w rozdziale 3), przed wojną przebywał w Ameryce i dorobił się, pracując u Forda. Po powrocie był przedstawicielem tej firmy w Warszawie, ale też z trzema siostrami gospodarował w rodzinnym majątku i unowocześnił go na wzór amerykański. Orzechowscy mieli duży sad z nowoczesnymi wówczas odmianami owocowymi i pasiekę, w oborze około trzydziestu krów (przy każdej z nich tabliczka z imieniem i „życiorysem"), chlew ze świniami. W stajni stały cztery konie.

Rodzice włączyli się do zajęć domowych i gospodarskich, a my ze Sławkiem, mając wolny czas, korzystaliśmy z nowych dla nas przyjemności, takich jak buszowanie na słomie w stodole, przejażdżki na wozach przy pracach gospodarczych, polowanie na myszy przy rozbieraniu stogów. Już sama obserwacja prac w polu i w obejściu była dla nas nowością. Przydzielono nam pilnowanie plantacji orzechów laskowych, do której zakradali się wiejscy chłopcy z sąsiedztwa. Ta funkcja pozwalała na objadanie się dojrzewającymi wtedy orzechami.

W domu państwa Orzechowskich kwaterował oficer („leutnant") z ordynansem, Czechem, Johanem. Ci przymusowi lokatorzy zachowywali się przyzwoicie, prawie z domowym zaprzyjaźnieniem. Gdy do „leutnanta" przybywali wojskowi – zajmował z nimi obszerny stołowy pokój. Ordynans Johan, przygotowując w kuchni posiłki dla szefa, niejednokrotnie częstował nas ze Sławkiem. Dobrą stroną tego kwaterowania Niemców była ochrona przed napadami rabunkowymi, które szerzyły się w okolicy. Gdy niemieccy lokatorzy ewakuowali się, wkrótce mieliśmy taką wizytę z rutynowym leżeniem na podłodze.

W miasteczku chyba nie czuło się takiego terroru okupacyjnego jak w Warszawie, ale było to już po dramacie miejscowej ludności żydowskiej. Front nad Wisłą dawał o sobie znać dalekimi odgłosami artylerii z walk na przyczółku warecko-magnuszewskim. Były też zarządzane przez Niemców podwody – żądano wozów i ludzi do prac dla wojska. Centrum męskiego życia towarzyskiego Mogielnicy była restauracja Szufladowicza w rynku, gdzie także Niemcy przychodzili na wódkę.

Pobyt w Górkach dał nam z bratem jeszcze jedno nowe doświadczenie życiowe. Państwo Orzechowscy (chyba z wyjątkiem pana Stanisława) i zamieszkali w majątku pracownicy żywo okazywali swoją religijność. Niekiedy na niedzielnych obiadach bywał miejscowy proboszcz i inni księża. To było moje pierwsze (poza dziecięcymi pacierzami odmawianymi w domu) spotkanie z życiem religijnym – uczestnictwo w nabożeństwach, nauka pieśni kościelnych, lektura książeczki do nabożeństwa otrzymanej od państwa Orzechowskich.

Front radzieckiej ofensywy w styczniu 1945 roku przeszedł przez Mogielnicę w ciągu jednej nocy. Słyszeliśmy bliską kanonadę bitwy z wycofującym się niemieckim oddziałem pancernym, a już rano mieliśmy na śniadaniu czerwonoarmistów. Zostali przyjęci w Górkach z zaciekawieniem i obawą, która nie potwierdziła się. Podobała mi się ich swoboda i bezpośredniość, prawie zrozumiały język i przyjazne zachowanie, zupełnie inne niż u Niemców. Ze zdziwieniem usłyszałem wtedy tatę mówiącego po rosyjsku – znał ten język ze szkoły w czasach zaboru i późniejszych studiów w Charkowie.

Wygląd tego wojska pod względem umundurowania był nędzny w porównaniu z niemieckim. Pamiętam ubrudzone waciaki („kufajki"), postrzępione płaszcze i filcowe buty („walonki"). Moje chłopięce zainteresowanie wzbudziły „pepesze" z charakterystycznym bębenkiem, różniące się od broni niemieckiej, którą dotąd widywałem. Z tego, co wkrótce nastąpiło, pamiętam nowe pieniądze i to, że ogrodnik dostał karabin jako społeczny członek milicji. W Górkach czasowo zatrzymali się też właściciele pobliskiego majątku, wypędzeni przez reformę rolną.

Mama na drugi dzień po wyzwoleniu poszła (piechotą!) do Warszawy. Po dwóch dniach marszu dotarła wieczorem do naszego domu. Brama była zamknięta, a znajdujący się na podwórzu ludzie nie reagowali na wołania. Poproszony o pomoc przygodny czerwonoarmista krzyczał po rosyjsku i strzelał. Wtedy bramę otworzył dozorca Józef. Na podwórzu stały wozy z jego wsi, załadowane rzeczami „wyszabrowanymi" (słowo dziś zapomniane, wówczas bardzo aktualne) z mieszkań, także z naszego. Miał służbowe klucze do wszystkich drzwi. Mama wróciła z wiadomościami, które zmieniły perspektywę dalszego życia rodziny.

Po wojnie majątek państwa Orzechowskich uniknął reformy rolnej, ale byli gnębieni jako „prawie obszarnicy". Narzucono na nich ciężary finansowe nie do spłacenia. Gdy panu Stanisławowi kazano asystować przy pokazowej licytacji inwentarza, m.in. koni i krów, które wychował i znał po imieniu, oddalił się do domu i odebrał sobie życie. Po 60 latach (w 2015 roku), odwiedzając Mogielnicę śladami wojennego dzieciństwa, prawie nie poznałem majątku w Górkach. Ma on nowych właścicieli, sadownictwo zostało zredukowane, natomiast jest tu produkcja przemysłu spożywczego. Kultowa restauracja Szufladowicza w rynku miasteczka nie przetrwała czasów PRL, ale u miejscowych zachowała się jej pamięć.

[2] W. Sieroszewski, *Bajki*, Towarzystwo Wydawnicze „Rój", Warszawa 1931.

Po 60 latach na ganku dworku Górki. Z dr. Sławomirem Chmielewskim, ornitologiem i burmistrzem Mogielnicy, aktualną właścicielką posiadłości i Elą, 2015 rok

Z Mogielnicą łączy mnie też aktualnie „przyjaźń ornitologiczna" z dr. Sławomirem Chmielewskim, badaczem awifauny tamtego regionu i jego historii. Jestem współautorem przedmowy w jednej z jego książek[3]. W Sławku podziwiam lokalny autorytet: od 1998 roku przez sześć kolejnych kadencji był i jest (2021 rok) burmistrzem Mogielnicy, bez zaangażowania politycznego, za to z wielkimi zasługami dla miasta.

W czasie wojny z naszej rodziny zginęły cztery osoby. Trzy z nich to wojskowi (dwaj byli lekarzami) uwięzieni we wrześniu 1939 roku przez NKWD, straceni w Katyniu i Starobielsku. Czwarta śmierć to mój, wówczas siedemnastoletni, brat stryjeczny Wiesław Barycki. Kiedy podczas powstania w okolicy grasowała kolaboracyjna rosyjska armia RONA, ukrył się z grupą mężczyzn w piwnicy. Dom został podpalony i oni się tam udusili. Mój brat cioteczny Stefan Szrociński przeżył wojnę w niemieckich obozach jako jeniec wojenny, m.in. w karnym po nieudanej ucieczce. Po wojnie nie mógł dostosować się do „normalnego" życia. Wujek Konrad Orzechowski (na zdjęciu w rozdziale 3) spędził kilka lat w gułagu na Uralu. W 1939 roku jako lekarz zarządzał służbą sanitarną obrony Warszawy, a w czasie okupacji – warszawskim szpitalnictwem. Wyznaczony przez Niemców uczestniczył w międzynarodowej komisji (Czerwonego Krzyża?) badającej w 1943 roku zbrodnię katyńską. Potem oczywiście był pierwszy na liście aresztowań NKWD. Gdy po latach wrócił, ten dawniej zażywny mężczyzna był krańcowo wynędzniały i nie mówił o swoich przeżyciach.

[3] S. Chmielewski i in., *Ptaki krainy Gór Świętokrzyskich*, Bogucki Wydawnictwo Naukowe, Kielce–Poznań 2005.

Rozdział 6

LATA SZKOLNE W WARSZAWIE

Po powrocie do Warszawy wiosną 1945 roku pozostanie w naszym dawnym mieszkaniu na Puławskiej okazało się niebezpieczne. Dom został zajęty w dużej mierze „na dziko" przez obcych mieszkańców, m.in. pracowników pobliskiego kompleksu służb bezpieczeństwa na ul. Rakowieckiej. Tata jako kamienicznik był tu źle widziany – to był czas bezprawia i przemocy. Wynajęliśmy mieszkanie na Służewie (na nieistniejącej dziś ul. Grabowej) u pastora Feliksa Gloeha, którego tata znał ze wspólnoty ewangelickiej. Pastor był teraz w wojsku głównym kapelanem tego wyznania, w stopniu pułkownika. Miał służbowy samochód z wojskowym szoferem. Do tego malutkiego czteroosobowego opla zabierał nas w sześć osób, co dzieciom sprawiało uciechę, a w dzisiejszych czasach byłoby wyczynem rekordowym, oczywiście nielegalnym. Tata wkrótce przystosował się do nowej rzeczywistości, zaczął pracować w Społecznym Przedsiębiorstwie Budowlanym, jednej z głównych instytucji wówczas odbudowujących Warszawę. Był w tej dziedzinie kompetentny, bo przed wojną budował domy z dziadkiem Karolem. Dziś brzmi to niewiarygodnie, ale obok pracy przy biurku bywał też w SPB kierowcą samochodów ciężarowych. Wtedy z amerykańskiego demobilu przychodziły wielkie ciężarówki, a mało kto miał prawo jazdy, więc tata doraźnie i nieformalnie zaspokajał też tę potrzebę firmy.

My ze Sławkiem poszliśmy do III i IV klasy Szkoły Podstawowej nr 187, początkowo mieszczącej się w domu mieszkalnym na ul. Naruszewicza, później już we właściwym budynku szkolnym na ul. Woronicza. Było to dla nas wyjście spod domowego klosza do normalności szkolnej. Podczas okupacji uczyliśmy się w domu, a w Mogielnicy szkoła dopiero organizowała się po wyzwoleniu i chodziliśmy do niej krótko. W szkole, po wcześniejszej nauce w domu, nie mogłem przyzwyczaić się ani do stałych bijatyk, w których nie byłem wyćwiczony, ani do złośliwego wyśmiewania przed klasą i do surowych zachowań nauczycieli. Natomiast samo wejście do zbiorowości rówieśników spełniło naturalną potrzebę socjalną, niezaspokojoną „domowym chowem".

Wojenne trudności w nauce szkolnej sprawiły, że w mojej klasie byli też chłopcy starsi i oni dominowali brutalnością zachowania. W pierwszych latach nauka często odbywała się w stłoczeniu i na popołudniowych zmianach. Dostawaliśmy wtedy pożywną zupę, nalewaną do własnych naczyń. Pamiętam kłopotliwe przynoszenie do szkoły misek czy kubków, ale w tamtych czasach to dożywianie dla wielu uczniów miało znaczenie. Szerzyła się wszawica, więc mieliśmy przeglądy dokonywane przez higienistkę szkolną. Znalezienie u kogoś

wszy – to był wstyd przy klasie i na głowę śmierdzące smarowidło – sabadyla. To doświadczenie na szczęście nas ze Sławkiem ominęło. Należeliśmy do harcerzy – nasz zastęp nazywał się Zielone Gęsi, ale oczywiście nic nie wiedzieliśmy o Gałczyńskim, z którego twórczości ta nazwa pochodziła.

W ostatnich latach w szkole pojawiły się już oznaki zmian politycznych zachodzących w kraju. Do śpiewnika weszły piosenki radzieckie i pamiętam uświadamiającą pogadankę jakiegoś oficera. Zatailiśmy w szkole nasze ewangelickie wyznanie, wtedy kojarzone z niemieckością, na którą (po czasach okupacji) było powszechne wrogie wyczulenie. Chodziłem więc z klasą na szkolne nabożeństwa i rekolekcje.

Po szkole ulubionymi zabawami chłopców były grupowe walki w ruinach budynków, często w położonym blisko szkoły zniszczonym pałacu Królikarnia. Wypalaliśmy też w ognisku amunicję – na szczęście udawało się znaleźć tylko tę „małą". Rodzice starali się trzymać nas z dala od takich zabaw, nie zawsze skutecznie.

W tym czasie zamieszkały z nami dwie cioteczne siostry: Ela i Irka Ludert (13 i 14 lat), które straciły rodziców i tułały się w ich rodzinnej Łodzi bez opieki. Teraz w niewielkim mieszkaniu było nas sześcioro. Dziewczęta poszły do gimnazjum, gdzie z powodzeniem nadrobiły zaległości z nauki w niemieckiej szkole w Łodzi, miasta podczas okupacji włączonego do Rzeszy jako Litzmannstadt.

Wkrótce wszystkie warszawskie nieruchomości zostały naszej rodzinie odebrane tzw. dekretem Bieruta. Tata przypłacił to śmiertelnym zawałem serca, gdy spotkały go w miejscu pracy (SPB) bezprawne obciążenia miesięcznych poborów mające pognębić przedwojennego kamienicznika. Zanim to nastąpiło, odnowiła mu się gruźlica, co zadecydowało o naszym przeniesieniu się na stałe do Świdra.

Rozdział 7

W ŚWIDRZE I W OTWOCKIM LICEUM

Nasze przeniesienie się do posiadłości w Świdrze, dotychczas tylko letniska, miało na celu, poza względem klimatycznym w związku z odnowioną gruźlicą taty, także uchronienie przed utratą tej jedynej nieruchomości, która nam pozostała. Do naszego domu w Świdrze dokwaterowano dwie rodziny, ale na szczęście współżycie z nimi ułożyło się dobrze. Byli to państwo Burzyńscy, repatrianci z Mandżurii – pan Andrzej (muzyk w warszawskiej Operze) i pani Walentyna (Rosjanka). Drugą rodziną przymusowych lokatorów byli państwo Wiśniewscy – wywłaszczeni z dóbr ziemskich pod Tłuszczem. Z ich dziećmi, naszymi rówieśnikami – Wandzią, Zdzisiem i Ewą – zaprzyjaźniliśmy się „na zawsze". Stary dom, wprawdzie murowany, ale dotąd służący tylko za letnisko, jakoś wystarczał nawet dla trzech rodzin (oddzielały nas osobne piętra), lecz nie zapewniał wygód do całorocznego zamieszkania. Nie było w nim kanalizacji, wody, toalet – studnia z pompą i „sławojka" na dworze. Z trudnością ogrzewały go piece węglowe i kuchnia.

Po śmierci taty w 1950 roku mama (zawsze dzielna!) poszła do pracy w księgowości zakładu mleczarskiego w Otwocku. Dla wsparcia szczupłego domowego budżetu chowaliśmy na własne potrzeby drób, króliki i kozy oraz uprawialiśmy ogród

Nasz stary dom w Świdrze

owocowo-warzywny, a nawet niewielkie pólko ziemniaków. Obaj ze Sławkiem, mając już po kilkanaście lat, uczestniczyliśmy w tych pracach ogrodniczo-gospodarczych, także w domowych jak palenie w piecach i kuchni węglowej, rąbanie drewna na opał, przynoszenie węgla z piwnicy i wody ze studni, coroczne smarowanie smołą dachu z papy. Jako specjalną udrękę wspominam pertraktacje z podpitymi wozakami (dziś to wymarły zawód, a wtedy królowie lokalnego transportu) o przywóz węgla i zrzucenie go do piwnicy. Moją powinnością było też zabijanie drobiu i królików (ale nie kóz traktowanych jako domownicy), co wtedy spełniałem bez wahania, a teraz chyba bym tego nie zrobił.

Przeprowadzka do Świdra zbiegła się u mnie z ukończeniem szkoły podstawowej. Poszedłem do liceum w pobliskim Otwocku[4], zgodnie z ówczesnym systemem czteroletniego, z klasami VIII–XI. Mieściło się ono (tak jak obecnie) w pałacowym budynku przedwojennego kasyna, z piękną aulą i wielkim tarasem wychodzącym do parku. Tu spotkałem się z nowymi zwyczajami i sprawną dyscypliną. Obowiązywały czapki szkolne i tarcze na rękawach. Dziewczęta nosiły granatowe lub czarne fartuchy z białymi kołnierzykami. Zabronione były nylonowe pończochy – wówczas luksusowa nowość. Nauczycieli tytułowaliśmy „profesor/profesorka". W większości byli to magistrowie, czyli zupełnie inna ranga niż w podstawówce. Część z nich miała przeszłość nauczania okupacyjnego i etos przedwojennego nauczyciela, dwoje przeszło przez niemieckie obozy koncentracyjne. Wspominam z sentymentem wychowawcę mojej klasy Franciszka Adamskiego, profesora łaciny. Miał w życiorysie studia w seminarium

Z kolegami w czapkach szkolnych

[4] Wspomnienia z liceum: R. Mazek, *Luniak, czyli kania. Wspomnienia profesora od ptaków* [w:] *100 lat tradycji Liceum Ogólnokształcącego nr 1 w Otwocku 1919–2019*, pod red. J. Michalczyk i in., Otwock 2019, s. 266–289.

duchownym, skąd zapewne wyniósł tę specjalność. Dyscyplinował nas w sposób bardzo osobisty i wyrozumiały. Bywaliśmy u niego w domu, uczył nas też tańczyć (m.in. mazura i poloneza). Stwarzał dobrą atmosferę klasowego współżycia. Odnowiliśmy ją spotkaniem w 50-lecie matury (1953 rok) i później kolejnymi co roku. Z 28 ówczesnych maturzystów ostatnio (2020 rok) na wspólnym obiedzie w warszawskiej restauracji było nas około 10 osób. To niezła przeżywalność osiemdziesięciolatków, zważywszy, że pewnie jeszcze ktoś nie mógł lub nie chciał dołączyć.

Czas w otwockim liceum (1949–1953) zbiegł się z okresem stalinizmu w kraju, co znajdowało odbicie w życiu szkolnym. W auli odbywały się apele rozpoczynane odśpiewaniem hymnu ówczesnej międzynarodowej młodzieżówki komunistycznej – „Naprzód młodzieży świata..." (do dziś podoba mi się). Potem była „prasówka", omówienia wydarzeń politycznych, podejmowanie różnych uchwał – piętnujących lub „solidaryzujących się z...", także zobowiązań „ku czci". Prawie wszyscy należeliśmy do Związku Młodzieży Polskiej (ZMP), ówczesnego „przedszkola" partii (PZPR). Była to moja jedyna w życiu (potem też krótko na UW) przynależność do organizacji politycznej. Przy różnych okazjach nosiliśmy zielonkawe koszule z czerwonymi krawatami. Stale odbywały się klasowe zebrania ZMP, na których podejmowaliśmy zobowiązania, np. zrobienia gazetki

Fragmenty protokołów zebrań ZMP (oryginalna pisownia, bez nazwisk)

10 grudnia 1951 roku

Kol. P. zaznaczyła, że w organizacji należy zrobić czystkę. Niektórzy z członków nie godni są nosić legitymacji ZMPowskiej. [...] Pierwszy złożył samokrytykę kol. K. [...] jednak mówił tak, że nic na prawdę nie można się było od niego dowiedzieć.

22 marca 1952 roku

W ostatnim dniu Tygodnia ZMP klasa otrzymała 20 ocen niedostatecznych z matematyki, [...] a ci, którzy uniknęli dwójek – ściągali [...]. Kol. P. wysunęła wniosek: [...] na przyszłość osoby ściągające prace domowe lub klasówki, będą podawane do p. prof. B. [...] Wniosku nie przegłosowano [...].

Uświęcona tradycja ściągania obroniła się więc, a ta koleżanka P. była prymuską klasową i w ten sposób pewnie chciała się uwolnić od ściągających od niej.

Dalej na tym zebraniu:

ZMP musi pomóc P.O.P.owi [Podstawowa Organizacja Partyjna] *w urządzeniu akademii ku czci Święta Jedności Klasy Robotniczej* [Święto Pracy – 1 maja] *i 60 rocznicy urodzin tow. Prezydenta* [Bolesław Bierut]. *Nasze Koło musi wydelegować kilka osób, które zabrałyby głos na tej akademii. Ponieważ jak zwykle nie było ochotników, Zarząd wyznaczy te osoby.*

Tak to było z tą spontanicznością.

8 maja 1952 roku – zobowiązania z okazji Zlotu Młodych Budowniczych Polski Ludowej:

[...] kol. P. weźmie udział w konkursie „Jesteśmy szczęśliwym pokoleniem Polski Ludowej", kol. B. i kol. S. zobowiązali się przekroczyć 5 m w skoku w dal, kol. St. zobowiązała się do dania koleżance Sk. 8 lekcji z matematyki [...].

ściennej, nauczenia się pieśni śpiewanej potem klasą na szkolnych akademiach i przy innych okazjach. Częstym tematem była krytyka czyjegoś niepoprawnego zachowania/wypowiedzi i samokrytyka takiego winowajcy. Byliśmy też posyłani do zarządu miejskiego ZMP, gdzie powierzano nam różne zadania, przeważnie agitacyjne. Obowiązywało tam pozdrowienie „cześć pracy!". Ci aparatczycy mieli poziom mentalny i język wyśmiewane dziś w komediowych filmach. Przez jakiś czas byłem sekretarzem (ale nie przewodniczącym) klasowego koła ZMP i zachowałem część protokołów z tamtych zebrań.

Wiele lat później na naszych zjazdach absolwentów czytaliśmy sobie te protokoły z rozbawieniem. Na którymś z tych spotkań chwaliłem się, że zamiast uczestniczyć w szkolnych pochodach pierwszomajowych, wolałem pójść „na ptaki". Na to jeden z kolegów podesłał mi zdjęcie z takiego pochodu, gdzie jestem w pierwszym szeregu z czerwoną flagą, tzw. szturmówką. Do ZMP zwykle nie należały osoby szczególnie obciążone „złym" pochodzeniem społecznym, np. ojciec był przedwojennym oficerem. Ten grzech mojej rodziny kamieniczników został ukryty pod powszechnie wtedy stosowanym terminem „inteligencja pracująca". Chyba tylko jedna osoba w klasie miała rzeczywiste pochodzenie robotnicze, wtedy najwyżej cenione politycznie.

Były też tępione „zachodnie wpływy" w ubiorze nazywane „bikiniarstwem". Ten dziwaczny termin pochodził od nieznanego nam jeszcze wtedy negliżowego stroju kąpielowego „bikini", a ten – od egzotycznego atolu wysp Bikini na Pacyfiku, wtedy (1951 rok) znanego z amerykańskich prób nuklearnych. Przejawami tej politycznej niepoprawności były zapuszczone włosy, wzorzysty krawat np. z palmami (stąd „bikini"), barwne skarpetki, podwyższone podeszwy butów, zwężone nogawki spodni. Na dość częstych zabawach szkolnych obowiązywał zakaz „zachodnich" tańców – wówczas boogie-woogie czy rumby. Było to jeszcze przed erą rock'n'rolla.

Nie pamiętam, żeby ówczesna szkolna rzeczywistość polityczna wzbudzała w nas jakieś zasadnicze opory. Traktowaliśmy ją jako normalność „przymusów" szkolnych, a niektórzy – z zaangażowaniem motywowanym chyba uczniowską pilnością. W klasach VIII i IX mieliśmy jeszcze religię. Obok banalnej treści tych lekcji ks. Ruszczak opowiadał nam o swoim okupacyjnym pobycie w Auschwitz (miał obozowy numer na ręce). Te przejmujące relacje pamiętam do dziś.

W domu sprawy polityczne nie były poruszane, szczególnie po śmierci taty. Mama była zaabsorbowana pracą w księgowości, która wtedy (przed erą komputerów) wymagała posługiwania się liczydłem z ręcznie przesuwanymi drewnianymi „guzikami", ślęczenia nad kolumnami liczb i stertami rachunków. Pochłaniały ją też codzienne sprawy bytowe. Przeszłość kamieniczników była w rodzinie przemilczana i uważana za bezpowrotną.

Znaczna część uczniów dojeżdżała do szkoły rowerami. Wynikało to zarówno z dużego obszaru „obsługiwanego" przez nasze liceum, jak i ze złego stanu ówczesnej komunikacji. Nie wiem, czy w całym Otwocku ktoś miał wtedy prywatny

Na rowerach przy starym domu w Świdrze. Z prawej ja, za mną nadjeżdża Sławek

samochód. Miejscy dygnitarze jeździli motocyklami. Stąd w szkole panowała swoista subkultura rowerowa z kryteriami prestiżu, podobnymi jak w dzisiejszym środowisku automobilistów. Używane przez nas bicykle nie dorównywały klasą dzisiejszym – przerzutkę biegów znaliśmy tylko z oglądania zawodów kolarskich. Ja miałem przedwojennego angielskiego rovera (teraz to marka ekskluzywnych samochodów), który zachował się w rodzinie. W szkolnej suterenie korytarz i inne pomieszczenia służyły do przechowywania rowerów, jednak bez stojaków lub innych udogodnień. To stłoczenie i ówczesny brak rowerowych zamknięć rodziły konflikty, często z powodu nieuprawnionych „pożyczeń" albo wręcz wzajemnych złośliwości. My ze Sławkiem dojeżdżaliśmy rowerami ze Świdra do otwockiego liceum praktycznie przez cały rok, około czterokilometrową trasą, zwykle w większej grupie kolegów z sąsiedztwa.

W otwockim liceum byłem uczniem średnim pod względem nauki (słabszym z matematyki i sportu), zachowania i zaangażowania w ZMP, z dobrymi relacjami w klasie. Jedyną poważniejszą kolizją z dyscypliną szkolną, jaką pamiętam, było zawieszenie w prawach ucznia z powodu wina przyniesionego na klasową potańcówkę. Domowe wino porzeczkowe pozostałe po tacie (rozdział 4) przyczyniło się do tego, że repertuar naszej zabawy rozszerzył się m.in. o zjeżdżanie ze schodów na materacach gimnastycznych. Później opinia klasowa uznała, że w śledztwie prowadzonym przez dyrektora szkoły niepotrzebnie przyznałem się do przyniesienia wina. Tę naukę zapamiętałem do dziś, a wiele lat później potwierdziła mi to zaprzyjaźniona osoba z milicji: „Nigdy się nie przyznawaj".

Przy tym „średniactwie" wyróżniałem się jednak pod dwoma względami – jako „ten od ptaków", o czym będzie dalej, w rozdziale 8, i jako klasowy poeta. Nie wiem, skąd w roku maturalnym (XI klasa) wzięło mi się to pisanie wierszy, bo wcześniej jako czytelnik nie miałem specjalnego zainteresowania poezją. Przez kilka miesięcy stworzyłem ponad 40 „utworów", starannie rymowanych

i naiwnych – okolicznościowych, żartobliwych, personalnych. W kręgu klasowym na ogół podobały się, a *Cmentarz profesorów* z 11 epitafiami dotarł nawet do pokoju nauczycielskiego. Przykłady z tego zbioru:

- o wspomnianym już wychowawcy prof. Franciszku Adamskim – łacinniku:

  Tutaj leży Franciszek, czcijmy jego imię,
  kochaliśmy jego, ale nie łacinę.

- o prof. B. – matematyku:

  Mnożył, logarytmował, dnia pewnego zagasł,
  pewnie śmierć pomyślała: wyjmę go przed nawias.

- o prof. W. – historyczce:

  Dotąd żyła aż zgasła – o tej ważnej dacie
  i fakcie historycznym zawsze pamiętajcie.

- o woźnym, panu Bolesławie Danielu:

  Oto jest grób woźnego. Godłem jego miotła.
  Dotąd on zmiatał śmiecie aż go śmierć wymiotła.

Był też cykl *Ludzie z ostatniej klasy*, wiersze naśladujące styl poezji Majakowskiego, rosyjskiego poety futurystycznego, lansowanej wtedy ze względów politycznych, a ja dziś nadal ją lubię. Przetłumaczyłem (na poważnie!) dwa polityczne wiersze ówczesnych poetów radzieckich i w takim stylu stworzyłem także własny pean *Legitymacja ZMP*.

W naszej klasie wiersze pisywał też Janek Trynkowski, później archeolog na UW – badacz starożytnej Dacji. Janek zrecenzował moją „poezję" wierszem (przechowuję go!), który zaczynał się lirycznie:

Jak liści szmer na drzewie
Jak wiatr w swym ciągłym śpiewie
Jak gra konika w trawie
Jak białe lilie w stawie...

później nastrój wzmacniał się i dopiero w ostatniej zwrotce Janek odkrył cel tej kaskady porównań:

Jak hasło – wezwanie do czynu
Jak wieniec liści wawrzynu
Właśnie nie inna lecz taka
Poezja jest Maćka Luniaka.

Zrewanżowałem się *Hymnem na cześć Janka Trynkowskiego – poety sławnego* zaczynającym się:

Bądź pozdrowiony mistrzu
Imię twoje sławię
I w świętym gaju poezji
Posąg ci wystawiam.

Po maturze zupełnie mi to przeszło. Zostały dwa zeszyty z tą „twórczością" pisaną jeszcze „wiecznym" piórem z atramentem, postrzępione przez czytanie w klasie. Gdy teraz zaglądam do nich, to moje szkolne wierszowanie ogólnie mi się podoba, z oczywistą poprawką na grafomańską skłonność nastolatka i na ówczesną rzeczywistość polityczną. Przypominają mi się tamte sytuacje i nastroje, ale też uświadamiam sobie, jak wielu opisanych tam osób już nie ma.

W okresie, kiedy mieszkaliśmy w Świdrze, mieliśmy też epizod budowania domu nawiązujący (oczywiście nie ta skala) do tradycji dokonań dziadka Karola i taty – budowniczych kamienic. Gdy w kraju nastała polityczna odwilż, mamie udało się w 1959 roku sprzedać część posiadłości w Świdrze ze starym, niefunkcjonalnym budynkiem i na pozostałej działce zbudowaliśmy dom jednorodzinny. Były to czasy nieznanych dziś ograniczeń – braku materiałów budowlanych i rąk do pracy, także niezupełnie legalnego załatwiania różnych formalności. Cegły na naszą budowę, pochodzące z rozbieranych wojennych ruin na warszawskiej Woli, były dowożone furmankami zatrzymywanymi po drodze przez posterunki milicji pobierające „myto". Egzekwowanym przez wykonawców zwyczajem było opijanie kolejnych etapów budowy, tzw. glajcha. To termin z niemieckiego przejęty do ówczesnego żargonu budowlańców. Mieliśmy więc, będąc ze Sławkiem już studentami, zupełnie nowe doświadczenie życiowe, także „towarzyskie", a nasza dzielna mama – jako „kierownik budowy".

Mama nad Świdrem, ok. 1955 roku

Nasz nowy domek w Świdrze wkrótce po zbudowaniu, 1958 rok

Teraz dziwię się, jak w takich warunkach w ciągu niecałego roku udało się nam zamieszkać w nowym, nowocześnie wyposażonym domku. Nareszcie mieliśmy centralne ogrzewanie, wodę i kanalizację, łazienkę z ciepłym prysznicem, osobne pokoje dla nas trojga z mamą. W garażu stanął motocykl WSK 125 – moje wejście do motoryzacji. Potem wymienił go skuter Osa 175.

W Świdrze zawsze mieliśmy w domu jakieś zwierzęta – kolejne psy i koty, także zwierzęta dzikie wzięte lekkomyślnie „na odchowanie". Pamiętam rybitwę rzeczną, kraskę, kawkę, także jeża i młodą wiewiórkę. Żadne z tych zwierząt nie było więzione w klatce – miały status „pilnowanych domowników". Kraska – jeden z naszych najbarwniej upierzonych ptaków – była wtedy pospolita w okolicach Warszawy. Dziś jest w całym kraju rzadkością na wymarciu, jej zdjęcie przechowuję więc jak relikwię. Próby wychowania tych zwierząt wziętych z przyrody, mimo naszych usilnych starań, nie skończyły się pomyślnym doprowadzeniem ich do

Podlot kraski, wówczas nasz domownik, a obecnie krajowa rzadkość

samodzielności. Wiewiórkę złapał kot z sąsiedztwa, rybitwa zginęła przejechana rowerem. Wyjątkami były jeż, który samodzielnie „wybrał wolność", i kawka zabrana jako „opuszczony"(?) podlot. Wychowała się w naszym domu, korzystając z pełnej wolności, i była aktywnym uczestnikiem życia rodzinnego, także towarzysząc nam poza domem. Z nastaniem jesieni coraz częściej znikała, przez jakiś czas wracała do jedzenia i na nocleg, aż straciliśmy z nią kontakt. Zapewne dołączyła do kawek odlatujących na zimowiska, chyba więc pomyślnie wróciła do przyrody.

Po latach, za sprawą naszej małej wówczas córeczki Magdy, już w mieszkaniu na warszawskich Bielanach, naszym domownikiem został podlot wróbla. Filip (samiczka) aktywnie towarzyszył nam w domowym życiu, jednak jego (i nasza) wolność była ograniczona zamkniętymi oknami. Jako miejsce nocowania wybrał sobie kieszeń podomki. Po tych własnych i innych znanych mi doświadczeniach bardzo (!) odradzam zabieranie dzikich zwierząt, żeby wychowywać je w domu, nawet przy umiejętnej dbałości o nie.

Po kilku latach my ze Sławkiem, będąc już po studiach, założyliśmy rodziny i wyprowadziliśmy się do Warszawy, a mama do jednorodzinnego segmentu z ogródkiem w Falenicy. To zakończyło moją przygodę ze Świdrem trwającą od wczesnego dzieciństwa. Gdy bywam tam teraz, z sentymentem odwiedzam dawne miejsca i odnajduję znajome drzewa, którym przybyło ponad pół wieku. Okolica zmieniła się – nie ma już naszego starego domu, a pojawiły się nowe. Nie ostała się też większość tych dawnych, w stylu „świdermajer" z wiersza Gałczyńskiego, a w płytkiej rzeczce jest znacznie mniej rybek. I oczywiście spotykam inne twarze.

Magda z „wróbliczką" Filipem trafiła do prasy

Rozdział 8

JAK ZACZĘŁO SIĘ Z PTAKAMI

W dzieciństwie nie zwracałem szczególnej uwagi na ptaki, mimo że chowaliśmy je w domu i były wokół w bogatej zieleni Świdra. Również w rodzinie i wśród bliższych przyjaciół nie znałem osób o zainteresowaniach przyrodniczych.

Pamiętam wydarzenie, które uważam za swoją „inicjację" ornitologiczną. Wiosną 1951 roku, gdy byłem w IX klasie (drugiej licealnej), poszliśmy z kolegą (Krzysztofem Ziembińskim, późniejszym aktorem) na wagary, u mnie – wybryk dość rzadki. Nad Świdrem spotkaliśmy chłopców, którzy tropili i plądrowali ptasie gniazda, co wówczas było popularną „rozrywką" podmiejskiej młodzieży. Właśnie dobrali się do lęgu szpaka w dziupli wierzby (pamiętam to drzewo!). Zabawiali się połyskującymi błękitem jajkami, podczas gdy spłoszeni rodzice (pewnie właśnie wysiadywali te jajka) latali wokół, rozpaczliwie skrzecząc. Nie potrafię logicznie powiązać opisanego zdarzenia z tym, że od niego rozpoczęło się moje zainteresowanie ptakami. Zostało mi ono na całe życie jako hobbystyczna fascynacja, a z czasem także jako wykształcenie i zawód. Może to był efekt pierwszego tak bezpośredniego, a przy tym dramatycznego i bliskiego spotkania z ptakami w przyrodzie. Przedtem, w „miejskim" dzieciństwie, nie miałem takich doświadczeń ani wiedzy. To były czasy bez telewizji dziś pełnej filmów przyrodniczych i obecnej bogatej literatury z tej dziedziny. W każdym razie zaznałem fascynującego odkrycia ptaków! W teologii (św. Augustyn?) nazywa się to „iluminacją" – nagłym oświeceniem.

Wybieranie ptasich lęgów

Opisana scena z rabowaniem lęgu szpaka dziś oburza nas jako bezsensowne niszczenie przyrody i wykroczenie przeciw obowiązującemu prawu. Natomiast dawniej, na biedującej wsi, jajka wybierane z gniazd ptaków były dobrem pozyskiwanym z natury, takim jak grzybobranie, wędkowanie czy kłusownictwo. Jajka dzikich kaczek, zwykle najłatwiej dostępne, podkładano dla wychowania kurom lub zjadano albo (zapewne najczęściej) – dawano psom i świniom. Ptasznictwo – chwytanie drobnych ptaków dla trzymania w domu – było legalne jako profesja i amatorskie „łowiectwo". Dawne książki kucharskie zawierały przepisy, jak przyrządzać np. pasztet z wróbli czy pieczone kwiczoły – dziś gatunki objęte ochroną. W Wilanowie była znana restauracja, której wiosenną atrakcję kulinarną stanowiły „czarne kurczaki", czyli młode gawrony wybierane z gniazd w pobliskiej kolonii lęgowej. Ta kolonia została nawet upamiętniona w pracy naukowej z tamtych czasów (1906 rok) na temat biometrii ptasich jaj. Sformułowanie rozpoczynające tytuł tej publikacji: *Wahania indywidualne jaj gawrona...* (chodziło o zakres zróżnicowania rozmiarów) dziś byśmy uznali za niefortunne.

Mój pierwszy przewodnik do rozpoznawania ptaków

Od opisanego zdarzenia zainteresowałem się ptakami. Dziś jest to popularne hobby i zawsze można uczyć się rozpoznawania gatunków i obserwowania ich zwyczajów, dołączając do jakiejś lokalnej grupy amatorów ornitologii, lub znaleźć sobie bardziej zaawansowanego towarzysza. W księgarniach jest bogaty wybór przewodników ornitologicznych, a handel oferuje znakomity sprzęt do obserwacji i fotografowania. W czasach, gdy zaczynałem życiową przygodę z ptakami, tego wszystkiego nie było, musiałem być więc samoukiem. Pierwszym moim przewodnikiem był dwuczęściowy atlasik dla harcerzy[5] z konturami pospolitych gatunków do kolorowania. Starałem się rozpoznawać je po narysowanych sylwetkach, ale ani na ilustracji, ani w opisie nie podano, jak te ptaki są ubarwione. Dla gatunków, których nie było w książeczce, sam wymyślałem nazwy. Na przykład ptaka pierwiosnka (jest też leśny kwiat o tej nazwie) nazwałem „zegarek" od jego rytmicznego śpiewu przypominającego „cykanie", a świstunkę – „jęczak", też od jej głosu. Zacząłem prowadzić notatki z obserwacji ptaków. Niestety (!) zniszczyłem je na jakimś etapie dorośleniа jako dokument swojego analfabetyzmu ornitologicznego.

Na obserwacje ptaków chodziłem głównie nad Świder, gdzie nadrzeczne zadrzewienia miały bogatą awifaunę. Na nieużytkach za rzeką przez kilka lat gniazdowała m.in. para dzierzb rudogłowych – gatunku wówczas rzadkiego, a dziś już nielęgowego w naszym kraju. O tych „moich" dzierzbach później dr Eugeniusz Nowak, ornitolog, z którym przyjaźniliśmy się podczas wspólnych studiów na UW, opublikował doniesienie naukowe[6] i w ten sposób Świder został upamiętniony w zagranicznej literaturze ornitologicznej. Częstym celem moich

[5] B. Hlebowicz, *Ptaki osiadłe i zimujące w Polsce* i *Ptaki przylotne*, Wydawnictwo ZHP, Warszawa 1949.

[6] E. Nowak, *Rotkopfwürger brütet bei Warschau*, „Journal für Ornithologie" 1957, nr 98, s. 216.

wycieczek była też niezbyt odległa Wisła, szczególnie rozległa dzika kępa między dwoma ówczesnymi ujściami Świdra (teraz jest jedno ujście).

Rodzice nie traktowali poważnie ani perspektywicznie tego zauroczenia („przejdzie mu z wiekiem"), tym bardziej że w naszym środowisku nie słyszało się wtedy o czymś takim jak ornitologia. Mimo to kupili mi lornetkę z niemieckiego demobilu, której parametry (6x30) dziś kwalifikowałyby ją do niskiej kategorii wyposażenia ornitologicznego. Gdy wiadomość o moim ptasim dziwactwie zaczęła rozchodzić się po znajomych, dostałem atlasik ptaków przedwojennego wydawnictwa Arcta[7]. To był mój pierwszy rzeczywiście przydatny przewodnik do ich rozpoznawania – miał kolorowe (na ówczesnym poziomie poligrafii) tablice i dość bogaty zestaw gatunków. Dostałem też zalegający w czyjejś bibliotece wielki zabytkowy podręcznik niemieckiego ornitologa Alfreda E. Brehma wydany w 1901 roku w Petersburgu po rosyjsku – *Żyzń ptic*. Zaczytywałem się w tej książce i przy jej lekturze nauczyłem się rosyjskiego w przedrewolucyjnej pisowni cyrylicy.

Moje ptasie zamiłowanie było znane w środowisku szkolnym i w sąsiedztwie, ale nigdy nie odczułem z jego powodu stygmatyzacji. Raczej spotykałem się z akceptacją jako „dziwny, ale jest w tym dobry". Nikt jednak nie był zainteresowany, żebym mu pokazał ptaki lub coś o nich opowiedział. Dopiero po jakimś czasie poznałem Pawła Cybulskiego z młodszej klasy, który też interesował się przyrodą, ale bardziej z zacięciem tropiciela i hodowcy. Dzięki niemu poznałem nad Świdrem gniazda m.in. dudka czy kraski. Teraz to są ornitologiczne rarytasy, ale wtedy były pospolite pod Warszawą. Pod koniec szkoły wspólnie obrączkowaliśmy ptaki – o tym będzie dalej. Od Pawła przejąłem sporo doświadczenia w obserwacjach terenowych, ale nie stworzyliśmy pary. On lubił chodzić swoimi drogami. W dalszym życiu zapalił się do żeglarstwa, jednak nie umiał pływać i skończyło się to tragicznie (rozdział 14).

W końcowym okresie liceum, podczas bytności w Warszawie, dotarłem do Instytutu Zoologii PAN. Poznałem wówczas naukowców ornitologów, nie spodziewając się wtedy, że w przyszłości będę tu jednym z nich. Luźniejszy niż obecnie reżim pracy naukowej (rozdział 11) i ich życzliwość sprawiły, że poświęcali swój czas garnącemu się do ornitologii licealiście. Te kontakty były pierwszym potwierdzeniem, że moje „zapatrzenie" na ptaki jest (lub może być) czymś poważniejszym, a nie tylko młodzieńczym dziwactwem, jak to widziano w rodzinie i w środowisku rówieśników.

Z czasów licealnych został mój ślad w zbiorach muzealnych Instytutu. Są tam okazy i dokumentacja siedmiu gniazd remiza z okolic Świdra, które jako zapaleni licealiści dostarczyliśmy ze wspomnianym wyżej Pawłem Cybulskim w latach 1952 i 1953.

[7] *Mały atlas ptaków krajowych*, t. 1–2, Wydawnictwo M. Arcta, Warszawa1931.

Te kontakty oraz lektury w bibliotece Instytutu Zoologii bardzo poszerzyły moją wiedzę. Zaczytywałem się tam „biblią" ówczesnej krajowej ornitologii – przedwojennym wydaniem podręcznika *Ptaki ziem polskich*[8]. Gdy byłem już w klasie maturalnej, moje kompetencje ornitologiczne zostały ocenione na tyle wysoko, że uzyskałem prawo obrączkowania ptaków dla Stacji Ornitologicznej należącej do Instytutu. Uznałem to za nobilitację wprowadzającą mnie do świata nauki, oczywiście z bardzo niewielkim amatorskim udziałem (ale jednak!). Odtąd obrączkowaniem zajmowałem się przez wiele lat, później też w pracy naukowej.

Z lektur i kontaktów w Instytucie Zoologii PAN dowiedziałem się też o możliwości osiedlania ptaków przez instalowanie dla nich specjalnych skrzynek lęgowych. Obecnie takie skrzynki, umieszczane na drzewach i budynkach, są powszechnie stosowane (rozdział 19). Zastępują one naturalne miejsca lęgowe tym gatunkom ptaków (u nas jest ich kilkanaście), które zakładają gniazda w dziuplach drzew czy szczelinach skalnych. W tamtych czasach ten sposób pomagania

Obrączkowanie ptaków

Znakowanie ptaków zakładanymi im na nogę obrączkami z indywidualnym numerem umożliwia identyfikację poszczególnych osobników. Metoda ta jest stosowana od ponad 100 lat w ramach międzynarodowego systemu (w Europie – Euring) i służy bardzo różnorodnym badaniom ornitologicznym, np. tras wędrówek ptaków, długowieczności, przywiązania do danej okolicy, struktur socjalnych.

W Polsce aktualnie jest ponad 400 społecznych obrączkarzy, którzy rocznie znakują w ten sposób około 150 tys. ptaków. Przychodzi o nich około 100 tys. wiadomości powrotnych – że były schwytane (i wypuszczone!) lub znalezione martwe albo ranne. Często są to stwierdzenia nawet z południowej Afryki i dalekiej Syberii, dokąd wiodą wędrowne szlaki znacznej części naszych ptaków.

Niektóre nowoczesne metody znakowania (np. kolorowe obrączki, obroże szyjne) pozwalają zidentyfikować ptaka nawet z odległości, bez chwytania go. Wiadomości o stwierdzeniu zaobrączkowanego ptaka (ale nie dotyczy to hodowanych gołębi!) należy zgłaszać do Stacji Ornitologicznej Muzeum i Instytutu Zoologii PAN (http://ring.stornit.gda.pl/; stornit@miiz.waw.pl), która jest krajową centralą gromadzącą i wymieniającą dane z tej dziedziny w międzynarodowym systemie Euring. Należy podać: odczyt z obrączki lub (jeśli ptak jest martwy) przesłać ją, gatunek ptaka (jeśli został rozpoznany), miejsce, czas i okoliczności jego stwierdzenia (np. znaleziony, obserwowany, martwy/ranny, odbywał lęg). Nadawca otrzyma wiadomość, gdzie i kiedy ptak był zaobrączkowany.

Chwytanie i znakowanie ptaków „prywatnie" jest zabronione prawem. Od czasu, gdy w Polsce obrączkuje się ptaki (1931 rok) Stacja Ornitologiczna zgromadziła dane o ponad 4 mln tak oznakowanych osobników i ponad 700 tys. wiadomości o ich późniejszym stwierdzeniu – to ogromny zasób wiedzy naukowej.

[8] J.B. Sokołowski, *Ptaki ziem polskich*, t. 1–2. Poznań 1936, wznowienie PWN, Warszawa 1958.

ptakom i osiedlania ich był mało znany, dla mnie stanowił więc odkrycie, do którego bardzo się zapaliłem. Podczas wakacji zacząłem ze starych desek zbijać skrzynki lęgowe odpowiednie dla określonych gatunków ptaków, np. inne dla sikorek niż dla szpaków (rozdział 19). Nie miałem doświadczenia w takich pracach i robiłem to w prymitywnych warunkach (to były czasy bez elektronarzędzi), przy dezaprobującym zdziwieniu otoczenia. Wyprodukowane skrzynki różnych typów – stosownie do wymagań poszczególnych gatunków ptaków – rozwiesiłem jesienią w okolicy i z obawą kompromitacji czekałem wiosny. Wtedy okazało się, że prawie wszystkie zostały zasiedlone, a w jednej gniazdowała nawet para muchołówek żałobnych, których dotychczas nie spotykałem w tej okolicy. To moje nowe doświadczenie ornitologiczne zakończyło się więc pełnym sukcesem. Od tamtego czasu stale mam do czynienia ze skrzynkami, m.in. stosowałem je w badaniach naukowych (rozdział 19), także w różnych akcjach społecznych i dla przyjemności osiedlania ptaków u siebie lub u chętnych przyjaciół. W ostatnich dziesięcioleciach skrzynki lęgowe dla ptaków stały się popularne, różne ich rodzaje są dostępne w handlu i są firmy je instalujące. Można przez powieszenie odpowiedniej (to ważne!) skrzynki mieć przy domu parę „swoich" szpaków, sikor, mazurków, wróbli, jerzyków, kawek czy pleszek. Od lat mam w ogródku parę takich skrzydlatych sąsiadów – szpaków, a tuż obok – sikory bogatkę lub modraszkę (rozdział 23).

Z przeżyć ornitologicznych okresu licealnego w Świdrze pamiętam jeszcze epizod później dla mnie wstydliwy. W odludnym miejscu nad rzeką spotykałem ptasznika. Łapał głównie czyże, rzadziej szczygły i inne ptaki. Sprzedawane na targowisku trafiały do klatek w domach, co było wtedy jeszcze dość popularne. Właśnie w tym czasie (1952 rok) drobne ptaki wróblowate zostały objęte ochroną gatunkową, ptasznictwo stało się więc nielegalne, ale wiedza o tym nie była jeszcze rozpowszechniona. Asystowałem temu ptasznikowi, mimo mojego krytycznego stosunku do jego procederu, zaciekawiony samym łapaniem ptaków. Posługiwał się siatką zwiniętą na ziemi, zarzucaną z ukrycia pociągnięciem sznurka. W polu pułapki była rozsypana przynęta, a obok stała klateczka z ptakiem, tzw. wabiem. Uwięziony w niej czyż lub szczygieł odzywał się, szczególnie usłyszawszy w pobliżu głosy ptaków swojego gatunku, co przywabiało je do pułapki. Później dowiedziałem się, że był to niejaki (nomen omen!) Słowik – król warszawskich ptaszników. Jego model zarzucanej sieci wykorzystywałem później (oczywiście bez użycia wabia) do łapania ptaków, które obrączkowałem i zaraz wypuszczałem. Teraz drobne ptaki chwyta się, dla obrączkowania i różnych celów badawczych, głównie w rozwieszane mało widoczne sieci ornitologiczne „mist net".

Wracając do epizodu ze Słowikiem, niedawno w ustronnym miejscu na peryferiach warszawskich Bielan znalazłem ślady aktualnie używanej instalacji ptaszniczej. Nie przypuszczałem, że ten proceder nadal funkcjonuje i że w użyciu jest model pułapki znany mi z tamtych czasów. Tylko kto dziś trzyma czyże w klatce?

Rozdział 9

NA STUDIACH

Lekcje biologii w liceum, prowadzone „z podręcznika", nie pasowały do moich zainteresowań przyrodą w terenie, a szczególnie ptakami. W tamtych czasach lansowano doktrynę tzw. twórczego darwinizmu radzieckich agrotechników Miczurina i Łysenki, do której pani profesor Solska chyba sama też nie była przekonana. Gdy przyszedł czas na decyzję „co po maturze?", byłem już na tyle zaawansowany (i zapalony) w ornitologii, że widziałem ją jako swój wybór życiowy. Obrączkowałem ptaki jako formalny społeczny współpracownik Stacji Ornitologicznej Instytutu Zoologii PAN, utrzymywałem kontakty z ornitologami naukowcami, znałem aktualne wówczas podstawowe polskie podręczniki, miałem też sporą znajomość ptaków w terenie. Więc tylko ptaki!

Dorośli (m.in. mama) ten wybór przyjmowali krytycznie, uważając, że trzeba mieć „realny" zawód. Kompromisowym pomysłem było leśnictwo na SGGW. W mojej klasie największą popularnością cieszyły się studia medyczne (dziewczęta) i na politechnice (chłopcy), czyli dające profesje „konkretne".

Podczas bytności w Warszawie rekonesansowo wybrałem się na Wydział Biologii UW, bo tam spodziewałem się związku studiów z ornitologią. Zoologia mieściła się wtedy w uniwersyteckim kampusie na Krakowskim Przedmieściu w historycznym budynku XIX-wiecznej Szkoły Głównej – pierwszego warszawskiego uniwersytetu. Znalazłem salę wykładową na pierwszym piętrze – wspominam ją z sentymentem, bo w następnych latach spędziłem w niej dużo czasu. Ku mojemu zdziwieniu (to był 1953 rok, czasy szalejącego stalinizmu) wykład z botaniki dla studentów drugiego roku właśnie miał tam ksiądz w sutannie – profesor Józef Szuleta (o jego losie na UW będzie dalej).

Akademicki wykład, w porównaniu z lekcjami szkolnymi, zrobił na mnie wielkie wrażenie. Naukowe łacińskie terminy, profesor zwracał się do słuchaczy „proszę państwa", a oni notowali w zeszytach akademickiego (a nie szkolnego!) formatu. To były czasy wykładów bez prezentacji slajdowych, notowania w tabletach i fotografowania smartfonem, co teraz jest standardem na uczelniach. Po wykładzie ksiądz profesor zaprosił mnie do swojego gabinetu i po tej rozmowie już wiedziałem, że tu jest moje miejsce. Natomiast zagadnięci studenci odradzali (żartobliwie?) – „studia jak każde, ale po nich żadne pieniądze".

Złożyłem więc papiery na ówczesny Wydział Biologii i Nauk o Ziemi UW. Maturę zdałem średnio. Na kierunek biologia ubiegały się trzy (?) osoby na jedno miejsce. O moim sukcesie w rekrutacji zadecydował chyba nie wynik egzaminu, a odbyta rozmowa, w której powiedziałem o swoich zainteresowaniach.

Wracając do księdza profesora Szulety – ostał się na Uniwersytecie w czasach stalinizmu jako znakomity wykładowca, jeden z najpopularniejszych wśród studentów, miał też chyba oparcie w kadrze naukowej. Jego stan duchowny nie ujawniał się w wykładach i rozmowach. ZMP robiło na niego nagonkę, którą znosił stoicko. Pamiętam, jak mi powiedział: „Jeżeli mnie wyrzucą, to mam zawód – uczyłem się na elektryka". Został usunięty z Uniwersytetu w 1954 roku po wzmiance (zapewne inspirowanej z UW?) na pierwszej stronie moskiewskiej „Prawdy", organu i wyroczni ideologicznej Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, że na socjalistycznym warszawskim Uniwersytecie, na Wydziale Biologii, wykłada ksiądz w sutannie[9]. Studenci z mojego roku zanieśli mu kwiaty do mieszkania. Wrócił na UW w 1957 roku. Nie wiem, czy w czasie przerwy w pracy na UW był tym elektrykiem.

Na moim roku studiowały osoby w różnym wieku, co wiązało się z wojenną przeszłością niektórych z nich. Jedna z koleżanek była sanitariuszką w AK, a inna – bez wątpliwości Polka – strzelcem wyborowym w radzieckiej partyzantce. Spośród kolegów jeden działał w polskiej partyzantce, a dwaj mieszkający na Pomorzu, wówczas w Rzeszy, zostali wcieleni do Wehrmachtu. Natomiast

Na pierwszych latach studiów nosiliśmy jeszcze akademickie czapki – ja ją zdjąłem ok. 1955 roku

[9] *50 lat Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego we wspomnieniach*, pod red. T. Jagielskiego, I. Wyszomirskiej, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2019, s. 98.

Budynek dawnej Szkoły Głównej na UW w latach sześćdziesiątych XX wieku

inny, później ceniony za granicą naukowiec, trafił do nas na studia z „awansu społecznego" – po skróconym kursie maturalnym zastępującym szkołę średnią. O tym wszystkim dowiedziałem się dopiero po latach, bo wtedy nikt nie zwierzał się z wojennej przeszłości. Znaczna część z nas doszła w życiu zawodowym do tytułów czy wysokich stanowisk naukowych. Ale był również przypadek czyjegoś zaangażowania się na rzecz „służb" PRL, w inwigilację zagranicznej Polonii.

Główną naszą bazą był historyczny budynek dawnej Szkoły Głównej. Dziś, bywając na Uniwersytecie, odwiedzam go ze wzruszeniem, mimo że Wydział Biologii przeniósł się w 2000 roku do nowoczesnego kampusu na Ochocie. W czasach, gdy studiowałem, wzdłuż korytarza stały szafy pamiętające jeszcze okres carski, wypełnione preparatami i wypchanymi zwierzętami. Asystenci i laboranci chodzili w białych kitlach – teraz rzadko kto się tak ubiera.

Duszą tego nastrojowego wnętrza był wiekowy „pan Jan" Sucharski pełniący jednocześnie funkcję woźnego i laboranta. Mając wykształcenie czterech klas dawnej szkoły realnej, pracował „na zoologii" od 1915 roku, gdy odtworzono polski Uniwersytet. Zaczynał jako woźny (wtedy „pedel"), a później „chłopiec laboratoryjny". W ciągu kilkudziesięciu lat pracy poznał wszystkich, którzy tu się „przewinęli", a w czasie okupacji uczestniczył w ukrywaniu zbiorów. Uśmiechnięty, pomocny, wprowadzający świeżo upieczonych studentów. Był źródłem aktualnych wiadomości w rodzaju „kiedy zwykle przychodzi profesor X?", „gdzie teraz ma zajęcia dr Y?". Dostarczał także żaby, ślimaki, myszy laboratoryjne jako materiały do ćwiczeń. Niestety wówczas niektóre nasze zajęcia, inaczej niż to jest obecnie, związane były z uśmiercaniem zwierząt.

W programie studiów mieliśmy dwa przedmioty ideologiczne – marksizm-leninizm i ekonomię polityczną. Ten pierwszy opierał się głównie na podręczniku historii WKPb (Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii bolszewików), który miał rangę politycznej biblii.

Wśród wykładowców z największym sentymentem wspominam prof. Zdzisława Raabego (1909–1972), protozoologa (specjalista od pierwotniaków teraz nazywanych protisty). Wspaniały pedagog i dydaktyk, wykłady prowadził „na luzie", często z mało akademickimi wyrażeniami, co było w tamtych czasach wyjątkowe wśród profesorów, a nam się podobało. Drzwi do gabinetu miał (i tylko on) zawsze otwarte, każdy mógł przyjść, rozmawiać również o sprawach osobistych. Przechodząc korytarzem, przyjaźnie zagadywał do mijanych studentów. Chyba tylko on jeden spośród profesorów i asystentów zwracał się do nas na „ty". Lubiliśmy go i uważaliśmy za bliskiego przyjaciela. Zmarł w pełni aktywności akademickiej, rezygnując z leczenia szpitalnego, co wtedy uważaliśmy za tragiczną lekkomyślność, a teraz widzę w tym mądrość życiową. Wspominam go z tym większą wdzięcznością, że był promotorem mojego magisterium i (formalnie) doktoratu. Dodam poniżej dygresję o ojcu prof. Zdzisława Raabego, Henryku Raabe – również wybitnym zoologu.

Prof. Wacława Gajewskiego, botanika, wspominam szczególnie nie dlatego, że u niego oblałem egzamin z genetyki – miałem dwie takie porażki na studiach. Należał do tych nielicznych w kadrze naukowej, którzy mieli wówczas odwagę krytykować „twórczy darwinizm" Trofima Łysenki, radzieckiego akademika – agronoma, lansowany wtedy u nas ze względów politycznych. Doktryna ta odrzucała przyjęte przez ówczesną „kapitalistyczną" i uznawane nadal przez współczesną naukę zasady dziedziczenia w świecie istot żywych, opartego na strukturach genetycznych, a wiązała to z bezpośrednim wpływem środowiska. Ten „twórczy darwinizm" załamał się oczywiście jeszcze przed krachem radzieckiego komunizmu, jak zawsze gdy ideologia ignoruje rzeczywistość. Prof. Gajewski, jako genetyk, znalazł się na pierwszej linii tego konfliktu. Wiele lat później opowiedział mi, że dano mu wtedy szansę „nawrócenia się" i wysłano w tym celu do samego Łysenki w Moskwie. Jednak ta misja okazała się bezskuteczna, tym bardziej że profesor zapamiętał Łysenkę jako człowieka prymitywnego i antypatycznego, z którym niemożliwa była jakakolwiek dyskusja. Prof. Gajewski został odsunięty od wykładów i przywrócono go dopiero po odwilży politycznej w 1957 roku.

Henryk Raabe (1882–1951)

Już od młodości (w czasie zaborów) był zaangażowany w działalność niepodległościową i lewicową, m.in. w PPS. W 1944 roku rządzący wówczas PKWN[10] powierzył mu zorganizowanie w Lublinie Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej (UMCS). O roli Henryka Raabego w odrodzeniu tej uczelni opowiedział mi prof. Gabriel Brzęk z UMCS, który w czasie wojny był partyzantem AK „gdzieś na wschodzie". Mieli tam dobre stosunki z pobliskim oddziałem partyzantów radzieckich, którzy jednak, gdy wkroczyła Armia Czerwona, „po przyjacielsku" aresztowali kolegów z AK. Prof. Brzęk znalazł się w więzieniu NKWD na lubelskim Zamku, gdzie spotkał również innych naukowców, m.in. ze Lwowa i Wilna, wtedy utraconych przez Polskę. Henryk Raabe, szukając kadr dla powstającego UMCS, zażądał wypuszczenia wskazanych przez niego osób. W ten sposób prof. Brzęk trafił z więzienia prosto na Uniwersytet. Prof. Henryk Raabe później był rektorem tej uczelni, ciesząc się autorytetem i popularnością. Na frontonie głównego gmachu jest tablica upamiętniająca swego założyciela, a w dzielnicy akademickiej – ulica Rektora Henryka Raabego. Na fali „dekomunizacji" próbowano zmienić jej nazwę, ale środowisko naukowe protestowało (podpisałem petycję) i przetrwała.

[10] Utworzony w Moskwie w 1944 roku Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego pełniący rolę rządu na terenach Polski wyzwalanych przez Armię Czerwoną.

Prof. Zdzisław Raabe z prof. Tadeuszem Jaczewskim

Ulica Henryka Raabego w Lublinie, 2021 rok

Prof. Kazimierz Dobrowolski „Kazik”

Nie pamiętam, żeby któryś z profesorów wciskał nam ideologię Łysenki, niektórzy omijali ją, a sędziwy prof. Kazimierz Bassalik, z którym mieliśmy fizjologię roślin, wręcz z niej drwił. Nawet prof. Jan Dembowski, wybitny twórca polskiej zoopsychologii, który był wtedy eksponowany politycznie m.in. jako prezes Polskiej Akademii Nauk i marszałek Sejmu PRL, w swoich wykładach z biologii ogólnej przedstawiał nam zasady „kapitalistycznej” genetyki obok „twórczego darwinizmu” – ale bez jego apoteozy. Z drugiej strony, jako prezes PAN, firmował konferencje i kursy promujące „nową biologię”. Na wykłady przywoziła go reprezentacyjna limuzyna – radziecki ZIS 110, a on sam był oficjalny w wyglądzie i zachowaniu, nie nawiązywał kontaktu ze studentami. Ktoś z Instytutu Warzywnictwa w Skierniewicach powiedział mi, że prowadzone tam eksperymenty z uprawami, mające potwierdzać „twórczy darwinizm”, zupełnie się nie udawały. Mnie ta ideologia w biologii mało interesowała, ubolewałem (niesłusznie!), że na studiach jest za dużo nauki teoretycznej i w laboratoriach, wobec niedostatku kontaktów z przyrodą w terenie.

Z naukowej kadry pomocniczej pozycję „guru” dla grupy studentów zainteresowanych tak jak ja ornitologią zajmował mgr (wówczas) Kazimierz Dobrowolski (1931–2002) – „Kazik”, później profesor i rektor UW. On prowadził nasze prace magisterskie, później również mój doktorat (formalnym promotorem był wspomniany wyżej prof. Zdzisław Raabe). W ciągu całej mojej późniejszej pracy naukowej był dla mnie autorytetem i wielokrotnie łączyła nas współpraca. Tak jak całe ówczesne pokolenie ornitologów z UW uważam, że wyszedłem ze „stajni Kazika Dobrowolskiego”. W czasie stanu wojennego, gdy został rektorem UW, spotykał się z krytyką znacznej części środowiska naukowego. Jednak jego zasługą było przeprowadzenie Uniwersytetu przez ten trudny okres praktycznie bez strat w kadrze i zakłóceń w działaniu uczelni.

W czasie moich studiów grupa kilkunastu „ornitologów” z różnych lat wyróżniała się wspólnotą zainteresowań. Wśród nich najbliżej trzymałem się z Andrzejem Jurczykiem ze starszego roku. Wiele korzystałem z jego wiedzy o ptakach i doświadczenia w obserwacjach terenowych. Miałem we współautorstwie z nim swoją pierwszą (jeszcze studencką) publikację ornitologiczną[11]. Później Andrzej, nie ukończywszy studiów, osiadł w Niemczech.

Na moim roku zainteresowanie ptakami łączyło mnie z Zygmuntem Pielowskim (później profesorem) i Olkiem Wasilewskim (później docentem). Spośród studentów starszych roczników byli to też Jan Pinowski, w przyszłości profesor w Instytucie Ekologii PAN, i Eugeniusz Nowak, który wkrótce po studiach przeniósł się do Niemiec, gdzie w państwowych instytucjach pełnił eksponowane funkcje współpracy ze Wschodem. Niedawno ukazała się w Polsce jego pasjonująca książka o zawiłych losach naukowców przyrodników w burzliwych czasach XX wieku[12].

Po pierwszym roku studiów miałem przerwę z powodu gruźlicy nabytej zapewne od taty (rozdział 7). Ta bezobjawowa choroba bardzo się wówczas szerzyła – sprzyjały jej m.in. zatłoczone mieszkania, łatwość infekcji i brak skutecznej terapii. Po badaniach przesiewowych w ostatniej klasie liceum dowiedziałem się, że mam gruźlicze zmiany w płucach, ale (lekkomyślnie!) zataiłem to. Na pierwszym roku studiów jakoś prześlizgnąłem się przez podobne badania, ale na drugim roku to się nie udało. Choroba była już w zaawansowanym stadium i zostałem objęty obowiązkiem leczenia. Dostałem urlop dziekański i skierowanie do sanatorium. Cztery pobyty w zakładach leczniczych (razem 11 miesięcy), terapia chirurgiczna i potem kilka lat zaostrzonego rygoru zdrowotnego sprawiły, że się wyleczyłem. W sanatorium poznałem i przyjaźniłem się (później też w akademiku) z Jankiem Stanisławskim, wkrótce popularnym aktorem kabaretowym i autorem tekstów satyrycznych. Po operacji leżałem na sali ze Stanisławem Grzesiukiem, znanym bardem warszawskiego folkloru. Grywał nam na bandżo i nałogowo opowiadał kawały, na ogół kiepskie. W sanatoriach nie wolno było wychodzić poza teren, ale zawsze znajdowałem jakąś dziurę w ogrodzeniu i wymykałem się na ptaki.

Opieka nad „chorymi na płuca” była wtedy na warszawskich uczelniach dobrze zorganizowana. Dzięki temu do końca studiów mieszkałem w specjalnym akademiku na ul. Górnośląskiej. W tym przedwojennym hotelu mieliśmy lepsze wyżywienie, dwuosobowe pokoje z łazienką, na miejscu znajdowała się przychodnia lekarska z rodzinnie opiekuńczym personelem. Dobry standard zakwaterowania, a także koedukacyjny skład mieszkańców, sprawił, że atmosfera była tu bardziej „domowa” niż w innych warszawskich akademikach, zatłoczonych i tylko męskich lub żeńskich. Mieszkała tu również Gabrysia Sarzała z mojego roku,

[11] A. Jurczyk, M. Luniak, *Zarys awifauny Wisły w okolicach Warszawy*, Zjazd Anatomów i Zoologów Polskich, Kraków 1959, s. 417–418.

[12] E. Nowak, *Ludzie nauki w czasach najtrudniejszych*, Bogucki Wydawnictwo Naukowe, Poznań 2013.

Na studencki bal „gałganiarzy” przebrałem się „demonicznie”, ok. 1959 roku

później wybitna biochemiczka, profesor w Instytucie Biologii Doświadczalnej PAN. Moimi sąsiadami byli dwaj studenci z Akademii Sztuk Pięknych („plastycy”) – Edek Baran i Wiktor Gajda, w przyszłości znany rzeźbiarz. Snobistycznie odwiedzałem ich w pracowniach na ASP, uczestniczyłem także w wakacyjnym plenerze w Sandomierzu. Przynosili niedostępne wówczas zagraniczne płyty (zapamiętałem romanse Wertyńskiego), które stale odtwarzaliśmy na skrzeczącym gramofonie.

Studia ukończyłem opóźniony o rok z powodu pobytu w sanatoriach w 1959 roku. Pracę magisterską zrobiłem u prof. Zdzisława Raabego, pod ornitologiczną opieką Kazika Dobrowolskiego. Temat wybrałem sobie sam – dotyczył przelotów (m.in. wędrówkowych) mew i rybitw na Wiśle w okolicach ujścia Świdra[13], czyli miejsca, gdzie od dzieciństwa prowadziłem obserwacje ptaków.

Z czasu studiów zostały mi na całe życie przyjaźnie ornitologiczne i związek (bardzo sentymentalny!) z Uniwersytetem. Zapamiętałem z tamtego okresu wieloletnią traumę gruźlicy, ale też komfort i rodzinną atmosferę akademika na Górnośląskiej. Nie angażowałem się w działalność polityczną, ożywioną wtedy na uczelniach. Oczywiście entuzjazmowałem się „odwilżą” 1956 roku i czytałem „prawie dysydencki” tygodnik „Po Prostu”, a późniejsze „zamrożenie” polityczne przyjąłem z rozczarowaniem. Ale bardziej pochłaniały mnie inne sprawy – ptaki i budowa domu w Świdrze (rozdział 7).

[13] M. Luniak, *Badania nad dynamiką liczebności i kierunkami lotów niektórych gatunków Laridae na Wiśle pod Warszawą*, „Acta Ornithologica” 1963, nr 7, s. 89–113.

Rozdział 10

SZUKAM PRACY – MYSZY I SZCZURY

Po pierwszym roku studiów (1954 rok) zgłosiliśmy się z Zygmuntem Pielowskim, kolegą z mojego roku zainteresowanym ornitologią, do pracy wakacyjnej w ówczesnym Zakładzie Ekologii PAN. Miała to być pomoc techniczna przy badaniach prowadzonych w Puszczy Kampinoskiej przez świeżo upieczonego mgr. Romana Andrzejewskiego (1930–2015)[14], później wiceministra środowiska w rządach Tadeusza Mazowieckiego i Jana Olszewskiego, profesora na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Bazą tych badań, prowadzonych przez grupę ekologów różnych specjalności, miała być Stacja Naukowa Zakładu Ekologii PAN w Dziekanowie Leśnym, jednak w tamtym czasie była ona dopiero w budowie.

Prof. Roman Andrzejewski, ok. 2000 roku

[14] R. Andrzejewski, *Zapiski myszołapa. Kampinoski Park Narodowy – 50 lat*, Warszawa 2010.

Początkowo mieszkaliśmy więc i opracowywaliśmy materiały w obozie namiotowym rozłożonym na piaszczystej wydmie na skraju Puszczy. Obiady przynosiliśmy z pobliskiego sanatorium dziecięcego (obecnie szpital), tam też można było korzystać z możliwości gruntowniejszego mycia i z telefonu. „Za potrzebą" chodziliśmy do lasu, zabierając z sobą łopatkę. Później stopniowo przenosiliśmy się do wykańczanego budynku.

Romek Andrzejewski – mój szef – prowadził badania nad drobnymi gryzoniami. W Puszczy żyje ich kilka gatunków. Rozstawialiśmy pułapki i kontrolowaliśmy je dwa razy dziennie przez siedem dni w tygodniu. To wymagało kilometrowych obchodów na odległych od siebie powierzchniach badań. Puszcza była wówczas znacznie mniej uczęszczana i bardziej podmokła niż dziś. Często spotykaliśmy m.in. żmije, które obecnie są rzadkością. Początkowo w badaniach używaliśmy zwykłych pułapek zabijających ofiarę i niestety ginęły w nich też ptaki zwabione przynętą dla myszy (owies). Przeszliśmy więc na pułapki żywołowne – złapane zwierzę wypuszczaliśmy na miejscu, po zbadaniu i oznakowaniu. Takie pułapki nazwane „dziekanowskimi" – oryginalny projekt Romka – rozpowszechniły się i do dziś, mimo że minęło już ponad pół wieku, są używane (nie tylko w Polsce) do połowu drobnych ssaków.

Dla mnie uczestnictwo w tej kilkunastoosobowej grupie ekologów różnych specjalności było pierwszym bezpośrednim spotkaniem z „wysoką nauką" – z problemami, prowadzeniem dokumentacji, atmosferą badań. Z Romkiem Andrzejewskim zaprzyjaźniłem się na całe życie i potem przez wiele lat współpracowaliśmy. Uważam go za swojego mistrza w dziedzinie ekologii, tak jak Kazika Dobrowolskiego w ornitologii (rozdział 9). Na późniejszych latach studiów Romek dawał mi prace zlecone, m.in. prowadziłem dla niego badania wiewiórek w Łazienkach. Dzięki temu w domu byłem samodzielny finansowo, kupiłem sobie również pierwsze wyposażenie do fotografowania ptaków – amatorski aparat i teleobiektyw, jednak tylko portretowy (135 mm).

Pułapka żywołowna na drobne ssaki, przy niej nornica ruda

Opiekunami naukowymi naszych badań byli profesorowie Kazimierz Tarwid i Kazimierz Petrusewicz, których szczególnie zapamiętałem z tamtego czasu.

Profesorowie Kazimierz Tarwid i Kazimierz Petrusewicz

Pierwszy z nich w czasie wojny szefował komórce AK w Muzeum Zoologicznym (dziś mój Instytut). W okresie powojennym był prekursorem ekologii w Polsce – nowej wówczas dziedziny, dziś królującej w badaniach biologicznych i podstawowej dla wszelkich działań wobec środowiska. Wymagający, z wielkim umysłem i zaskakującymi pomysłami, nie znajdował aprobaty u konserwatywnej części warszawskich zoologów (m.in. w moim Instytucie!), wtedy uważających ekologię za nowy udziwniony wymysł. Wkrótce okazało się, jak bardzo się mylili. Później został oskarżony o zabójstwo żony. Było to zatrucie cyjankiem potasu, który oboje używali w badaniach. Odbywał karę dożywocia, jednak po długotrwałych procesach poszlakowych Sąd Najwyższy uniewinnił go. Byłem w grupie osób witających profesora wychodzącego z więzienia na ul. Rakowieckiej.

Równie szczególną postacią był prof. Kazimierz Petrusewicz. Przed wojną, jako student Uniwersytetu w Wilnie, działał w Komunistycznej Partii Polski. Wojnę spędził w radzieckiej partyzantce, a w PRL pełnił eksponowane funkcje rządowe i partyjne. Był m.in. wiceministrem żeglugi (w młodości skończył Szkołę Morską i pływał na statkach) i kierował Wydziałem Nauki Komitetu Centralnego PZPR, a po powstaniu PAN w 1952 roku został sekretarzem, tzn. szefem jej Wydziału Nauk Biologicznych. Na tym stanowisku forsował (także administracyjnie) nienaukową doktrynę „twórczego darwinizmu" stworzoną w Związku Radzieckim ze względów ideologicznych. Z nastaniem „odwilży" politycznej w 1956 roku jako jeden z pierwszych naukowców pojechał do USA, skąd wrócił „nawrócony" i odszedł od polityki. Pamiętam go jako rzeczywisty autorytet naukowy i współtwórcę, razem z prof. Tarwidem, polskiej szkoły ekologii – cenionej wtedy w nauce światowej. Przyjeżdżał do nas do Dziekanowa Leśnego konsultować badania i towarzysko. Czasem zostawał na noc, wtedy do późna zbiorowo śpiewaliśmy, głównie (popularne wtedy) radzieckie piosenki z czasów wojny – jego partyzanckiej przeszłości. Podobało mi się bezpośrednie zachowanie profesora – mówił nam po imieniu, „na ty". Miał być recenzentem w mojej habilitacji, ale śmiertelna choroba mu na to nie pozwoliła.

Stacja w Dziekanowie Leśnym rozwinęła się w znaczącą placówkę naukową, z którą w latach studenckich utrzymywałem kontakt. Podczas jednej z bytności, wiosną, wybraliśmy się z Rafałem Skoczylasem (kolegą ze studiów, później profesorem na UW) do Puszczy na ptaki. Idąc lasem, spłoszyliśmy dzika – lochę z młodziutkimi warchlakami. Jeden z nich ociągał się i złapaliśmy go, nie zastanawiając się (!), po co to robimy. Locha pewnie tego nie zauważyła (wtedy mogłoby być niebezpiecznie) i oddaliła się z małymi, a myśmy zostali z tym warchlaczkiem. Nie było innego wyjścia, jak zabrać go do Stacji. Tam dziczek – samiczka Kwika wychował się od oseska karmionego smoczkiem i stał się domownikiem.

Zostało to opisane w książce wspomnieniowej Romana Andrzejewskiego *Zapiski myszołapa*.

Mała Kwika sypiała w łóżku z małżeństwem Andrzejewskich, potrzeby załatwiała do „swojej" miski, zbiegała po schodach do stołówki na posiłki, asystowała pracownikom w zajęciach. Po pół roku, gdy jako duże i silne zwierzę zaczęła sprawiać kłopoty (m.in. atakowała psy), została przekwaterowana do zagrody z chlewikiem, skąd była wypuszczana. Zwłaszcza chętnie towarzyszyła komuś, kto szedł do lasu, gdzie buszowała, oddalając się nawet, ale zawsze wracała do domu. W ten sposób Kwika żyła w Stacji przez sześć lat, aż została zastrzelona w lesie przez kłusownika. Jakikolwiek byłby los tego zwierzęcia, przecież łownego – obiektu polowań, gdybyśmy z Rafałem nie „porwali" go jako warchlaczka, nie powinien on być zabrany „z przyrody". Dodam jeszcze, że w dziekanowskiej Stacji trzymano również chowanego od małego borsuka (przemiłe zwierzę!), który chyba też źle skończył. Zostawiajmy więc dzikie zwierzęta w ich świecie!

Po ukończeniu studiów w 1959 roku liczyłem na pracę u prof. Aleksandra Habera na Wydziale Leśnym SGGW. Gdy to nie wyszło, profesor załatwił mi wizytację z ramienia Ministerstwa Leśnictwa (?) w rezerwacie Czerwone Bagno nad Biebrzą. Była to jego życzliwość, a nie potrzeba wypełnienia konkretnego zadania. Pojechałem tam z kolegą, Norbertem Świtajem. Przyjmowano nas jak rewizora ze sztuki Gogola, bo nikt nie wiedział, kim jesteśmy i po co „Warszawa" nas przysłała. Mieszkaliśmy w leśniczówce Grzędy na Czerwonym Bagnie, potem pod Goniądzem u strażnika Lechocińskiego (rozdział 25/10) zajmującego się bobrami – wtedy specjalnie chronioną rzadkością. Wszędzie była wódka, a my nie bardzo piliśmy, co wzmagało podejrzenia. Po jakimś czasie zdobyłem zaufanie na tyle, że asystowałem w kłusowaniu dzika, co było tutaj stałą praktyką służby leśnej. Wtedy zobaczyłem, czym jest polowanie. Ale my przede wszystkim obserwowaliśmy ptaki. To było moje pierwsze spotkanie i oczarowanie bagnami oraz lasami nad Biebrzą. Pierwszy raz spotkałem łosie, ślady uczt wilków, krążące

Pozostałości uczty wilków na Czerwonym Bagnie – ofiarą był łoś

na niebie orliki. Do niedawna bywałem tam prawie co roku. Po powrocie do Warszawy dostałem zapłatę, moje sprawozdanie pewnie nie zostało nawet przeczytane, a późniejsza przyczynkowa publikacja o ptakach Czerwonego Bagna[15] nie była krokiem milowym do wiedzy o tamtejszej awifaunie.

Nadal szukałem więc zatrudnienia. Wtedy w Świerku, niedaleko Świdra, gdzie mieszkałem, rozpoczynał działalność ośrodek Instytutu Badań Jądrowych, z pierwszym w Polsce reaktorem. Wiedziałem, że tam są dobre zarobki i skrócony czas pracy. To było kuszące, nie miałem jednak żadnej wiedzy biologa o pracy z izotopami promieniotwórczymi będącymi u nas wtedy zupełną nowością. Dowiedziałem się, że na ówczesnej Akademii Medycznej w Zakładzie Histologii (nauka o tkankach organizmu) prof. Kazimierza Ostrowskiego prowadzi się takie badania. Profesor przyjął mnie na wolontariat wprowadzający do tej dziedziny. Asystowałem przy badaniach i dostałem lektury, jednak nie rozbudziło to mojego zainteresowania. Do tego pamiętam zwierzętarnię w podziemiu, gdzie doświadczalne psy wegetowały w ciasnych klatkach, niektóre unieruchomione. Natomiast w samym Zakładzie panowała atmosfera przyjazna i chyba swobodniejsza niż wówczas gdzie indziej na tej uczelni. Profesor grał w ping-ponga z asystentami, a kto przegrał, stawiał ciastka na zebraniu naukowym. Pracowali tam m.in. lekarze wojskowi przychodzący w mundurach. Mimo że w tym zespole czułem się dobrze (gdyby nie te doświadczalne psy!), coraz bardziej nabierałem przekonania, że to nie jest dla mnie. Odszedłem, a z prof. Ostrowskim spotykaliśmy się później na pływalni w Pałacu Kultury. Chyba nie martwił się odejściem takiego wolontariusza.

Następnie kilka tygodni byłem nauczycielem w Szkole Ćwiczeń Studium Nauczycielskiego na ul. Stawki. Uczyłem tam biologii i robiłem pokazy lekcji dla słuchaczy Studium. Jednak i ta praca mi nie odpowiadała, mimo praktyki pedagogicznej, jaką odbyłem na studiach. Stojąc przed rozgadaną klasą, miałem uczucie jakbym był na środku skrzyżowania, gdzie z każdej strony pędzą na mnie samochody – nie potrafiłem rozdzielić uwagi, żeby panować nad tym chaosem. Do tego po przyjaznych stosunkach między studentami i profesorami na studiach, tu przykro odczuwałem, że uczniowie widzą we mnie przeciwnika.

Kolejnym miejscem, gdzie znalazłem pracę, było Laboratorium Dezynfekcji, Dezynsekcji i Deratyzacji – placówka Ministerstwa Zdrowia nadzorująca terenowe zakłady DDD, prowadząca dla nich szkolenia, testująca produkty i metody działań w tej dziedzinie. Zostałem tam kierownikiem działu o oficjalnej nazwie Pracownia Szczurów. Była to trochę rola jak złej sławy doktora Mengele w Auschwitz – testowałem na hodowanych szczurach metody ich zabijania. Wtedy wchodziły do użycia preparaty kumarynowe (antykoagulanty), stosunkowo bezpieczne dla otoczenia, a dla szczurów (zwierząt bardzo ostrożnych)

[15] M. Luniak, *Niektóre gatunki ptaków spotykanych w rezerwacie Czerwone Bagno koło Rajgrodu*, „Acta Ornithologica" 1963, nr 7, s. 282–293.

trudne do rozpoznania, bo powodujące opóźnione skutki. Na szkolenie wysłano mnie do krajowego specjalisty w tej dziedzinie – dr. Tadeusza Przyborowskiego w Instytucie Medycyny Morskiej w Gdyni. Przy tej okazji pierwszy raz (w wieku 24 lat!) zobaczyłem morze. Teraz moje wnuki już we wczesnym dzieciństwie kąpały się w kilku morzach i dwóch oceanach.

Po praktyce u dr. Przyborowskiego i w trakcie własnej pracy ze szczurami nabrałem do nich sympatii i podziwu dla inteligencji tych zwierząt. Coraz trudniej było mi patrzeć na ich cierpienia (zapewne cierpiały) i śmierć w prowadzonych przeze mnie testach. Poza szczurami laboratoryjnymi, które hodowaliśmy, badaliśmy też kontrolnie osobniki dzikie dostarczane przez „łowców" z warszawskiego tzw. dzikiego zachodu. Tak nazywano wówczas nieodbudowaną część dzielnicy Wola, gdzie w ruderach były jeszcze stajnie, chlewnie, składy paszy. Zawarłem tam znajomości i pozwalano mi stawiać żywołowne pułapki, a przede wszystkim obserwować szczury w ich środowisku. To były pasjonujące spektakle. Te zwierzęta zadziwiały mnie inteligentnymi zachowaniami w różnych sytuacjach, np. po złapaniu w żywołowną pułapkę – reakcje ofiary i innych towarzyszących jej osobników. Albo jak z dziury wychodził dorosły osobnik (matka?), badał teren, próbował przynętę i dopiero wtedy dopuszczał młode. Mądre zwierzęta! Nie jestem jednak zwolennikiem teorii, że po samozagładzie ludzkości (?) szczury stworzą następną cywilizację.

Wobec ludzi szczury bywają agresywne tylko w obronie koniecznej, gdy nie mają możliwości ucieczki. Można bezpiecznie nosić je w głębszej kieszeni płaszcza/fartucha (robiłem to), oczywiście nie wkładając tam rąk, bo szczur stosuje taktykę „nie ma mnie". Kiedyś nie mogłem doliczyć się jednego z przyniesionych do pracowni dzikich szczurów i dopiero po kilku dniach odkryłem, że miał kryjówkę między papierami w szufladzie biurka, przy którym pracowałem.

W Laboratorium DDD przepracowałem pół roku i zacząłem myśleć o doktoracie z ekologii dzikich szczurów w mieście. Mało brakowało, a poszedłbym „w szczury". Coraz rzadziej chodziłem do ornitologów w Instytucie Zoologii. I wtedy, w maju 1960 roku, zadzwonił mgr Mieczysław Józefik, wówczas szef tamtejszej ornitologii, z propozycją „od zaraz". Potrzebowali preparatora ptaków na wyjazd z ekspedycją w Bieszczady, bo dotychczasowy (Jurek Pianko) dostał powołanie do wojska. Uznałem to za życiową szansę – z dnia na dzień zwolniłem się z Laboratorium, gdzie jeszcze kilka dni wcześniej rozmawiałem o doktoracie. Postawiłem na ptaki (!) i tak już zostało.

Ale przyjaźń do szczurów zachowam na zawsze. Później odnowiłem ją podczas bytności w Chinach. W miastach, które odwiedziłem, widywałem szczury przemykające po ulicach, oswojone z bliskością ludzi, chyba odwzajemniających tę zażyłość.

Rozdział 11

W INSTYTUCIE ZOOLOGII PAN – OD PUCYBUTA...

Po kilkumiesięcznej przygodzie ze szczurami w Laboratorium DDD (rozdział 10), z którymi szczerze się zaprzyjaźniłem (niestety będąc też ich dręczycielem), pojawiła się możliwość powrotu do ptaków. W Instytucie Zoologii PAN potrzebny był „od zaraz" preparator ptaków na wyprawę badawczą w Bieszczady. Jego rolą miało być zdobywanie (tj. upolowanie) ptaków określonych gatunków jako dokumentacji badań i preparowanie ich z przeznaczeniem dla muzealnego zbioru Instytutu. Nie miałem żadnej z tych umiejętności, poczynając od posługiwania się bronią myśliwską, jednak postanowiłem spróbować. Dzięki życzliwości ornitologów w Instytucie, którzy znali mnie z czasów, gdy bywałem tam jako licealista i student i pamiętali zaangażowanie, jakie okazywałem, dano mi szansę. W ciągu paru dni przeszedłem odpowiednie szkolenie u pracującego w Instytucie fachowego preparatora, sędziwego pana Kazimierza Dubińskiego, i zdołałem uzyskać od milicji wymagane pozwolenie na służbową broń myśliwską. Przećwiczenie posługiwania się nią zostawiłem na później, do czasu pracy w terenie.

Wyprawa miała cel rekonesansowy przed planowanymi badaniami faunistycznymi Instytutu w dorzeczu Sanu. Uczestniczyło w niej kilku naukowców, w większości entomologów specjalizujących się w różnych grupach owadów, oraz paru pracowników technicznych jak ja. Standard logistyczny wyprawy odzwierciedlał ówczesne możliwości. Naszym środkiem transportu był ciężarowy samochód marki Lublin, którym podróżowaliśmy razem z całym sprzętem na podskakującej skrzyni bagażowej (dziś jest to zabronione). Nocowaliśmy w przemakających namiotach i w ciężkich wacianych śpiworach. Gotowaliśmy na ognisku – nie było jeszcze butli z gazem. Oczywiście nie mieliśmy łączności telefonicznej, a wiadomości ze świata docierały do nas przez trzeszczące radio bateryjne, jeśli szczęśliwie złapało zasięg. Zapasy musiały składać się z żywności długoterminowej ze względu na trudności z robieniem zakupów na odludziu. Po bieszczadzkich bezdrożach wędrowaliśmy kilometrami pieszo, często też wyciągaliśmy samochód z błota. Teraz takie warunki aranżują sobie usilnym staraniem amatorzy emocji survivalowych.

Dla mnie udział w tej wyprawie, poza wrażeniami krajoznawczymi i doświadczeniami z życia biwakowego, był również ważnym wprowadzeniem do dalszej pracy w Instytucie Zoologii. Poznałem zespół ludzi oraz sposób i problemy prowadzonych przez nich badań faunistycznych. Dobrze czułem się w tej grupie, m.in. zaprzyjaźniłem się z późniejszym swoim szefem, ornitologiem mgr.

Nasz samochód na bieszczadzkich bezdrożach

Mieczysławem Józefikiem. Moja praca preparatora miała służyć jego wieloletnim badaniom awifauny tego regionu. Jednak sam jej charakter – polowanie na ptaki i potem ich preparowanie – nie bardzo mi odpowiadał. Zdjęcie skórki z ptaka (znacznie delikatniejszej niż u ssaków) było dość precyzyjną operacją skalpelem i nożyczkami, trudniejszą, gdy zastrzelenie spowodowało jej uszkodzenia. Później ściągniętą skórkę konserwowało się arszenikiem (silna trucizna!), wypełniało watą i takiego „bałwanka" trzeba było suszyć na słońcu (gdy była pogoda!).

Nigdy dotąd nie strzelałem do ptaków. Starałem się jednak pilnie wywiązać z wyznaczonego zadania, wiedząc, że waży się moje pozostanie w Instytucie. Na szczęście uczestniczyłem w prowadzonych przez Mietka Józefika obserwacjach ornitologicznych, miałem więc też swoją przyjemność. Po powrocie do Warszawy zostałem zatrudniony na etacie pracownika technicznego w Dziale Kręgowców.

Z szefem, Mietkiem Józefikiem

W ten sposób rozpoczęła się moja droga zawodowa w ówczesnym Instytucie Zoologii PAN (obecna nazwa Muzeum i Instytut Zoologii PAN) według przysłowiowego wzorca amerykańskiej kariery – od pucybuta do milionera. Zaczynałem jako laborant – preparator ptasich skórek i przez resztę swojego zawodowego życia przeszedłem w Instytucie wszystkie stopnie kariery naukowej – do tytułu profesora i redaktora naczelnego międzynarodowego czasopisma ornitologicznego „Acta Ornithologica". Przez dwie kadencje byłem zastępcą do spraw naukowych dyrektora Instytutu (jako bezpartyjny w czasach PRL). Na początku tej drogi jako pracownik techniczny zajmowałem się konserwacją i dokumentacją muzealnego zbioru ptaków, ale dawano mi dość swobody i odczuwałem przychylność dla udziału w badaniach naukowych. Mój bezpośredni szef, mgr Mieczysław Józefik, skończył studia zoologiczne w Związku Radzieckim. Widoczny był u niego wpływ tamtejszej ornitologii, bardziej konserwatywnej w metodach badań, m.in. w bezrefleksyjnym zabijaniu ptaków. Połączyła nas wieloletnia współpraca naukowa i przyjaźń.

Atmosfera pracy i tematyka badawcza Instytutu w tamtym czasie (1960 rok) znacznie różniły się od współczesnej. Było „domowo", bo kilku pracowników, m.in. dwóch profesorów z rodzinami, mieszkało w swoich pracowniach, co traktowano jako normalne wobec powojennych trudności mieszkaniowych w zburzonej Warszawie. Zdarzało się, że z pracowni rozchodziła się woń przygotowywanych posiłków. Nie czuło się dzisiejszego pośpiechu i sformalizowania pracy – nie było (plagi?) dzisiejszych sprawozdań, rankingu publikacji, procedury grantów. Często „wyskakiwano" do kawiarenki „Kleks" po drugiej stronie ulicy. Odbywane tam dyskusje czy indywidualne kontemplacje przy kawie (i obowiązkowym papierosie) uważano za intelektualną „rozgrzewkę" do pracy naukowej.

Pozostawano również w Instytucie do późnego wieczora, a nawet na noc. Trzeba pamiętać, że były to czasy sześciodniowego tygodnia pracy.

Instytucja, z którą związałem swoją drogę zawodową, jest jedną z najszacowniejszych w Warszawie i w polskiej nauce zarówno ze względu na wiek, jak i zasoby naukowe.

Muzeum i Instytut Zoologii PAN

Ma ponad 200-letnią tradycję, której początkiem było utworzenie w 1819 roku Gabinetu Zoologicznego ówczesnego Królewskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Po represyjnym (z powodu powstania listopadowego) zamknięciu Uniwersytetu przez władze carskie, działał jako samodzielna instytucja. Mieścił się wówczas w istniejącym do dziś budynku na uniwersyteckim kampusie na Krakowskim Przedmieściu. Wystawa zoologiczna Gabinetu, jedyna w zaborze rosyjskim pokazująca publiczności zwierzęta świata, cieszyła się dużą popularnością i stanowiła jedną z ówczesnych atrakcji Warszawy.

Kustoszem Gabinetu Zoologicznego w tamtych latach (1855–1890) był Władysław Taczanowski (1819–1890), twórca nowoczesnej polskiej ornitologii. Nadał on tej instytucji naukowy charakter o zasięgu międzynarodowym. W Europie powstawały wówczas i nabierały znaczenia muzea kolekcjonujące i eksponujące zbiory przyrodnicze z egzotycznych krain. Takie materiały przysyłali do Gabinetu Zoologicznego zesłańcy z Syberii (Benedykt Dybowski, Wiktor Godlewski i inni), eksploratorzy Ameryki Południowej i Środkowej (Konstanty Jelski, Tadeusz Chrostowski, Jan Sztolcman) oraz Afryki (Konstanty i Aleksander Braniccy). Gabinet Zoologiczny kierowany przez Taczanowskiego wzbogacał się o dostarczane eksponaty. Także wymieniał je lub sprzedawał do muzeów zagranicznych, wspierając eksploratorów-dostarczycieli zyskanymi środkami. Był więc w skali międzynarodowej ośrodkiem, w którym zbiegały się drogi wymiany (dziś modne słowo „hub") materiałów zoologicznych.

Zbiór ornitologiczny Instytutu w okazach wystawowych fot. Dominika Mierzwa-Szymkowiak

Sponsorami Gabinetu Zoologicznego, ale i darczyńcami materiałów, byli m.in. arystokraci – książę Władysław Lubomirski i wspomniani hrabiowie Braniccy. W odrodzonej Polsce Gabinet, połączony z powstałym wcześniej przyrodniczym Muzeum Branickich, został przekształcony w 1919 roku w Muzeum Zoologiczne. Po pożarze na Uniwersytecie Muzeum przeniesiono w 1935 roku do obecnej siedziby na ul. Wilczej.

Podczas bombardowań we wrześniu 1939 roku budynek dzisiejszego Instytutu został uszkodzony. Wkrótce po wkroczeniu okupanta w Muzeum zjawił się „niemiecki ornitolog w mundurze"[16] i zażądał wydania szczególnej cenności typów opisowych, tzn. okazów wzorcowych dla określonych gatunków ptaków. Zostały one wcześniej ukryte, a intruzowi wytłumaczono, że spłonęły podczas oblężenia Warszawy. Ale już w listopadzie 1939 roku Niemcy wywieźli z Instytutu cztery ciężarówki łupów, m.in. cennego kopalnego nosorożca, czaszki turów, książki, sprzęt optyczny. Część tych zrabowanych dóbr znalazła się po wojnie w muzeum przyrodniczym w Salzburgu.

Zbiór ornitologiczny Instytutu w skórkach, fot. Dominika Mierzwa-Szymkowiak

W czasie okupacji Muzeum ze zredukowanym personelem i zakazem badań naukowych miało status instytucji konserwującej zbiory przed planowanym ich wywiezieniem do Niemiec. Pozwalało to ukrywać szczególnie cenne okazy i prowadzić działalność komórki AK – np. w obszernym brzuchu historycznego okazu żubra upolowanego przez cara przechowywano broń. Mimo starań pracowników, straty były znaczne. Andrzej Dunajewski, ornitolog pracujący w Instytucie, ukrył w swoim mieszkaniu na Starym Mieście dwa pudła okazów (m.in. typy opisowe kolibrów), jednak podczas powstania jego dom został zbombardowany, a on sam zginął wraz z rodziną. Po powstaniu, podczas zagłady miasta, spłonęły dwa piętra budynku Muzeum z częścią zbiorów.

[16] E. Nowak, *Ludzie nauki w czasach najtrudniejszych*, Bogucki Wydawnictwo Naukowe, Poznań 2013., s. 76.

Wśród naukowców znaczną większość stanowili entomolodzy – specjaliści od różnych (bardzo licznych!) grup owadów. Tematyka badań wynikała bardziej z osobistych zainteresowań pracowników niż ze skoordynowanych programów. Dotyczyła głównie systematyki zoologicznej – badania pokrewieństwa gatunków i grup zwierząt oraz faunistyki – składu świata zwierzęcego określonych terenów/regionów. Nowy wówczas (i bliski mi) temat „ekologia" – badanie populacji zwierzęcych i ich zależności od środowiska – nie był dobrze widziany. Wyposażenie pracowni sprowadzało się głównie do mikroskopów/binokularów, „szkła" laboratoryjnego i maszyn do pisania – ich stukanie było stałym tłem akustycznym.

Instytut miał w dużej mierze charakter muzealny. Z zasobem zbiorów liczącym ponad 4 mln okazów oraz zespołem specjalistów od różnych grup zwierząt był i nadal jest w tej dziedzinie placówką o znaczeniu światowym. Do obowiązków pracowników (także moich) należało dbanie o zbiory – ich konserwacja, dokumentowanie, wzbogacanie. Specyficzną atmosferę tworzył tu widok szaf z gablotami zapełniających pracownie i korytarze. Unosił się też zapach szkodliwego dla zdrowia i straszącego samą nazwą (dwuchlorobenzen) środka stosowanego przeciw chrząszczowi mrzykowi muzealnemu (*Anthrenus museorum*). Jego milimetrowej wielkości larwy są groźnym szkodnikiem zbiorów zoologicznych – żywią się m.in. piórami, skórą, futrem, martwymi owadami. Jako odtrutkę dostawaliśmy codziennie po pół litra mleka z zaleceniem (nieprzestrzeganym) wypicia na miejscu.

W związku z działalnością muzealną ważny dział Instytutu stanowiła preparatornia, od której zacząłem swoją karierę w Instytucie. Było to osobne królestwo mistrzów tej sztuki, m.in. pracującego tu jeszcze przed wojną wiekowego pana Kazimierza Dubińskiego i Jurka Linkowskiego, później cenionego twórcy eksponatów na zagranicznych wystawach zoologicznych i łowieckich. Wejście do preparatorni bezpośrednio z ulicy umożliwiało niekontrolowane wizyty myśliwych przynoszących „prywatnie" swoje trofea. Zawsze można było tu posłuchać relacji (ubarwionych?) o łowieckich przygodach. Miało to miejsce w czasach, kiedy myśliwi fatygowali się jeszcze chodzeniem po „kniei", a nie wjeżdżali na „stanowisko" wypasionym suvem.

Z ówczesnego 3–4-osobowego (w tym ja) zespołu ornitologów w Instytucie, poza wspomnianym wyżej moim szefem, mgr. Mieczysławem Józefikiem, szczególnie wspominam pana Włodzimierza Dzieduszyckiego, z zasłużonego dla krajowego przyrodoznawstwa rodu kresowej arystokracji. Wspomnienie o panu Włodzimierzu niespodziewanie wróciło do mnie niedawno, w 2021 roku, po pół wieku. Na zaproszenie Związku Rodowego Dzieduszyckich uczestniczyłem w zjeździe poświęconym jego pamięci i miałem tam wykład o nim[17].

[17] M. Luniak, D. Mierzwa-Szymkowiak, *Związki Włodzimierza Dzieduszyckiego (jun.) z Muzeum i Instytutem Zoologii PAN* [w:] *Wokół przyrodniczych pasji Dzieduszyckich*, t. 2, Związek Rodowy Dzieduszyckich herbu Sas, Warszawa 2022, s. 112–125.

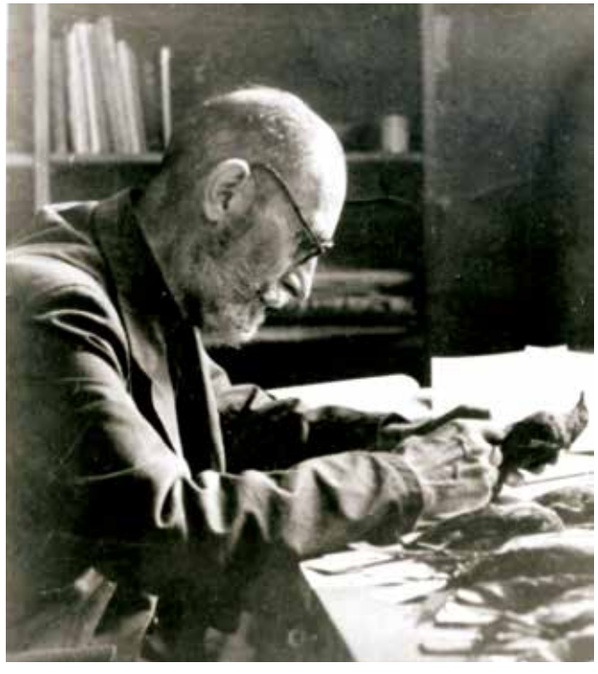

Włodzimierz Dzieduszycki, zbiory MiIZ PAN

Włodzimierz Dzieduszycki (1885–1971)

Hrabia, w okresie międzywojennym był kuratorem założonego i sponsorowanego przez trzy pokolenia tej rodziny Muzeum Przyrodniczego im. Dzieduszyckich we Lwowie. Dziś należy ono do Ukraińskiej Akademii Nauk. Pana Włodzimierza poznałem, odwiedzając Instytut jeszcze jako licealista i później student. Był opiekunem kolekcji ptaków. To głównie on ją uporządkował i skatalogował po wojennych stratach. Miał wieloletnie doświadczenie muzealnika nabyte we Lwowie. Imponował nam znajomością kilku języków – wtedy było to rzadkością.

W pierwszych latach PRL prześladowano go jako „obszarnika", także za działalność okupacyjną dla AK. Nawet później, gdy pracował w Instytucie, interesowały się nim „służby", jednak już bez konsekwencji, mimo że w ankiecie personalnej zataił szereg „obciążających" okoliczności.

Pana Włodzimierza wspominam z wielkim sentymentem jako osobę o kulturze, zachowaniu i etyce (również pracy) elity „minionej" epoki, co pięknie wyróżniało go na tle realiów PRL. Był jedną z bardzo nielicznych w Instytucie osób niewychodzących do sąsiedniej kawiarni – pochłaniała go mrówcza praca przy zbiorach. Tu ciekawostka: paradoksalnie – mimo swoich wysokich kwalifikacji ornitologicznych i muzealnika – pan Włodzimierz nie miał w Instytucie formalnie etatu naukowego, bo nie mógł wykazać się ukończeniem studiów wyższych. W młodości nie zadbał o to, mimo że studiował na uczelniach we Lwowie i w Krakowie. Kierował jako kurator (prawie „właściciel") ważną instytucją naukową – lwowskim Muzeum Przyrodniczym im. Dzieduszyckich – i nie był mu potrzebny żaden dyplom ukończenia studiów.

Dr Bolesław Burakowski, zbiory MiIZ PAN

Dr Bolesław Burakowski (1905–2003)

Był światowej miary specjalistą od chrząszczy związanych z martwym drewnem. Początkowo przez wiele lat zajmował się tymi owadami nie jako naukowiec, a amatorsko – zapewne przez powiązania rodzinne ze stolarstwem (surowiec drzewny). Będąc głównym kwestorem Politechniki Warszawskiej, zaocznie skończył studia biologiczne na UW i wzbogacał swoją wiedzę entomologiczną, odwiedzając nasz Instytut. Dopiero w wieku około 40 lat, gdy inni miewają już doktoraty, spełnił swoją fascynację chrząszczami „drewnojadami", zamieniając prestiżowe stanowisko kwestora Politechniki na pracę naukową w Instytucie.

Owady, którymi zajmował się dr Burakowski, mają duże znaczenie gospodarcze, bo „dziurawią" drewniane konstrukcje i sprzęty. Jest ich wiele gatunków, ale są trudne do rozpoznania. W drewnie znajduje się je bowiem zwykle jako larwy lub poczwarki, o mało charakterystycznym wyglądzie. Cykle rozwojowe tych owadów – od jajka do dorosłej postaci – często trwają latami. Pan Bolesław cierpliwie prowadził wieloletnie hodowle i na ich podstawie opracowywał podręczniki do rozpoznawania gatunków po larwach znalezionych w drewnie. Był jedną z najbardziej lubianych i pracowitych osób w Instytucie. Prowadził tu swoje badania jeszcze długo po przejściu na emeryturę – do wieku 98 lat. Gdy miał 90 lat opublikował kolejny ważny podręcznik. Uroczystość 90-lecia pana Bolesława w 1995 roku zgromadziła w sali konferencyjnej Instytutu rzadko spotykaną tu tak wielką liczbę gości.

Do późnych lat dr Burakowski miał zwyczaj odwiedzania w Nowy Rok Lasu Bielańskiego, gdzie w martwych pniach starych dębów znajdował „swoje" chrząszcze. Zimą śmigał po Lesie na nartach biegówkach. Pamiętam, że powiedział mi, będąc już w sędziwym wieku: „Nawet gdybym wiedział, że któryś dzień będzie moim ostatnim, to jak zwykle przyjdę do Instytutu robić swoje".

Wśród innych pracowników Instytutu wspominam też bardzo szczególną postać – dr. Bolesława Burakowskiego (1905–2003).

Od opisywanych tu początków mojej obecności w Instytucie minęły dziesięciolecia. Bywam tu nadal jako emeryt-współpracownik i cieszy mnie rozwój tej instytucji. Jest dziś ona jedną z czołowych (kategoria A) placówek badawczych Polskiej Akademii Nauk z trzema stacjami terenowymi, jednym z największych w Europie zbiorów zoologicznych, liczącym ponad 4,5 mln okazów (w tym prawie 10 tys. typów opisowych) reprezentujących około 105 tys. gatunków z różnych grup zwierzęcych. Największa w kraju biblioteka zoologiczna zawiera około 200 tys. woluminów, stopniowo digitalizowanych. Tradycja badań z dziedziny systematyki zoologicznej jest kontynuowana najnowszymi metodami genetyki molekularnej, w badaniach faunistycznych używane są automatyczne kamery i drony, także metody molekularne. Opracowanie i dokumentacja materiałów naukowych oczywiście opiera się na technikach informatycznych. Zbiór muzealny został przeniesiony do osobnego klimatyzowanego obiektu w podwarszawskiej stacji terenowej, gdzie jest konserwowany mrożeniem bez użycia środków chemicznych, które wdychałem przez wiele lat. Znaczna część badań wykonywana jest w ramach projektów zespołowych, często w składzie międzynarodowym. Popularnością cieszy się tematyka ekologiczna – dawniej w Instytucie źle widziana. Zmienił się też sam reżim pracy – więcej w nim formalizmu, dyscypliny i uwarunkowań finansowych. Nie wyskakuje się do kawiarni naprzeciwko ani na pogawędkę do sąsiedniej pracowni. Ale nie ma też siedzenia w Instytucie wieczorami – może warunki do pracy w domu są teraz lepsze niż dawniej (?).

Bywając w Instytucie, nadal czuję się tu „u siebie", przyczyniając się (dotychczas!) w miarę swoich możliwości do jego działalności, co odzwierciedlają roczne sprawozdania. Widzę, chociaż coraz mniej ogarniam, nowoczesność badań i ich udział w światowej nauce, także spotykam nowe twarze (okazujące mi sympatię). Tak wiele się tu zmieniło od czasu, gdy przed przeszło 60 laty przyszedłem jako preparator ptasich skórek. Natomiast pozostał ten sam ponad 100-letni budynek o konstrukcji nadwątlonej zniszczeniami wojennymi. Mimo różnych „liftingów" zestarzał się jak ja i zasługuje na następcę.

Rozdział 12

ZABIJAŁEM PTAKI

Gdy zaczynałem pracę w Instytucie, dominowała w nim funkcja muzealna będąca jego tradycją (rozdział 11). Wiązało się to z posiadaniem liczącego się w skali światowej materiału do systematyki zoologicznej, a wiele ze zgromadzonych okazów i kolekcji ma też wartość historyczną. Jednym z głównych obowiązków pracowników była konserwacja, opracowywanie i wzbogacanie posiadanego zbioru. W moim przypadku „wzbogacanie zbioru", ale również dokumentowanie badań oznaczało zabijanie ptaków. W kolekcji muzealnej Instytutu jest 347 okazów ptaków należących do 22 gatunków z moim nazwiskiem jako „dostarczyciela" na etykietkach. Część z nich to ptaki upolowane przez pomagających mi (o nich niżej) w badaniach na Wiśle. Ich ornitologiczne zabójstwa również obciążają moje sumienie. Trzeba tu jeszcze doliczyć ptaki (niestety liczne) ranione lub zastrzelone, których nie znaleźliśmy.

Dotychczas nigdy nie zabijałem ptaków (z wyjątkiem drobiu dla potrzeb domowych), było to więc dla mnie zupełnie nowe doświadczenie i wówczas traktowałem je zupełnie inaczej niż obecnie. Wiedziałem, że po to zostałem zatrudniony, a o celowości takiego charakteru pracy upewniał mnie szef, Mietek Józefik. Jemu z kolei przekonanie do „ornitologicznego" zabijania ptaków wpojono na studiach w Związku Radzieckim, gdzie było to przyjęte (podobnie jak ptasznictwo) jeszcze bardziej niż u nas.

Drugą okolicznością mojej ówczesnej (czynnej) akceptacji zabijania ptaków była dotychczasowa tradycja ornitologii, nie tylko naszej, oparta na „pozyskiwaniu okazów".

„Zdobywanie okazów" było niepotrzebną częścią moich badań

Ornitologia wyrosła z zabijania

Już pierwsza, pochodząca z XVI wieku, polska książka „ornitologiczna" Mateusza Cygańskiego[18], niepiśmiennego (podyktował ją) szlachcica, była głównie zbiorem rad „jako masz je dostawać" (tzn. upolować lub schwytać). Przy niektórych gatunkach autor odradzał pozyskiwanie, bo „nie ma z nich pożytku" ani kulinarnego, ani w chowie klatkowym. Opis każdego ze 144 gatunków (aż tyle ich znał!) wymienionych w książce ptaków zaczynał się czterowierszem w uroczej staropolszczyźnie. Przykładowo część o jaskółce rozpoczynał ustęp:

Prawie domowa bo się w domu rodzi
I tylko na lato do nas przychodzi.
Pożytek z niej mały | nie może szkodzić
Dla tego mało potrzeba iey łowić.

Jeszcze nie tak dawno w całym krajowym piśmiennictwie – naukowym ornitologicznym i popularnym o przyrodzie (np. książki Juliana Ejsmonda, Bogdana Dyakowskiego, Włodzimierza Korsaka, Arkadego Fiedlera) – obserwacje ptaków łączą się z ich zabijaniem. W XIX wieku rozwijająca się naukowa ornitologia opierała się w dużej mierze na okazach muzealnych. Władysław Taczanowski, najwybitniejszy ówczesny ornitolog, stworzył dzieła o światowym znaczeniu opisujące awifaunę Peru (1884 rok) i wschodniej Syberii (1891 rok), nie będąc nigdy w tamtych krajach. Korzystał jedynie z materiałów (głównie okazów) przysyłanych przez eksploratorów-myśliwych (rozdział 11). Jeszcze w okresie międzywojennym nasi czołowi ornitolodzy (Jan Sztolcman, Tadeusz Chrostowski, Janusz Domaniewski, Andrzej Dunajewski) zajmowali się głównie badaniami opartymi na okazach muzealnych, często przez siebie „pozyskanych", to znaczy zastrzelonych lub schwytanych w sidła.

W jednym z przedwojennych opracowań podano, że o bogactwie fauny warszawskiego Lasu Bielańskiego świadczy fakt, że jakiś badacz w ciągu godziny ustrzelił tam 17 (!) wiewiórek, a pewien entomolog zebrał z bielańskich dębów 75 okazów kozioroga. Na szczęście nie wytępił tego rzadkiego chrząszcza, dla ochrony którego Las jest dziś obszarem Natura 2000 (rozdział 13). Większość znanych mi już osobiście ornitologów starszego pokolenia uprawiała myślistwo dla celów naukowych i przyjemności. Popularne było też eksponowanie wypchanych ptaków jako dekoracji wnętrz. Wśród polskich „ptasich" lektur, na których wychowałem się, tylko książki Jana Sokołowskiego wyróżniały się tym, że nie łączyły ornitologii z zabijaniem.

Taki sposób badań, wtedy powszechnie akceptowany, był oczywiście niszczący dla awifauny i całej przyrody. W warszawskiej ornitologii wyróżnia się tu przykład Aleksandra M. Bykowa (1858–1937)[19], stacjonującego w Warszawie oficera armii carskiej. Był on zapalonym kolekcjonerem ptaków dla celów muzealnych, zasłużonym dla warszawskiego Gabinetu Zoologicznego. Podczas kilkuletniego pobytu „zebrał" w okolicach Warszawy prawie 3 tys. okazów ptaków w skórkach, 750 ptasich gniazd i ponad 1,3 tys. jaj. Spowodował więc zagładę kilku tysięcy ptaków i setek ich lęgów. Bykow negatywnie upamiętnił się także drastycznym skutkiem swoich „badań" muchołówki małej w warszawskim Lesie Bielańskim. Przez trzy lata odławiał te ptaki odstrzałem i siecią,

[18] M. Cygański, *Myślistwo ptasze, w ktorem się opisuie sposob dostawania wszelakiego ptaka, k temu przydane iest opisanie narodow ptaszych, y iakiego ktory piora*, Druk Jakuba Siebeneychera, Kraków 1584.

[19] M. Luniak, *A.M. Bykow (1858–1937) – zapomniana postać warszawskiej zoologii XIX wieku*, „Rocznik Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu. Przyroda" 2019, nr 25 (on line 005), s. 1–9 oraz „Stolica" 2020, nr 7–8, s. 69–71.

zabierał również ich gniazda z jajkami. Spowodował tym całkowite wytępienie tego gatunku w Lesie Bielańskim, a było to jedyne znane w okolicach Warszawy miejsce lęgów tej rzadkości ornitologicznej. Od tamtego czasu muchołówka mała przez 100 lat (!) nie gniazdowała w Lesie Bielańskim[20].

Inny wymowny przykład: Hans Berlepsch, światowy prekursor ekologicznej ochrony ptaków, w pierwszym (?) w literaturze ornitologicznej podręczniku z tej dziedziny wydanym w 1899 roku propagował sposoby „tępienia" wróbli uważanych wtedy za szkodniki rolnictwa, m.in. przez zabijanie samic chwytanych na gniazdach.

[20] M. Luniak, *Optymistyczny (???) jubileusz wytępienia muchołówki małej w Lesie Bielańskim*, „Ptaki. Kwartalnik Ogólnopolskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków" 1993, nr 3, s. 15–16.

Moje odczucia przy strzelaniu do ptaków były bliskie opisowi, jaki znalazłem w książce wspomnieniowej Tadeusza Chrostowskiego (1878–1923)[21], eksploratora przyrody Brazylii, dostarczającego okazy dla warszawskiego Gabinetu Zoologicznego:

> Nieznany mi ptak rozpoczął koncert głosem niezmiernie giętkim i wyrazistym [...]. Z mistrzostwem i uderzającą ekspresją skrzydlaty artysta wypowiadał radość i przywiązanie do życia... Śpiew ptaszyny leśnej wywarł na mnie daleko większe wrażenie, niż arja słynnej prymadonny włoskiej. Lecz przyrodnik nie może powodować się li tylko uczuciem: rozległ się huk strzału i śpiewak runął na ziemię.

Chodziło tu o egzotycznego drozda żółtonogiego. W swojej książce poświęconej brazylijskiej przyrodzie Chrostowski radził, jak strzelać do ptaków i często opisywał, jak one reagują na strzał lub zastrzelenie osobnika ze stada. Jeszcze jeden urywek z jego opisu:

> Każde polowanie ma swój urok, na mnie jednak ten rodzaj polowania [pułapki – ML] sprawiał niezbyt miłe wrażenie, szczególniej, gdy rozlegał się rozpaczliwy głos schwytanego zwierzęcia...

Preparatorzy nauczyli mnie, jak szybko uśmiercić ptaka (np. rannego), żeby nie uszkodzić jego skórki.

Współczesna ornitologia całkowicie zerwała z zabijaniem ptaków. W Instytucie Zoologii od połowy lat sześćdziesiątych XX wieku zaprzestano wzbogacania zbiorów i dokumentowania badań awifauny w ten sposób. To (na szczęście!) oznaczało także dla mnie koniec tej formy „obcowania" z ptakami. Tym bardziej że „okazy", które upolowałem w Bieszczadach jako preparator i później w moich badaniach awifauny Wisły (rozdział 14), nie miały istotnego znaczenia dla tamtych opracowań naukowych. Obecnie systematyka ornitologiczna, podobnie jak innych grup zwierzęcych, opiera się głównie na genetyce molekularnej, a mniej na okazach muzealnych. „Okazy" ptaków nie są też już potrzebne jako dokumentacja badań faunistycznych

[21] T. Chrostowski, *Parana – wspomnienia z podróży w roku 1914*, Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1922.

– strzelbę zastąpiły zaawansowane techniki fotografii, także film i automatyczne kamery. Zmalała też wartość ekspozycyjna zbiorów zoologicznych. Dawniej eksponaty wystawowe służyły publiczności do poznawania, „jak wyglądają zwierzęta". Dziś ten przekaz zwielokrotniły mass media, bogactwo przyrodniczych filmów i różnych publikacji oraz łatwość podróży do egzotycznych krajów. Na szczęście zamiera też moda

Skórki rycyków z moimi etykietkami w zbiorach Instytutu, fot. Stanisław Łubieński

Współczesne zabijanie dzikich ptaków

W skali istotnej przyrodniczo ostało się u nas praktycznie tylko w myślistwie. Legalnie poluje się na 13 gatunków. Statystki Polskiego Związku Łowieckiego podają 216 tys. ptaków zastrzelonych przez myśliwych w sezonie 2018/2019, a w 2020/2021 myśliwi „zamierzają zabić [...] rekordową liczbę 693,5 tys."[22]. Do tego trzeba dodać znaczną liczbę ptaków upolowanych nielegalnie oraz prawdopodobnie jeszcze większą ranionych i zabitych, których nie udało się znaleźć. Odstrzał, stres (psy!) i płoszenie podczas polowań powodują rozbicia par i opuszczenia terytoriów lęgowych, zakłócają rytm życia ptaków. Wprowadzone do środowiska tony toksycznego ołowianego śrutu są przyczyną zatruć zwierząt i ołowicy u ludzi. W niektórych krajach używa się już tylko amunicji stalowej.

Ta masowa skala łowieckiego zabijania ptaków coraz powszechniej spotyka się z negatywnym odbiorem społecznym. Wzrost „zielonego" nastawienia i sympatii do przyrody stanowi prawidłowość rozwoju cywilizacyjnego naszych czasów. Przejawem tej reakcji społecznej jest powstały niedawno **ogólnopolski ruch „Niech żyją"** zrzeszający ponad 40 organizacji i domagający się moratorium polowań na ptaki.

[22] M. Chołodowski. *Myśliwi planują wielkie strzelanie*, „Gazeta Wyborcza" z 2.12.2020.

na ozdabianie wnętrz wypchanymi ptakami. Podobnie nie trzyma się po domach dzikich ptaków w klatkach (i jest to zabronione prawem), więc zanikło służące temu ptasznictwo.

Wspieram ruch „Niech żyją" z ciążącą mi świadomością własnych zabójstw ornitologicznych. Przyłączyłem się do niego z hasłem **„Ptaki są pięknem przyrody i nie ma sensownej potrzeby, żeby je zabijać"**, które uzasadniam następującymi argumentami:

- Ptaki, obok drzew, są najbardziej widoczną częścią żywej przyrody, mamy je stale wokół siebie. Ich wygląd i zachowanie podobają się nam, tworzą piękno krajobrazu i atrakcję naszego otoczenia. Dlaczego więc niszczyć coś, co nam się podoba?
- Obecność ptaków wokół nas jest przyjemnością nieporównanie większą i w skali społecznej powszechniejszą niż indywidualna i chwilowa emocja upolowania ptaka.
- Nie korzystamy z pierza dzikich ptaków, a z mięsa w skali zupełnie znikomej. Nie ma więc potrzeby pozyskiwania tych dóbr.
- Szkody wyrządzane przez ptaki – wyjadanie zasiewów (np. dzikie gęsi i gołębie), owoców w sadach i winnicach (np. szpaki, kwiczoły), ryb w stawach (np. kormorany, czaple), powodowanie zanieczyszczeń (np. gołębie, masowe noclegowiska krukowatych i szpaków) – nie mają dużej skali i mogą być ograniczane metodami ekologicznymi a nie zabijaniem.

Więc **„Niech żyją" – nie ma potrzeby ich zabijać!**

Moja refleksja o myślistwie jako hobby: gospodarka łowiecka czasem wymagająca zabijania „zwierzyny" powinna być profesjonalnym zajęciem specjalistów z tej dziedziny, a nie amatorską rozrywką ani celebrowanym rytuałem. Myślistwo jest zakorzenioną tradycją, dawniej nobilitowało, ale dziś staje się wstydliwe. Przyjemność zabijania dzikich zwierząt (i dobijanie rannych!) sprzeciwia się współczesnemu humanizmowi, a amatorska eksploatacja zasobów fauny i zakłócanie spokoju „kniei" (strzały, psy, hałas nagonki) zaburza życie przyrody. Znaczna część myśliwych ma o niej nikłą wiedzę i nie szuka przyjemności w samym obcowaniu z „dzikim życiem". Polowanie jest dla nich emocją strzelecką (ptaki jako żywe cele), niekiedy zyskiem finansowym, „męskim" życiem towarzyskim. Rzadko jest przeżyciem traperskim, bo dziś myśliwym służy nowoczesna technika – pojazdy terenowe, wyrafinowana optyka, zagospodarowanie łowiska. Subkultura myśliwska będzie zanikała w miarę jak rośnie świadomość ekologiczna społeczeństwa i zmienia się poczucie estetyki. Trofea wiszące na ścianach i dywaniki ze skór „dziczyzny" są coraz mniej modne, upowszechnia się natomiast przyjazne obcowanie z przyrodą. Zatem na ptaki – nie ze strzelbą, a z lornetką i aparatem fotograficznym.

Rozdział 13

MOJA DZIELNICA – ZIELONE BIELANY

Bielany to dzielnica położona poza śródmieściem Warszawy, zielona w swoim krajobrazie oraz w przyjaznym przyrodzie nastawieniu jej władz i mieszkańców. Historyczną i przyrodniczą wizytówką Bielan jest Las (nie Lasek!) Bielański z pradawnym puszczańskim rodowodem. Od niego pośrednio pochodzi nazwa dzielnicy (a nie odwrotnie!). Z tym Lasem jestem związany nieprzerwanie w ciągu całego swojego bielańskiego życiorysu – ornitologicznie, emocjonalnie i działaniami dla jego przyrody.

Las Bielański

Jest pozostałością wyciętej w średniowieczu Puszczy Mazowieckiej, z której zachowało się tu kilkaset 300–400-letnich dębów – świadków odbywających się tu niegdyś królewskich łowów. Te polowania uchroniły wówczas Las od wycięcia. W znacznej części zachował on ciągłość naturalnej roślinności i fauny (głównie tej mniej zauważalnej – bezkręgowców) dawnej puszczy, trwającą „od zawsze", czyli zapewne od kilku tysięcy lat. Oczywiście przyroda Lasu zmieniała się w tym czasie pod wpływem różnych czynników, szczególnie działań ludzkich. Żadna z europejskich metropolii nie może pochwalić się w swoich granicach „puszczą" o takich wartościach przyrodniczych, krajobrazowych i historycznych.

Dzięki tej pradawności, także zróżnicowaniu siedlisk i znacznej przestrzeni (około 150 ha) Las Bielański jest prawdopodobnie terenem o najwyższym w Warszawie bogactwie składu gatunkowego żywej przyrody – naturalnej bioróżnorodności. Stwierdzono tu ponad 100 gatunków grzybów kapeluszowych (tzn. tych widocznych gołym okiem), ponad 100 gatunków porostów, a roślin naczyniowych – około 400, to znaczy ⅓ liczby gatunków flory całej Warszawy, w tym ponad 40 gatunków rodzimych drzew i krzewów. W Lesie wyprowadza lęgi ponad 30 gatunków ptaków. Jest on też jednym z głównych ogniw systemu korytarzy ekologicznych Warszawy łączących ją z pozamiejskimi ostojami przyrody.

Prof. Roman Kobendza (1866–1955), botanik, jeden z najwybitniejszych badaczy przyrody Lasu, uznał go za „najpiękniejszy zakątek Warszawy" ze względu na szczególne wartości krajobrazowe. Urzekł go widok z bielańskiej skarpy na dolinę Wisły (to było jeszcze, zanim powstała tu Wisłostrada) i z przeciwnego brzegu rzeki na skarpę z charakterystyczną sylwetką kościoła kamedułów wychylającą się z leśnego masywu. Mamy tu też niespotykane nigdzie w Warszawie ukształtowanie terenu i środowisk leśnych na czterech tarasach schodzących do Wisły.

Historyczną wartością Lasu jest sakralny kompleks po klasztorze kamedułów, osiedlonych tu w XVII wieku, zwanych „bielanami" od ich białych habitów. Stąd nazwano Las „bielańskim", później całą okolicę, a dziś dzielnicę miasta – Bielany.

Bogactwo przyrody i podmiejskie (dawniej) położenie Lasu od ponad 200 lat przyciągało tu warszawskich przyrodników, dla których jest on nadal cennym poligonem badań. Tę tradycję rozpoczął już w XVIII wieku nadworny kartograf Stanisława Augusta – Karol de Perthées, który odbywał tu wycieczki entomologiczne, głównie zainteresowany motylami. Stanisław Staszic (1755–1826) prowadził badania geologiczne wiślanej skarpy Lasu. Kazał pochować się tutaj, ale nie w samym kościele (wówczas kamedulskim), a przy nim, tam skąd wówczas był widok na rzekę. Wśród badaczy przyrody Lasu Bielańskiego w XIX wieku był też Antoni Waga (1819–1890), wybitny ówczesny zoolog, który odkrył tu nowy dla światowej nauki gatunek z rzędu skoczogonków i upamiętnił Bielany w jego nazwie czworozą b bielański (*Tetradontophora bielanensis*). Bielany są zapewne jedyną dzielnicą miasta w Polsce (w Europie?) uhonorowaną w naukowej nazwie zoologicznej. Ten niepozorny (wielkości kilku milimetrów) stawonóg, bliski owadom, żyjący w ściółce leśnej, do dziś występuje w Lesie i poza swoją rolą przyrodniczą jest także żywą promocją Bielan.

Z dobrostanem przyrody Lasu koliduje „wcięty" do niego wielki kompleks Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego (UKSW) i związanych z nim instytucji. Zgodę na jego rozbudowę w otulinie rezerwatu wydał w 1992 roku ówczesny konserwator przyrody Czesław Łaszek, zasłużony dla jej ochrony, niejednokrotnie opierający się (w czasach PRL!) nawet naciskom politycznym. W tym przypadku jednak uległ autorytetowi i osobistej prośbie kardynała Wyszyńskiego. W dokumencie z 24 sierpnia 1992 roku jest zastrzeżenie, że „realizacja przedsięwzięcia nie może pociągnąć żadnych ujemnych skutków dla położonego w bezpośrednim sąsiedztwie rezerwatu Las Bielański", jednak wkrótce zostało to zapomniane. Wyburzono ruiny zabytkowego kamedulskiego klasztoru (szkoda!), a na całym otaczającym terenie powstał rozległy, z licznymi instytucjami, kompleks akademicko-kościelny. Spowodowało to odpływ wód gruntowych oraz nasilony ruch pojazdów śródleśną ul. Dewajtis, a w samym Lesie – obecność licznych przechodniów. Pomyślniejszą koegzystencję umożliwiłoby powiązanie komunikacyjne tego kompleksu z przebiegającą obok Wisłostradą, przy ograniczeniu ruchu przez rezerwat. Śródleśna ul. Dewajtis powinna wrócić do dawnej roli ciągu spacerowego służącego rekreacji w leśnym otoczeniu.

Las Bielański zaistniał w mojej biografii w 1962 roku, gdy prof. Witold Plapis z Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej zaproponował mi zrobienie badań ornitologicznych mających służyć nadaniu temu terenowi funkcji rekreacyjnej przyjaznej przyrodzie. Stan Lasu był wtedy zupełnie inny niż obecnie. W latach pięćdziesiątych XX wieku urządzono w nim Park Kultury, który miał być kontynuacją tradycji odbywających się tu dawniej podmiejskich ludowych zabaw mieszkańców Warszawy. W Parku zainstalowano estrady taneczne i widowiskowe oraz inne obiekty rozrywkowe, gastronomiczne, sportowe. W niedziele (wtedy jeszcze nie było wolnych sobót) Las – tłumnie odwiedzany przez publiczność docierającą do wszystkich jego zakątków – rozbrzmiewał hałaśliwą muzyką. Ozdobą głównej polany była naturalnej wielkości figura słonia. Robiąc sobie wówczas na nim zdjęcie, nie spodziewałem się, że kiedyś zostanie ikoną dzielnicy Bielany.

Stary dąb – pamiątka po Puszczy Mazowieckiej

Na słoniu w dawnym Parku Kultury, ok. 1964 roku

Działalność Parku Kultury niszczyła przyrodę Lasu, była rażącym dysonansem wobec jego puszczańskiego charakteru. Do tego na początku lat siedemdziesiątych XX wieku pojawiło się nowe zagrożenie. Powstająca wtedy Wisłostrada miała być wyprowadzona znad Wisły przez Las Bielański. Przecięcie go szeroką trasą szybkiego ruchu byłoby dla niego krytyczne.

Te zagrożenia przyrody Lasu zrodziły, wyjątkową w ówczesnych realiach politycznych, inicjatywę społeczną. Wyszła ona od grupy urbanistów i przyrodników skupionych wokół wspomnianego prof. Plapisa, architekta Tadeusza Bauma – miłośnika Lasu i współautora książki o nim[23], Czesława Łaszka – ówczesnego warszawskiego konserwatora przyrody oraz prof. Romana Andrzejewskiego (rozdziały 10 i 18). Chodziło o uchronienie Lasu od przecięcia go Wisłostradą i zastąpienie działalności Parku Kultury rekreacją przyjazną przyrodzie. Dziś takie podejście jest przyjętą „poprawnością", powszechnie deklarowaną (chociaż nie zawsze spełnianą), ale w tamtych czasach była to nowość budząca opory. I ta „bitwa" o Las Bielański, chyba pierwsza w takiej skali w Warszawie, została wygrana! Uczestniczyłem w niej, co prawda w ostatnim szeregu. Wisłostradę poprowadzono estakadą nad brzegiem Wisły, z ominięciem Lasu. Szczęśliwie było to w okresie prosperity początków „ery Gierka", co umożliwiło takie kosztowne rozwiązanie. Znaczną, chociaż nieformalną, rolę odegrała tu prof. Halina Skibniewska zajmująca wpływowe stanowisko wicemarszałka ówczesnego Sejmu (bezpartyjna), pozyskana dla sprawy przez wymienionych urbanistów z jej środowiska.

Czworozab bielański – zoologiczna wizytówka dzielnicy, fot. Maria Sterzyńska

Pachnica dębowa – szczególna wartość przyrody Lasu, fot. Wojciech Basiński

[23] *Las Bielański w Warszawie. Rezerwat przyrody*, pod red. T. Bauma, P. Trojana, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1982.

Małe liski przy rodzinnej norze w Lesie, 2021 rok, fot. Wojciech Basiński

Spacer „na ptaki" w Lesie Bielańskim z udziałem członków samorządu dzielnicy, 2016 rok, fot. Anna Czarnecka

Dzięki tym staraniom w 1973 roku Las ustanowiono rezerwatem przyrody, co zadecydowało o wyprowadzeniu z niego Parku Kultury. Odpowiednio dostosowano też gospodarkę leśną, m.in. zaprzestano usuwania powalonych drzew, co przywróciło Lasowi dzisiejszy puszczański wygląd. Obecnie jego przyrodę chroni także status obszaru Natura 2000 Unii Europejskiej, nadany ze względu na występowanie tu chrząszczy – kozioroga dębosza i pachnicy dębowej – europejskich rarytasów. Owady te, związane z wiekowymi dębami, są jednym ze śladów puszczańskiej przeszłości Lasu.

Udział w zespole prof. Plapisa wprowadził mnie w dwa nowe zaangażowania, przy których już pozostałem „na zawsze". Zetknąłem się ze środowiskiem

urbanistów i z ich postrzeganiem przyrody miasta. To zrodziło moje „komplementarne" – od strony przyrodnika – zainteresowanie tą tematyką i związanie z nią dalszej drogi naukowej, niejednokrotnie w bezpośredniej współpracy z „twórcami miasta" (rozdział 18). Drugim nowym doświadczeniem był właśnie Las Bielański, którego wcześniej nie znałem. Oczarował mnie klimatem pradawności monumentalnych dębów, bogactwem przyrody, pięknem tarasowego krajobrazu i widoku na Wisłę. I to mimo panoszącego się tam wtedy Parku Kultury. Moje ówczesne badania z udziałem dr (obecnie) Bolesława Jabłońskiego, ornitologa z naszego Instytutu, wykazały bogactwo awifauny nienotowane na innych terenach w Warszawie. Związałem się więc z Lasem nie tylko profesjonalnie, ale też sentymentem i emocjami wzbudzanymi zagrożeniami jego przyrody. Przeprowadziłem tu w różnych okresach trzy inwentaryzacje awifauny (1963[24], 1975[25] i 1987[26]), poświęciłem mu cztery rozdziały w książkach[27] i cztery inne publikacje. Przez wiele lat prowadziłem w Lesie spacery ornitologiczne dla mieszkańców Bielan. Jest to moje ulubione miejsce spotkań z ptakami. A wracając jeszcze do badań Lasu dla prof. Plapisa – to było moje pierwsze płatne zaangażowanie poza pracą w Instytucie, co wówczas nazywało się „chałturą".

„Proboszczem Lasu Bielańskiego" jest od lat ks. Wojciech Drozdowicz. Prowadzona przez niego parafia, najmniejsza w Warszawie, ogranicza się do pokamedulskiego kompleksu z bardzo nielicznymi stałymi mieszkańcami. Jednak na msze ks. Wojciecha w śródleśnym kościele zjeżdżają się wierni z całej Warszawy. Gdy postanowiłem go poznać i zjednać dla spraw przyrody Lasu, w odpowiedzi na telefon usłyszałem z automatycznej sekretarki: „Alleluja! Pan zmartwychwstał, zostaw wiadomość". Przedstawiłem się jako ten od ptaków Lasu Bielańskiego i zaproponowałem spacer zapoznający księdza z jego skrzydlatymi parafianami. Po tym spacerze ks. Wojciech zaprosił mnie do wystąpienia na niedzielnej mszy. Odbyło się to (pamiętam) 6 maja 2001 roku. Opowiadałem z ambony o Lesie, który nazwałem „świątynią przyrody" i ptakach w nim, a ksiądz puszczał nagrania ich głosów. Dostaliśmy wielkie brawa – rzecz niecodzienna podczas nabożeństwa. Od tamtego czasu przez kilka lat w maju występowałem z takimi prelekcjami na niedzielnych mszach księdza Wojciecha. Później podczas mszy bywał to tylko krótki anons, a prelekcję miałem po nabożeństwie w salce widowiskowej kościelnego podziemia, gdzie są warunki do prezentacji slajdów.

[24] M. Luniak, *Zastosowanie badań ornitologicznych przy programowaniu i użytkowaniu miejskich terenów zielonych na przykładzie Lasu Bielańskiego w Warszawie* [w:] *Materiały do zagadnień użytkowania urbanistycznego naturalnych środowisk przyrodniczych*, pod red. W. Plapisa, Instytut Podstawowych Problemów Planowania Przestrzennego Politechniki Warszawskiej, Warszawa 1967, s. 118–136.

[25] M. Luniak, *Ptaki rezerwatu Las Bielański w Warszawie*, „Ochrona Przyrody" 1982, nr 44, s. 219–243.

[26] M. Luniak, *Awifauna Lasu Bielańskiego w Warszawie 15 lat po ustanowieniu rezerwatu*, „Parki Narodowe i Rezerwaty Przyrody" 1991, nr 10, s. 167–181.

[27] Między innymi: J. Chojnacki, M. Luniak, S. Miścicki, *Las Bielański* [w:] *Przyroda Bielan warszawskich*, pod red. M. Luniaka, Muzeum i Instytut Zoologii PAN, Warszawa 2010, s. 210–221; M. Luniak, *Las Bielański* [w:] *Przyroda Warszawy*, pod red. J. Wojtatowicza, Biuro Ochrony Środowiska Urzędu m.st. Warszawy, Warszawa 2009, s. 28–33.

Transmisja z gniazda jerzyków w pokamedulskim kościele

Przed kilku laty ks. Wojciech zapragnął osiedlić w kościelnej wieży jerzyki, które zapewne uważał za ptaki szczególnie „niebiańskie", bo prawie całe swoje życie spędzają w locie. Zostały zainstalowane skrzynki lęgowe i przez dwa sezony jerzyki były wabione specjalnymi nagraniami, które dostałem od ornitologów z Londynu. Od szeregu lat jerzyki już gniazdują w tych skrzynkach, a w kruchcie kościoła stanął ekran umożliwiający oglądanie transmisji z któregoś gniazda. Ten stały wgląd w „domowe" życie jerzyków cieszył się dużym zainteresowaniem, a ich wiosenny przylot ks. Wojciech anonsował podczas niedzielnego nabożeństwa.

Jerzyki ks. Wojciecha występowały w specjalnym filmie. „Jerzykowy" ekran w bielańskim kościele był też pokazywany w telewizji BBC. W bolońskiej bazylice San Petronio również zostały zainstalowane podobne miejsca lęgowe dla jerzyków i jest transmisja z ich gniazd z powołaniem się na przykład kościoła bielańskiego. Tak więc nasze jerzyki zrobiły międzynarodową karierę. Trzeba jednak dodać, że ks. Wojciech wyeksmitował z kościoła jaskółki dymówki. Miały gniazdo nad ołtarzem i zakłócały nabożeństwa przelotami nad wiernymi oraz nieczystościami. Z tego powodu, mimo sympatii księdza do ptaków, wejście do kościoła zostało osiatkowane. Z ks. Wojciechem łączy mnie przyjaźń od tamtych pamiętnych występów na ambonie.

Bielany są dzielnicą wyróżniająca się wśród innych jako „zielona" i „ptasia". Jej przyrodę opisuje obszerna ilustrowana książka[28], do której napisania zaprosiłem jako jej redaktor naukowy i współautor (mam w niej 9 rozdziałów)

[28] *Przyroda Bielan warszawskich*, pod red. M. Luniaka, Muzeum i Instytut Zoologii PAN, Warszawa 2010 i 2013.

Wiekowa topola na kampusie AWF – świadek powstawania tej uczelni

47 autorów – specjalistów z różnych dziedzin. Nie znam innej tak obszernej popularnonaukowej przyrodniczej monografii dzielnicy.

Zieleń Bielan to duże przestrzenie parków leśnych i pasa naturalnych zadrzewień łęgowych wzdłuż Wisły, parki i skwery wśród zabudowy oraz liczne ogródki przydomowe nadające dzielnicy kameralny charakter. Widziałem to z perspektywy ptaka w locie nad Bielanami jako pasażer szybowca (rozdział 23). Z drzew chyba najbardziej „bielańska" jest monumentalna ponad 100-letnia topola w centralnej części kampusu AWF pamiętająca czasy, gdy powstawała ta uczelnia i cała dzielnica. A w sąsiedztwie domu mam 200-letni dąb. Wzrostowi zazielenienia dzielnicy służy od lat akcja Bielańskie Rewolucje Podwórkowe – wymiana asfaltu i betonu w blokowych osiedlach na zieleń – skwery i trawniki. Ten wieloletni program objął już blisko 50 terenów. Ma on też wymiar socjalny, bo jest w dużej mierze inicjatywą lokalnych społeczności. Aktualnie wprowadzane są też proekologiczne zmiany w zieleni ulicznej – „gładkie" trawniki zamieniane są w łąki kwietne z naturalną roślinnością. Tylko na Bielanach odbywa się co roku piknik Bielański Dzień Ptaków organizowany przez władze dzielnicy. Atrakcyjnie łączy on proekologiczną edukację z rekreacją i przyciąga licznych uczestników. Jest też bielańska „ptasia ścieżka" (uczestniczyłem w jej projektowaniu) przebiegająca przez trzy parki. Zainstalowano przy niej „ptasie wieże" (rozdział 19) z miejscami lęgowymi oraz tablicami przedstawiającymi „zapraszane" ptaki w kontekście szerszych wiadomości o przyrodzie. Niedawno na Bielanach zainstalowano też pierwszą w Warszawie wieżę z miejscami lęgowymi dla jaskółek oknówek.

W tej części dzielnicy, gdzie mieszkam, na Starych Bielanach, lubię przedwojenną tradycję, przyjazny charakter urbanistyczny (willowa zabudowa z zielenią, bliskość metra), socjalność stosunków sąsiedzkich, otoczenie starych sosen i dębów (rozdział 23). Chyba nie znalazłbym dla siebie lepszego miejsca.

A co do Lasu Bielańskiego, to mimo chroniącego go obecnie statusu prawnego i proekologicznej gospodarki leśnej, jego wspaniała przyroda ulega degradacji. Przyczyniają się do tego głównie:

- Przesuszenie spowodowane ogólnymi zmianami klimatu, wyschnięciem Potoku Bielańskiego i budową wielkiego (zagłębionego w ziemi) kompleksu UKSW.
- Nasilenie ruchu kołowego i pieszego do kompleksu UKSW przez ul. Dewajtis i szlakami leśnymi.
- Rozpowszechniona praktyka puszczania wolno psów i jazd terenowych rowerami poza wyznaczonymi szlakami – szczególnie po zboczach leśnych tarasów. Tym wykroczeniom, szkodzącym przyrodzie Lasu, mogłaby łatwo zapobiec odpowiednia aktywność Straży Miejskiej lub Leśnej.

Jestem wdzięczny władzom Bielan za docenienie mojego zaangażowania na rzecz przyrody dzielnicy. Z ich inicjatywy zostałem wyróżniony Nagrodą Miasta Stołecznego Warszawy (2017 rok), Odznaką Honorową Zasłużonego dla Warszawy (2018 rok), a od burmistrza Bielan dostałem dyplom Bielańskiego Autora (2021 rok). Na tym dyplomie napisano (omyłkowo!) „bielański aktor", co przyjąłem jako wyzwanie do poszerzenia swoich kompetencji, chyba już bezskuteczne.

Prośby do odwiedzających Las Bielański

- Szanujcie spokój i przyrodę Lasu – to nie jest zwykły park, a rezerwat – miejsce wypoczynku w przyjaźni z przyrodą. Nie przeszkadzajcie innym w korzystaniu z tego.
- Nie spuszczajcie psów ze smyczy. Pies, biegając po lesie, niepokoi zwierzęta, nawet z daleka, zostawia woń drapieżnika. Przeszkadza też tym, którzy szukają tu spokoju.
- Nie wydeptujcie i nie rozjeżdżajcie Lasu rowerem – poza wyznaczonymi szlakami. To niszczy jego runo i zbocza tarasów oraz niepokoi zwierzęta w ich ostojach.
- Nie niszczcie drzew, runa, gleby Lasu – jego wspaniałej przyrody.
- Unikajcie przejazdów samochodem ul. Dewajtis. Powoduje to zatrucie powietrza spalinami, zabija zwierzęta – ptaki, jeże, wiewiórki, płazy, owady, ślimaki. Korzystajcie z okazji do leśnego spaceru.
- Namawiajcie innych, żeby chronili Las, szczególnie gdy widzicie, że mu szkodzą.
- Przyczyniajcie się do zachowania bogactwa jego przyrody dla was i przyszłych pokoleń.

Rozdział 14

Z WISŁĄ

Z Wisłą byłem zaprzyjaźniony już od dzieciństwa spędzanego na letnisku w Świdrze. Gdy mieszkaliśmy tam na stałe, kępa przy ujściu Świdra była celem naszych niedalekich wycieczek na plażę i kąpieli w Wiśle – czasem niebezpiecznych. Później, gdy w czasach licealnych zainteresowałem się ptakami, zarośla i sama rzeka na przestrzeni kilkunastu kilometrów od ujścia Świdra stały się miejscem moich częstych odwiedzin ornitologicznych, także kajakiem i żaglówką. Było tam bogactwo ptaków wodnych i zaroślowych, zmieniające się w różnych porach roku. Mogłem liczyć nawet na takie rarytasy, jak gniazdujący kulon, który dziś już wyginął w Polsce jako ptak lęgowy. Gniazdowały tu też błotniak łąkowy i podróżniczek, a w porze wędrówek widywałem m.in. rybitwę wielkodziobą czy rybołowa. Zdarzało się, że latem nocowałem nad rzeką przy ogniskach wędkarzy, co wspominam jako udrękę z powodu chmar komarów, nagradzaną jednak obserwacjami ptaków budzących się przed świtem. Przy takiej okazji jedyny raz w życiu zobaczyłem z bliska rzęsorka rzeczka. To mały ssak prowadzący skryty tryb życia nad wodami.

Przedostanie się na kępę wiślaną w rozwidlonym ujściu Świdra wymagało brodzenia przez tę płytką rzeczkę z zawiniętymi lub zdjętymi spodniami, co robiłem również w zimnych porach roku. To doświadczenie przybliżyło mi przyjemność (?) odczuwaną przez tzw. morsów – osoby zażywające zimowych kąpieli. Dziś na takie okoliczności miałbym gumowe buty biodrowe.

W czasach studiów prowadziłem już systematyczne badania wiślanej awifauny nie tylko w okolicach Świdra, ale również w Warszawie. Na ich podstawie zrobiłem pracę magisterską (mało odkrywczą) o przelotach wędrówkowych mew

Pisklę kulona z lęgu na wiślanej kępie przy ujściu Świdra, ok. 1959 roku. Ten gatunek już w Polsce nie gniazduje

Krajobraz „pustki cywilizacyjnej" na Wiśle, fot. Stefania Egierszdorf

Łódź „pychówka" ze spływu Sanem i Wisłą z Mietkiem Józefikiem, 1960 rok

i rybitw oraz miałem dwie pierwsze publikacje naukowe (rozdział 9). Dla zaprezentowania ich na konferencji naukowej w Krakowie jako świeżo upieczony absolwent (w 1959 roku) udałem się autostopem z grupą przyjaciół studentów, m.in. dziś ornitologami – prof. Maciejem Gromadzkim i dr Bogumiłą Szulc-Olech. Był to wówczas popularny wśród młodzieży sposób podróżowania. Skuleni na odkrytej skrzyni ciężarówki, chroniliśmy przed deszczem przewożone rulony plansz konferencyjnych. Dziś takie prezentacje można mieć w kieszeni na pendrivie.

Jednak okazja do prawdziwych zaślubin z Wisłą nadarzyła mi się dopiero w 1960 roku, wkrótce po rozpoczęciu pracy w Instytucie (rozdział 11). Z jakichś administracyjnych powodów trzeba było przetransportować z Przemyśla do Warszawy łódź typu „pychówka" i kajak, wcześniej wykorzystywane do badań

w Bieszczadach. Oczywiście można je było przewieźć „normalnie” – samochodem. Jednak mój ornitologiczny szef – Mietek Józefik – postanowił, że obaj odbędziemy tą łodzią spływ Sanem i Wisłą, robiąc po drodze rekonesans nieznanej dotąd awifauny obu tych rzek. W ciągu kilkunastu dni niespiesznie przepłynęliśmy trasę ponad 400 km – na wiosłach i „pychem”, pomagając sobie prymitywnym żaglem. Obozowaliśmy na bezludnych plażach i gotowaliśmy na wówczas dość czystej (?) wodzie obu rzek. Na szczęście tym razem nie musiałem spełniać funkcji preparatora zabijającego ptaki – wystarczyły nam lornetki i luneta.

Ten spływ dostarczył mi wielu nowych wrażeń – ornitologicznych, krajobrazowych i wodniackich. Na Sanie pierwszy raz w życiu zobaczyłem ślepowrony (rzadki u nas krewniak czapli). A później, przez te 240 km Wisłą od ujścia Sanu do Warszawy – to było oczarowanie. Bezludna przestrzeń dzikiej rzeki z plażami, płyciznami i zdradzieckimi „przemiałami” w nurcie, zaroślami i starorzeczami. Stada krów na nadrzecznych łąkach, wioski schowane gdzieś za wałami, rzadko jakiś wędkarz. Poza Kazimierzem i przystaniami w kilku miasteczkach właściwie nie było kontaktu z „cywilizacją” – sklepem, telefonem. Malownicze widoki – Zawichost na wyniesieniu nad rzeką, urwiska małopolskiego przełomu Wisły, zamek w Janowcu. W sierpniu, gdy płynęliśmy, było już dużo koczujących ptaków nadwodnych – wielkie stada czajek (dziś rzadkość), różne gatunki brodźców i biegusów, czaple siwe, grupki pliszek, stada mew śmieszek, rybitwy. Któregoś wieczoru, obozując na rozległych plażach koło Janowca, wieczorem słyszeliśmy nastrojowy chór przeciągle „kwilących” kulonów – potem już nigdy nie zaznałem tej atrakcji. Po latach pewną jej namiastkę miałem w Kanadzie (rozdział 21), słuchając nad jeziorami wieczornego zawodzenia nurów. Z Wisłą i jej awifauną miałem do czynienia już od lat przy ujściu Świdra. Jednak tutaj, na przestrzeni ponad 200 km i przy naszym odosobnieniu na rzece, jawiła się ona jako inny świat. Wtedy zaczęła we mnie narastać chęć „wniknięcia” do niego i bliższego poznania. Bardzo odpowiadał mi nastrój „pustki cywilizacyjnej” wiślanego krajobrazu z bogatym ptasim życiem.

Wówczas moja pozycja początkującego w Instytucie pracownika technicznego nie dawała możliwości spełnienia tego zainteresowania Wisłą, tym bardziej że temat był już w nieoficjalnych zamiarach doktoratu jednego z kolegów. Jednak po awansie na etat naukowy, gdy badania na Wiśle nadal leżały odłogiem, udało mi się uzyskać na nie zgodę. Sprzyjały temu głośne wtedy dyskusje wokół państwowych planów zagospodarowania tej rzeki przez regulację i stworzenie kaskady zapór. Były to czasy PRL – uprzemysłowienia ignorującego przyrodę.

Dla badań obrałem mało uregulowany odcinek 240 km środkowego biegu Wisły między ujściem Sanu (279 km wiślanego szlaku wodnego) poniżej Sandomierza i Warszawą. W ciągu pięciu lat (1960–1964) dziesięć razy przebyłem go wodą i wielokrotnie dokonywałem obserwacji z brzegów, także zimą. Na wyprawy wodne zawsze brałem kogoś do pomocy i żeby mieć możliwość oddalenia się na „ląd”. Po tamtym rajdzie „pychówką” z Mietkiem Józefikiem w 1960 roku, następny odbyliśmy rok później ze Stefanem Sumińskim – dwoma kajakami, „zwykłym” (wtedy były z dykty) i dmuchanym. Spływ kajakami na kapryśnej Wiśle stwarzał szereg niedogodności. Na noclegi trzeba było rozbijać obóz z „kuchnią” i namiotami, chociaż czasem przy dobrej pogodzie sypialiśmy pod gołym niebem. Stefan był zapalonym myśliwym, więc głównie on strzelał do ptaków (rozdział 12), natomiast ja je preparowałem. Mięso trafiało do naszej kuchni – oczywiście przed użyciem trującego arszeniku, którym konserwowałem wypreparowane skórki. Mam więc w swoim kulinarnym CV z tamtych czasów różnorodność „drobiu”, z czego dziś nie jestem dumny, ale wtedy było to ułatwieniem traperskiego życia. Wodę „spożywczą” czerpaliśmy z rzeki. Dopiero od 1963 roku kombinat siarkowy w Tarnobrzegu tak zanieczyścił Wisłę, że wodę trzeba było przynosić ze wsi (o butelkowanej jeszcze nikt nie słyszał). Stefan barwnie opisał nasz spływ w swojej książce[29]. Wkrótce po tej wiślanej przygodzie związał się z zakonem benedyktynów w Tyńcu (też nad Wisłą).

Łódź „bączek” służyła moim badaniom od 1962 roku

Badania awifauny Wisły niepotrzebnie wiązały się z zabijaniem ptaków

[29] S. Sumiński, *Sumińscy*, Wydawnictwo Benedyktynów, Tyniec 2010, s. 65–67.

Preparator Jurek Pianko i – wówczas – student Janusz Truszkowski, spływ 1962 rok

Następne spływy odbywałem już łódką motorową – „bączkiem", co zwalniało od wiosłowania (240 km!) i można było na niej „mieszkać". Wobec mojego ówczesnego braku obycia z motoryzacją jako towarzysza pierwszej takiej wyprawy wiosną 1962 roku dobrałem sobie Andrzeja – wytrawnego motocyklistę i myśliwego. Już od początku Wisła dała nam nauczkę, pokazując, „kto silniejszy". Wystartowaliśmy z przystani na warszawskiej Saskiej Kępie z zamiarem dotarcia w ciągu kilku dni w górę rzeki (czyli pod prąd) do Sandomierza, skąd po zaopatrzeniu mieliśmy odbyć spływ do Warszawy. Okazało się jednak, że nie

Stefan Sumiński, mój towarzysz spływu w 1961 rok

Piotr Wisiński, mój towarzysz spływu w 1964 roku

doceniliśmy przewagi wiślanego prądu nad motorkiem naszej sporej i obciążonej łódki. Po całym dniu dotarliśmy na wyjącym silniku zaledwie do Góry Kalwarii, czyli pokonując niewiele ponad 20 z 240 km zaplanowanej trasy. Ta niespodzianka przekreślała cały plan wyprawy. Na szczęście niedaleko zatrzymał się na noc statek gospodarczy dróg wodnych „Bartosz Głowacki", zmierzający do Krakowa, a kapitan okazał nam życzliwość. Nasza łódka wylądowała na pokładzie i w ten sposób szybko dotarliśmy do Sandomierza. Stąd już bez trudności odbyliśmy zamierzony spływ do Warszawy i teraz nasz silniczek, wspomagany prądem Wisły, spisywał się znakomicie. Na następne wyprawy łódkę przewoziliśmy do Sandomierza samochodem. Jako uciążliwość tamtego rejsu „Głowackim" zapamiętałem, że wypadało uczestniczyć w życiu towarzyskim załogi.

Inny rejs statkiem („Jan Kiliński") na badanym odcinku Wisły odbyłem w kwietniu 1963 roku. Dołączyłem do wyprawy zespołu specjalistów (m.in. wojskowych) robiących badania mikrobiologiczne i fizykochemiczne wód Wisły między Płockiem a Krakowem. Tryb tych prac (m.in. postoje statku) pozwalał mi prowadzić obserwacje ornitologiczne. Uczestnicy wyprawy uważali to moje zainteresowanie ptakami za „dziwne", tym bardziej że notatki robiłem skrótowym kodem (jeszcze nie było dyktafonów), niezrozumiałym dla postronnych. Ten rejs (w obie strony) pozwolił mi poznać górny bieg Wisły powyżej Sandomierza aż do Krakowa, znacznie różniący się od odcinka poniżej ujścia Sanu, gdzie prowadziłem badania. Pamiętam wspaniały widok z rzeki na położony na wysokim brzegu klasztor benedyktynów w Tyńcu. Wiele lat później, odwiedzając ten klasztor, podziwiałem tym razem Wisłę z góry.

Podczas spływów motorowym „bączkiem” mieszkaliśmy na łodzi, co dawało swobodę przemieszczania się bez potrzeby rozbijania obozu. Była to jednak ciasnota oraz niedopuszczalne (!) lekceważenie zasad bezpieczeństwa. Bywało, że w naszej niewielkiej „budzie” urządzonej na łódce gotowaliśmy na prychającej radzieckiej kuchence benzynowej, później (od 1963 roku) na gazie z butli. Obok były kanistry z benzyną, amunicja myśliwska, łatwe do zapalenia ubrania i śpiwory. Do tego brak gaśnicy. Na odludnej rzece nie groziła nam inspekcja przeciwpożarowa, ale przecież...

Spływ w 1963 roku pozostawił mi szczególne wspomnienie. Był to jedyny raz, kiedy miałem towarzyszkę, ściągniętą „awaryjnie” na miejsce preparatora Jurka Pianko, który musiał odłączyć się na trasie. Gdzieś poniżej Dęblina uwięził nas na łódce deszcz „trzydniówka”. Wkrótce Wisła niespodziewanie nocą wezbrała (doroczny przybór „świętojański”) i zmieniła się w groźny żywioł. W ciemności dobiliśmy do brzegu, gdzie zastaliśmy mieszkańców pobliskiej wsi w trakcie akcji ratowania owiec z zatapianej wyspy. Moja łódź motorowa bardzo się tu przydała, ale przeprawianie tych zwierząt nocą na wzburzonej rzece było silnym przeżyciem. Z wdzięczności dostaliśmy kwaterę we wsi, ale rano moja towarzyszka zrezygnowała z dalszego udziału w wiślanej przygodzie. Ja odczekałem, aż minie powódź, mieszkając przez następne kilka dni na łodzi przy wyspie wyłaniającej się z topieli. Paradoksalnie w bezmiarze wody brakowało mi tej spożywczej. Tamtą bezczynną samotność wśród wzburzonego żywiołu pamiętam jako doświadczenie rozbitka na bezludnej wyspie (depresyjne!).

Moje badania na Wiśle podsumowała praca doktorska obroniona w 1968 roku na Wydziale Biologii UW. Opisałem w niej[30], jakie gatunki ptaków występowały na badanym odcinku środkowego biegu Wisły i liczebność ptasich populacji, jak ich obecność zmieniała się w porach roku, jakie zależności ekologiczne kształtowały tę awifaunę. Ogółem w swoich badaniach zanotowałem ponad 162 gatunki ptaków (w tym 41 lęgowych) związanych ekologicznie z kompleksem środowisk Wisły – z otwartą przestrzenią wód i piaskowych ławic jej koryta, starorzeczami i nadrzecznymi zaroślami wiklinowymi. Ta praca stworzyła podstawę do późniejszych i obecnych licznych badań nad awifauną Wisły. W moich wiślanych wyprawach towarzyszyli mi kolejno: Stefan Sumiński (1961 rok) – myśliwy, Andrzej (?) – leśnik i myśliwy, obyty z motoryzacją – bo silnik łodzi był wtedy dla mnie nowością (1962 rok), Jurek Pianko (1962 i 1963 rok) – preparator z naszego Instytutu, Janusz Truszkowski (1962 rok) – ornitolog, wówczas student i Piotr Wisiński (1964 rok) – fotograf. Mimo czasem niełatwych sytuacji – z rzeką, pogodą, zaopatrzeniem i przymusem współobcowania w ciasnocie łódki – panowała między nami dobra atmosfera. Jestem im wdzięczny za trud i niewygody ponoszone dla moich badań.

[30] M. Luniak, *Ptaki środkowego biegu Wisły*, „Acta Ornithologica” 1971, nr 13, s. 17–113.

Dawne ujście kolektora młocińskiego

Współistnienie miasta z przyrodą rzeki

Przykładem jest tu ujście do Wisły dawnego kolektora ścieków w Młocinach. Kiedyś, gdy był on czynny, gromadziły się tu licznie różne gatunki mew i kaczek, które miały bogate (ale czy zdrowe?) żerowisko, a zimą też niezamarzającą przestrzeń wodną. To skupisko ptaków zwabiało z kolei polujące na nie bieliki. Paradoksalnie więc to zatrute ściekami miejsce służyło (?) ptakom i było jedną z głównych atrakcji ornitologicznych Warszawy, dokąd licznie ściągali amatorzy ich obserwowania i fotografowania. Od czasu, gdy Warszawa ma oczyszczalnię ścieków Czajka i zamknięto kolektor, ptaki przestały się tu gromadzić, a ich miłośnicy stracili miejsce atrakcyjnych obserwacji i spotkań. Sama rzeka oczywiście zyskała pod względem ekologicznym i sanitarnym, a ptaki są bliżej wiślanej przyrody. Niestety wody w Wiśle jest coraz mniej.

W następnych latach nadal pozostałem przy Wiśle, ale już tylko tej warszawskiej. W 1965 roku zainicjowałem i koordynowałem zespołowe liczenia ptaków wodnych zimujących na tym odcinku rzeki. Obecnie jest to kontynuowane, od dawna bez mojego działu, w ramach europejskiego projektu badawczego. Uczestniczyłem też w różnych społecznych i miejskich gremiach[31] konsultujących urbanistyczne i ekologiczne „zwrócenie miasta twarzą do rzeki”. Ścierały się przy

[31] Między innymi:
- projekt (niezrealizowany) pasma rekreacyjnego „Świder-bis” (1971–1972);
- zespół konsultacyjny przy Okręgowej Dyrekcji Gospodarki Wodnej (1993–1995);
- jury konkursu urbanistycznego na Wiślany Park Przyrodniczy w Warszawie (2005–2006);
- kierowanie zespołem siedmiu autorów opracowania *Wisła w Warszawie – Fauna* dla Zarządu m.st. Warszawy (2000);
- Komisja Dialogu Społecznego przy Biurze Ochrony Środowiska Zarządu m.st. Warszawy (2007–2009);
- Komitet Sterujący projektu Life+ dotyczącego ochrony siedlisk ptaków na warszawskiej Wiśle (2011–2017).

Białe sylwetki mew są nieodłączną częścią widoku warszawskiej Wisły, fot. Marcin Jan Gorazdowski

Nurogęś – jeden z najbardziej „eleganckich" ptaków Wisły

tym (czasem gorąco!) dwa stanowiska. Z jednej strony dążenie do intensywnego zagospodarowania pasa rzecznego z priorytetem rozrywki i masowej rekreacji oraz udrożnieniem koryta dla łatwego spływu wód powodziowych. Przy tym podejściu szczególnie kontrowersyjne było (i jest!) wycinanie nadwiślańskich zadrzewień łęgowych dokonywane z uzasadnieniem (nie bardzo przekonującym) względami przeciwpowodziowymi. Z drugiej strony był postulat ochrony czy nawet wzbogacenia wiślanej przyrody, m.in pod kątem jej wykorzystania w proekologicznej rekreacji mieszkańców miasta. Obecnie warszawska Wisła, z intensywnym bulwarowym zagospodarowaniem jej lewego brzegu oraz prawym – zielonym, z wyspami i trawami dla ptaków oraz rezerwatami przyrody przy obu krańcach miasta, wydaje mi się dobrym (przy różnych zastrzeżeniach) pomysłem koegzystencji urbanizacji z dzikim życiem rzeki.

Od czasu moich wiślanych przygód awifauna środkowego biegu Wisły była przedmiotem licznych badań. Wykazały one, że jest to ważny śródlądowy szlak wędrówek ptaków wodnych oraz ostoja lęgowa, dla kilku gatunków najważniejsza w kraju. Na przykład gniazduje tu cała polska populacja mewy żółtonogiej oraz znaczna większość populacji mewy siwej, rybitwy białoczelnej i sieweczki obrożnej. Ustanowiono rezerwaty chroniące wiślaną awifaunę, m.in. dwa z nich przy przeciwległych granicach Warszawy, a całą warszawską Wisłę obejmuje europejski obszar ochronny Natura 2000. Mam więc satysfakcję, że moje spływy w latach sześćdziesiątych XX wieku odkryły środkową Wisłę dla naszej ornitologii i przyczyniły się do ochrony jej przyrody.

Lubię bywać nad Wisłą. Poza dającym „oddech" szerokim widokiem, którego brak gdzie indziej w mieście, spotykam tu ptaki z „tamtych lat" lub zawieram nowe ptasie znajomości. Brak mi czajek, których duże stada dawniej w lecie i jesienią były częste na wiślanych ławicach. Znacznie mniej jest też innych wędrujących ptaków siewkowych – rycyków, kulików, różnych gatunków brodźców i biegusów, częściej widywałem wędrowne rybołowy i rybitwy wielkodziobe. To skutek kurczenia się miejsc lęgowych tych ptaków u nas i często w odległych krajach oraz na szlakach wędrówek. Za to teraz widuję egzotyczne czaple białe i kaczki mandarynki, których wcześniej nie było na Wiśle. Nowością jest liczna (chyba już zbyt liczna) i całoroczna obecność kormoranów. Spektakularną atrakcją warszawskiej Wisły stały się bieliki spędzające tu okres jesienno-zimowy, a nawet podejmujące próby gniazdowania na peryferiach miasta. Stałą częścią krajobrazu warszawskiej Wisły są mewy krążące nad wodą lub przesiadujące przy niej. Jest ich kilka gatunków, z których najliczniejsze są śmieszki i mewy siwe. Podobnie stałym widokiem są liczne kaczki krzyżówki – pojedyncze i w stadach. Zawsze z przyjemnością patrzę na nurogęsi i gągoły połyskujące bielą na ciemnej toni wodnej. Wisła urzeka mnie swym niepowtarzalnym krajobrazem i całorocznym ptasim spektaklem (także wspomnieniami!).

Z tą rzeką mam też jednak dwa smutne skojarzenia:

Paweł Cybulski, kolega licealny i towarzysz moich pierwszych spotkań z ptakami w Świdrze (rozdział 8), później jako student zapalił się do żeglarstwa. Miał ryzykancką naturę, a nie umiał pływać (!), co skończyło się tragicznie podczas banalnej wywrotki żaglówki na Wiśle.

Mgr Ewa Głażewska, ornitolog, moja bliska współpracowniczka w Instytucie, w 1987 roku wybrała się hobbystycznie na obrączkowanie mew i rybitw w kolonii lęgowej na wiślanej wyspie pod Warszawą. Lekkomyślnie płynęli tam z mężem i dwojgiem małych dzieci na wątłym pontonie. Kolizja z barką spowodowała, że wszyscy znaleźli się w wodzie i Ewa, która miała niesprawność fizyczną, nie zdołała się uratować.

Rozdział 15

PTASIARZE?

Na początku mojego „zapatrzenia" na ptaki (rozdział 8) w czasach licealnych spełniałem się w tym hobby prawie samotnie. Dopiero podczas studiów spotkałem na różnych latach osoby o podobnych zainteresowaniach i pod opieką mgr. „Kazika" Dobrowolskiego, wówczas asystenta „naszego" prof. Raabego (rozdział 9), założyliśmy studenckie koło ornitologów, ale były to powiązania dość luźne. Nie istniała wtedy w Polsce zorganizowana nie tylko amatorska, ale też profesjonalna społeczność ornitologiczna. Czasem, nawet mimo bliskości zamieszkania, nie wiedzieliśmy o sobie wzajemnie. Ruch, od dawna funkcjonujący w większości krajów rozwiniętych, zawiązał się u nas formalnie dopiero w 1957 roku na Krajowym Zjeździe Ornitologów, gdy „odwilż" polityczna w kraju pozwoliła na zrzeszanie się. Uczestnicząc w Zjeździe, wówczas jako student, spotkałem osoby o podobnych zainteresowaniach z całego kraju, również naukowców znanych mi dotąd z publikacji. Od tamtego czasu aktywnie związałem się z amatorskim ruchem ornitologicznym – działalnością i także wieloletnimi przyjaźniami.

Przez długi czas to ornitologiczne hobby nie miało w polszczyźnie ustalonej nazwy odpowiadającej angielskiemu *birdwatching* czy amerykańskiemu *birding*. Ten pierwszy termin bywa w użyciu także u nas – w zapożyczonym oryginale lub w bezpośrednim tłumaczeniu – „obserwowanie ptaków" („obserwator") czy mniej zręcznie – „podglądanie" ich. Oryginalny polski termin – „ptakolub/y" – stworzył w latach siedemdziesiątych XX wieku Witold Tyrakowski w jednej ze swoich książek[32] popularyzujących przyrodę. Później rozpowszechniły go Klub Ptakolubów działający przez kilkanaście lat na łamach „Świata Młodych. Harcerskiej gazety

Ptasie hobby

Poznawanie ptaków i ich życia jest najpopularniejszym z wszystkich rodzajów hobby, które zajmują się żywą przyrodą, sprzyjając jej, a nie eksploatując jak myślistwo czy wędkarstwo. W Wielkiej Brytanii Królewskie Towarzystwo Ochrony Ptaków (RSPB) liczy ponad milion członków, w Niemczech do kilku krajowych „ptasich" stowarzyszeń należy kilkanaście tysięcy osób, ale tamtejsza internetowa platforma (ornitho.de) ma kilkadziesiąt tysięcy aktywnych uczestników. U nas w skali kraju działają Ogólnopolskie Towarzystwo Ochrony Ptaków (OTOP) i Sekcja Ornitologiczna Polskiego Towarzystwa Zoologów (PTZool.), które mają ponad 1000 członków. Są też liczne stowarzyszenia regionalne i lokalne grupy oraz platformy internetowe, z wiodącą ornitho.pl. Przyjazne zainteresowanie ptakami staje się u nas coraz bardziej powszechne także poza tymi zorganizowanymi strukturami.

Dlaczego właśnie ptaki, wśród wszystkich zwierząt w przyrodzie, tak absorbują naszą uwagę i sympatię? Składają się na to ich szczególne właściwości:

- wielkością, głosem i „ekspozycją" (szczególnie w locie) są dobrze „dopasowane" do naszego odbioru zmysłami. Łatwo dostrzegamy je i słyszymy; są obok drzew najbardziej zauważalną częścią przyrody ożywionej („dzikiego życia") w naszym otoczeniu;
- odpowiadają naszej psychice. Podoba nam się ich wygląd i głos (zwykle), rozumiemy ich zachowania, możemy mieć z nimi obustronny kontakt, nawet zaprzyjaźnić się z konkretnymi osobnikami. Zaspokajają ludzką potrzebę obcowania z „czymś żywym";
- widzimy je lub słyszymy zawsze i wszędzie, więc stale dają nam okazję do spotkania „kogoś znajomego";
- stwarzają nieograniczoną perspektywę ich poznawania. Światowa awifauna liczy około 10 tys., a polska – ponad 460 gatunków, każdy z nich o innym wyglądzie, wydawanych głosach, sposobie zachowania, rozmieszczeniu geograficznym i środowisku występowania. I te cechy zmieniają się jeszcze w różnych porach roku.

A samo ornitologiczne hobby ma też zalety przyciągające do niego:

- jest dostępne dla każdego niezależnie od wieku, warunków fizycznych, materialnych, wykształcenia. Ptaki można obserwować przez okno, nie wychodząc z domu, podczas niedzielnego spaceru w parku, ale także wyprawiając się do lasu, nad wodę, do tropikalnej dżungli, na inne kontynenty. Daje nieograniczoną możliwość wyżycia rekreacyjnego, turystycznego, nawet sportowego;
- jest proekologiczne: nie eksploatuje przyrody (przeciwnie do wędkarstwa, myślistwa, grzybobrania) i nie niszczy jej, a prowadzi do ochrony i krzewienia kultury przyrodniczej;
- można je uprawiać w dowolnych układach personalnych: samotnie lub w grupach o dobranym według upodobań składzie i sposobie współdziałania. Rozpowszechnienie i charakter tego hobby stwarza łatwość nawiązania kontaktów personalnych, nie rodzi konfliktów konkurencyjnych, a wręcz przeciwnie – sprzyja wzajemnie inspirującej wspólności;
- ma oparcie w najbardziej zaawansowanej wiedzy biologicznej, daje też możliwość uczestniczenia w społecznych programach badań naukowych (*citizen science*) oraz w różnych formach zbiorowych działań proekologicznych;
- uprawianie go ułatwia bogata oferta handlowa literatury ornitologicznej, m.in. przewodników terenowych, a także doskonałego sprzętu optycznego (lornetki, lunety) oraz fotograficznego i filmującego, służącego do „polowania" na ptaki;
- ostatnio coraz częściej słychać o obserwacji ptaków w przyrodzie jako czynniku psychoterapeutycznym[33].

[32] W. Tyrakowski, *Traperzy nauki – reportaże przyrodnicze*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1974, s. 188–196.

[33] P. Tryjanowski, S. Murawiec, *Ornitologia terapeutyczna – ptaki, zdrowie, psychika*. Lanius, Poznań 2021.

nastolatków" (rozdział 16) oraz książka Marii Wełnic[34]. Niestety zwyczaj robienia zamieszania przez poprawianie sprawił, że pojawił się termin „ptasiarz". Skwitowałem to listem do jednego z naszych czołowych ornitologów, który wtedy pisał książkę[35] o ptasim hobby. Mój list został w niej anonimowo (dlaczego?) zacytowany:

> Ptasiarz – ptasiarstwo (a czasownik – ptaszenie?) ma odcień knajacki, cwaniacki, taki trochę „lewy", slangowy – np. „prywaciarz", „taksiarz". Więc jeśli ma być nowy termin, to już lepszy byłby „ptakarz – ptakarstwo – ptakowanie – ptakować", jako językowy analog do „wędkarz – wędkarstwo – wędkowanie – wędkować" czy „żeglarz – żeglarstwo…". „Ptakarz" wyraźnie różniłby się od „ptasznika" – wymierającego procederu łapania i handlu dzikimi ptakami.

Autor książki uznał „logikę i poprawność" mojej propozycji, ale pozostał przy „ptasiarzu". To wprowadziło termin do literatury i rozpowszechniło go, ale chyba nie przyzwyczaję się do jego nieczysto brzmiącego odcienia.

Po 1957 roku, gdy krajowa społeczność ornitologów – amatorów i profesjonalistów – skonsolidowała się w Sekcji Ornitologicznej Polskiego Towarzystwa Zoologicznego, założyliśmy jej lokalną grupę w Warszawie (Koło Warszawskie PTZool.). Z tamtego grona ponad 20 założycieli pozostaliśmy chyba już tylko dwaj z dr. Eugeniuszem Nowakiem (od lat za granicą), bardzo już wiekowi. To Koło od czasu zawiązania się przed ponad 60 (!) laty działa przy naszym Instytucie. Mietek Józefik, przyjmując mnie do pracy wiosną 1960 roku, „zaproponował" w sposób niedopuszczający odmowy przejęcie od niego prowadzenia Koła. Wszedłem w tę rolę „wybrany" na zebraniu 21 listopada 1960 roku i pełniłem ją, z roczną przerwą, do 1991 roku – więc przez 31 lat (!). Wkrótce stan osobowy Koła osiągnął ponad 100 osób, więc obsługa organizacyjna jego działalności była angażująca. Dawała mi jednak satysfakcję i popularność w warszawskim środowisku ornitologów.

Zebrania Koła odbywały się regularnie co miesiąc w atmosferze klubowej – początkowo nawet była kawa i ciastka z sąsiedniej kawiarni. W tamtych czasach (bez Internetu) zawiadomienia o zebraniach były odbijane na powielaczu kontrolowanym przez „służby" i wysyłane pocztą, co oznaczało adresowanie ponad 100 kopert – robił to ktoś z Koła. Głównym punktem spotkań (podobnie jest obecnie) była zwykle prelekcja, często kogoś zaproszonego spoza Warszawy, i po niej luźna dyskusja oraz aktualne „ptasie" wiadomości z terenu. Zwykle spotkania te przeciągały się do późna, bo w czasach bez Internetu i wobec trudnej dostępności telefonu ludzie mieli potrzebę bezpośredniego kontaktu. Były też wycieczki „na ptaki" i zbiorowe programy badań awifauny Warszawy (rozdział 17). W różnych okresach zebrania odbywały się również poza Instytutem Zoologii, np. na UW, w staromiejskim Domu Kultury Nauczyciela, w British Council, nawet w kawiarni (ówczesna Harenda na Krakowskim Przedmieściu). Jedną z pamiętnych akcji Koła było zorganizowanie i w dużej mierze sfinansowanie ze składek remontu grobu

[34] M. Wełnic, *Zakochani w przyrodzie*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1979, s. 54–60 i 84.
[35] P. Tryjanowski, *Rozum z ptakami odlatuje*. Lanius, Poznań 2018, s. 36.

Z warszawskimi amatorami ornitologii w parku Skaryszewskim, 2006 rok

W Lesie Bielańskim, 2015 rok, fot. Agnieszka Gołębiowska

Władysława Taczanowskiego, najwybitniejszej postaci naszej XIX-wiecznej ornitologii (rozdział 11) na warszawskich Starych Powązkach. Dbałość o ten grób jest obecnie tradycją Koła. Pierwsze lata istnienia warszawskiego klubu ornitologów opisał w swojej książce Witold Tyrakowski[36].

Jedna z wycieczek Koła upamiętniła się w sposób szczególny, nawet w prasie. W niedzielę 15 kwietnia 1973 roku wybraliśmy się w dziewięć osób do Puszczy Kampinoskiej z głównym celem obserwowania żurawi na Łąkach Sierakowskich. Brodząc w podmokłym lesie w tamtej okolicy, usłyszeliśmy strzały (w rezerwacie!) i koło nas przebiegł krwawiący dzik. Za nim gonił pies, którego udało się nam złapać (miał smycz) – nie chcieliśmy, żeby osaczał tego dzika. Wtedy pojawiło się dwóch ludzi, jeden w mundurze leśnika. Widząc grupę obserwującą ich przez lornetki, zatrzymali się i wabili psa, którego trzymaliśmy. Gdy to nie poskutkowało,

[36] W. Tyrakowski, *Traperzy nauki – reportaże przyrodnicze*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1974, s. 188–196.

a my zaczęliśmy zbliżać się do kłusowników, leśnik strzelił w naszym kierunku. Przypadliśmy do ziemi, a on składał się do strzału, gdy próbowaliśmy się podnieść. W tej sytuacji puściliśmy psa, a tamci zaraz się z nim oddalili. Zdarzenie zgłosiliśmy lokalnej milicji, ale ta przez dłuższy czas nie podejmowała efektywnych działań. Zadzwoniłem więc do Maćka Iłowieckiego (pseudonim dziennikarski) w redakcji tygodnika „Polityka" – znałem go ze studiów jako Tadzia K. On zainteresował tematem Hannę Krall, która też wtedy była w „Polityce", a wcześniej podobnie jak ja uczęszczała do otwockiego liceum (rozdział 7). Wkrótce ukazał się jej obszerny reportaż[37] i sprawa ruszyła. Na rozpoznaniu wskazaliśmy strzelającego do nas pracownika Parku Narodowego. Wcześniej kłusownicy pozbyli się psa – został znaleziony martwy przy szosie jako „zabity przez pojazd". W znakomitym reportażu Hanny Krall był jej domysł o zapotrzebowaniu na dzika w związku z planowaną przez dyrekcję Kampinoskiego Parku Narodowego konferencją: „Bo byłaby naprawdę głupia sytuacja, gdyby uczestnicy ważnej narady mieli konsumować dzika skłusowanego przez dyrekcję Narodowego Parku". A artykuł kończył się tak: „Proszę pani – wykrzyknął na to doktor Luniak z oburzeniem. – Ale do nas strzelali w ŚCISŁYM REZERWACIE!".

W ciągu 31 lat, kiedy prowadziłem Koło, przewinęło się przez nie ponad 150 osób. Była to platforma spotkań i przyjaźni ornitologicznych ludzi z różnych środowisk, niekiedy tak odległych jak dwaj znani w środowisku warszawskim księża (Tomasz Bojasiński i Tadeusz Fedorowicz) i trzej wysocy rangą oficerowie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (przychodzili w mundurach). Ich staraniem dostaliśmy z remanentu magazynów MSW aparaty fotograficzne. Niestety w większości były to miniaturowe kamery „szpiegowskie" – bezużyteczne dla nas. Poza kilkoma profesjonalnymi ornitologami na zebraniach była zawsze grupa młodzieży akademickiej i nawet uczniowie, leśnicy z warszawskich instytucji, dziennikarze, lekarze. Spotykały się tu osoby o różnych zawodach, wieku, pozycji socjalnej, także zaawansowaniu i ukierunkowaniu wiedzy ornitologicznej. Mimo to sprawy polityczne czy światopoglądowe nigdy nie były poruszane.

Obecnie Koło Warszawskie, nadal afiliowane przy Instytucie, weszło w szóstą dekadę swojej działalności. W tym czasie powstały w Warszawie cztery inne stowarzyszenia łączące amatorów ptasiego hobby, a poza nimi jest jeszcze pewnie ponad setka (?) innych osób aktywnych ornitologicznie. Poziom wiedzy ornitologicznej ptakolubów, szczególnie umiejętności rozpoznawania gatunków w terenie, jest teraz znacznie wyższy niż za „moich" czasów. Mają do dyspozycji znakomity sprzęt optyczny, bogaty wybór podręczników, a przede wszystkim wzajemną łączność telefoniczną i internetową oraz są dużo bardziej mobilni (motoryzacja). Przez pół wieku nastąpił w kraju (także w Warszawie) wielki wzrost popularności i jakości amatorskiej ornitologii. Zauważam przy tym przesunięcie sfery zainteresowań u uprawiających ptasie hobby. Dawniej dość powszechne było dążenie do poznania składu awifauny jakiegoś, często „swojego" terenu/okolicy oraz jej ochrony, podczas gdy obecnie (na wzór amerykański?) większą popularność ma „polowanie" na gatunki rzadkie lub nowe na czyjejś życiowej czy rocznej liście. Wolę w amatorskiej ornitologii dawną przyjemność „patrzenia na ptaki" i faunistyczne czy ochroniarskie zainteresowanie nimi niż rozpowszechniające się obecnie „kolekcjonerstwo" gatunków.

[37] H. Krall, *Puszcza*, „Polityka" 1973, nr 21(847), s. 3.

Uczestnicy Koła Warszawskiego, których szczególnie zapamiętałem

Adolf Bernhardt – właściciel kultowego wówczas (dziś nieistniejącego) sklepu zoologicznego Egzotyka na Nowym Świecie, w czasach wczesnej PRL chyba jedynego prywatnego na tej reprezentacyjnej ulicy. Ten starszy pan bywał sponsorem działalności Koła, gościł nas również w swojej posiadłości pod Warszawą, gdzie miał fermę stanowiącą zaplecze hodowlane sklepu, z „dodatkową" działalnością handlową i preparatorską. Tytułowaliśmy go „profesorem", co chętnie przyjmował jako należne mu uhonorowanie, chociaż zapewne nie miał wysokiego wykształcenia. Był jedyną znaną mi wtedy osobą wożoną przez prywatnego kierowcę – wyjątkowy fenomen w tamtych czasach.

Ks. Tadeusz Fedorowicz – duszpasterz w ośrodku dla ociemniałych w Laskach, osoba o surowym wyglądzie, pryncypialnych wypowiedziach i bogatym wojennym życiorysie. Przyłączył się wtedy dobrowolnie (!) do Polaków z Kresów wywożonych na Syberię przez sowieckiego okupanta. Później był w armii Andersa, ale wrócił do sybiraków i przeszedł szlak bojowy „ludowego" Wojska Polskiego. Kiedyś w „Życiu Warszawy" (wówczas główny stołeczny dziennik) ukazał się nekrolog księdza o tym nazwisku sygnowany przez ośrodek w Laskach. Wobec tego, otwierając zebranie Koła, zakomunikowałem tę smutną wiadomość i uczciliśmy pamięć zmarłego. Na następnym zebraniu ks. Fedorowicz zjawił się, wywołując zrozumiałe wrażenie. Okazało się, że w Laskach był także jego brat o tym samym nazwisku, również ksiądz, i to jego właśnie dotyczył nekrolog.

Jerzy Desselberger (1931–2013) – artysta grafik animalista, autor wyróżniających się poziomem merytorycznym znaczków pocztowych z ptakami, również innych ilustracji animalistycznych, współautor książek. Był w naszym warszawskim środowisku najlepszym znawcą cech rozpoznawczych w wyglądzie różnych gatunków ptaków. Z żoną Krystyną Rogaczewską (też plastyczką) przez wiele lat prowadzili w swoim niewielkim blokowym mieszkaniu azyl dla ptaków. Skutecznie leczyli tam i wychowywali „rozbitków" przynoszonych z całej Warszawy lub pozwalali im dożyć „swoich dni". Przez ten domowy azyl przeszło prawie 1400 ptaków z 93 gatunków, z czego 724 pomyślnie wróciły na wolność[38]. Wśród nich były liczne jerzyki, których wychowywanie (piskląt i podlotów) i leczenie jest niezwykle trudne. Dla mnie Jurek i Krystyna są niezapomnianym przykładem osobistego poświęcenia dla ptaków.

Jerzy Gotzman (1929–2004) – inżynier leśnik pracujący w ówczesnym Ministerstwie Leśnictwa, współzałożyciel Koła. Jeden z najbardziej zaawansowanych w wiedzy ornitologicznej warszawskich amatorów – autor/współautor

[38] A. Kruszewicz, *Rozmowa z Mistrzem*, „Ptaki Polski" 2010, nr 3, s. 26–28.

trzech książek i licznych artykułów. Jego głównym zainteresowaniem ornitologicznym było kolekcjonowanie ptasich jaj, dopóki pozwalało na to prawo ochrony przyrody. Zgromadził jeden z najbogatszych w kraju zbiorów oologicznych (jaj ptasich), później przekazany Uniwersytetowi Wrocławskiemu.

Stanisław Wójcik – techniczny pracownik łączności (poczty?), do ornitologicznego hobby trafił w szczególny sposób. Wcześniej interesował się astronomią i przez amatorską lunetę obserwował niebo ze swojego okna (balkonu?) skierowanego na budynek ówczesnego Komitetu Centralnego PZPR. To spowodowało wizytę funkcjonariuszy „służb" zaniepokojonych lunetą patrzącą (jak sądzili) na siedzibę najważniejszej instytucji PRL. Podejrzana luneta została zarekwirowana do depozytu (wiecznego), a panu Stanisławowi poradzono, żeby zmienił obiekt swoich obserwacji. Kupił lornetkę i zainteresował się ptakami z takim zapałem, że stał się jednym z bardziej aktywnych uczestników badań and awifauną Warszawy (rozdział 17).

Wacław Kalbarczyk – dyrektor administracyjny warszawskiej Wyższej Szkoły Teatralnej, jeden z kilkunastu założycieli Koła. Jego samochód służbowy służył nam w badaniach awifauny Warszawy, co było tym bardziej przydatne, że wówczas nikt z nas nie dysponował takim środkiem lokomocji. Był jednym z inicjatorów i koordynatorów tych badań (rozdział 17).

Wiesław Nowicki i Paweł Kozłowski – jedyni obecnie (2021 rok) żyjący spośród tu wymienionych. Wiesiek na zebrania Koła zaczął przychodzić jako uczeń podstawówki pod opieką taty lub dziadka, a Paweł jako licealista. Wtedy zaczęła się nasza trwająca do dziś przyjaźń ornitologiczna – obaj później byli moimi magistrantami (rozdział 25/11) i bliskimi współpracownikami w Instytucie, a Wiesiek zrobił u mnie doktorat. Po 31 latach prowadzenia Koła Warszawskiego Polskiego Towarzystwa Zoologicznego przekazałem mu w 1991 roku tę funkcję.

W parku Natolińskim, 2018 rok, fot. Joanna Radziejewska

Rozdział 16

KLUB PTAKOLUBÓW

W czasach PRL wychodził „Świat Młodych. Harcerska gazeta nastolatków" – czasopismo oczywiście upolitycznione, ale żywo redagowane i popularne wśród młodzieży. W 1975 roku w wywiadzie z red. Marią Wróblewską namawiałem czytelników tego pisma do obserwacji ptaków podczas zbliżających się wakacji. Redakcja zrobiła z tego pomysłu akcję – czytelnicy przysyłali (w tamtych czasach tylko pocztą) listy z opisami swoich spotkań z ptakami i zdjęcia, a ja konsultowałem to pod względem ornitologicznym. Odzew był tak żywy i często świadczący o głębszych zainteresowaniach, że po wakacjach zdecydowano się kontynuować temat w formie stałej, cotygodniowej rubryki. Mając na uwadze zaangażowanie czytelników, zaproponowałem, żeby to był nie tylko kącik z artykułami, ale też platforma łączności z młodymi ornitologami i między nimi – teraz tę rolę spełnia Internet. W ten sposób od jesieni 1975 roku przez kilkanaście lat (do ok. 1991 roku) w czwartkowych wydaniach „Świata Młodych" funkcjonował Klub Ptakolubów z artykułami, listami od czytelników i z różnymi akcjami. Sympatyczną nazwę „ptakoluby" podsunęła nam opublikowana wtedy (1974 rok) książka Witolda Tyrakowskiego[39], bo w polskim słownictwie nie było prostego terminu dla ornitologicznego hobby (rozdział 15).

Rubrykę początkowo prowadziła red. Maria Wróblewska, ona też pod pseudonimem literackim Maria Wełnic napisała o Klubie w swojej książce[40]. Później (od 1977 roku?) na miejsce pani Marii przyszedł kompetentny ornitologicznie Tomek Kłosowski – dziś znany fotografik i autor albumowych książek przyrodniczych. Logo Klubu z firmowym ptakiem – zimorodkiem zaprojektował Jerzy Desselberger, wybitny grafik animalista (rozdział 15). Ja byłem ornitologicznym opiekunem współprowadzącym Klub. Pamiętam sympatyczną i sprzyjającą tej inicjatywie atmosferę w redakcji „Świata Młodych", niektóre nawiązane tam przyjaźnie zachowałem przez lata, m.in. z Jurkiem Dąbrowskim, szefem działu popularnonaukowego, w którym ukazywała się nasza rubryka.

W pierwszych latach współprowadzenie Klubu Ptakolubów było dla mnie znacznym zaangażowaniem, odciągającym od pracy zawodowej. Pisałem artykuły, czytałem licznie napływające listy i na niektóre odpowiadałem w gazecie, a nawet bezpośrednio ich autorom. Wszystko to w cotygodniowym rytmie czwartkowych wydań. W tym okresie (1975–1977) ukazało się 59 moich artykułów i notatek. Później przejął to Tomek Kłosowski.

[39] W. Tyrakowski, *Traperzy nauki – reportaże przyrodnicze*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1974, s. 188–196.
[40] M. Wełnic, *Zakochani w przyrodzie*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1979, s. 54–60 i 84.

Artykuły i publikowana w rubryce Klubu korespondencja musiały uwzględniać odmienny odbiór dwóch głównych grup czytelników. Dla klubowych ptakolubów było to rozszerzenie posiadanej już przez nich wiedzy ornitologicznej, o różnym stopniu zaawansowania. Ale te teksty miały być też zrozumiałe i interesujące dla ogółu czytelników gazety. W dużej mierze pod tym względem kwalifikowaliśmy także listy przeznaczone do publikacji. Chętnie wybieraliśmy te, które opisywały różne przygody z ptakami – pokazywały one atrakcyjność ornitologicznego hobby szerszemu kręgowi czytelników.

Poza publicystyką Klub spełniał również rolę „podręcznikową", bo to były czasy bez książkowych przewodników ornitologicznych (teraz księgarnie są ich pełne). Dlatego w ciągu pierwszych dwóch lat zamieściłem dwa roczne cykle comiesięcznych artykułów składających się na ornitologiczny „elementarz", który nazwałem Kalendarzem Ptakoluba. W pierwszym roku comiesięczne kartki Kalendarza prezentowały wybrane „ptaki miesiąca" oraz wskazówki, jak je rozpoznać i obserwować w terenie. Zawierały też rady, jak pomagać ptakom oraz propozycje aktualnych zadań dla członków Klubu do wykonania w danym

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW
NR 121 7 PAŹDZIERNIKA 1976 R. CENA 1.50 ZŁ

KALENDARZ PTAKOLUBA

Redaguje dr Maciej Luniak

PAŹDZIERNIK

Ptaków jest coraz mniej – do połowy października odpływa już główna fala skrzydlatych wędrowców. Ale trzy-cztery liście gałęzie drzew i krzewów coraz łatwiej zdradzają nam obecność tych ptaków, które nie odleciały, a także pozostałe z okresu lęgowego gniazda. W opustoszałym lesie łatwiej wpadają w ucho dźwięczne nawoływania koczujących stadek sikor, skrzekliwy wrzask sójki lub orzechówki. Wśród poszarzałych pól, pełniej lśni barwne upierzenie kogutów bażanta, a na tle pożółkłych zarośli nadwodnych lepiej wyróżnia się szafirowa kulka przemykającej nad tonią zylwetki zimorodka. Dzisiejsza kartka „Ptaków Miesiąca" ułatwi Wam rozpoznanie tych ptaków.

Warto słuchać w pogodne wygwieżdżone październikowe wieczory głosów odbywających wędrówkę drozdów. Przelatując w ciemnościach odzywają się co chwila cichym przenikliwym „tsi". Przy okazji można też usłyszeć głosy ciągnących stad gęsi i innych nocnych wędrowców. Warto też, gdy opadną liście, poszukać opuszczonych ptasich gniazd. Można się w ten sposób dowiedzieć, które drzewa i krzaki były przez ptaki chętniej zasiedlane, gdzie należy spodziewać się gniazd na przyszłą wiosnę. Wszystkie małe gniazda można zatrzeć – ptakom nie będą już potrzebne.

Pomagajmy ptakom. Dużych gniazd (np. ptaków krukowatych, drapieżnych, bocianów) nie należy jesienią niszczyć, bo wiosną te lub inne gatunki mogą je wykorzystać jako podstawę do budowy swojego gniazda. Niektóre gatunki – np. sowy – nie budują wcale gniazd, lecz zajmują stare gniazda wron lub innych ptaków. Można pomóc w zagnieżdżeniu się dużych ptaków, szczególnie drapieżnych, umieszczając w koronach wysokich drzew dna od koszy, płaskie skrzynki po owocach lub złączonych drutem albo gwoździami gałęzie. Jeśli ktoś chciałby zainstalować podstawę dla gniazda bociana to powinna ona mieć 120 – 150 cm średnicy i należy ją umieszczać nie niżej niż na wysokości 8 m. Oczywiście musi być ona mocna i silnie osadzona, żeby wytrzymała duży ciężar. **Zadania:** – Obserwujcie jesienne przeloty ptaków. – Zobaczcie na jakich gatunkach drzew i krzewów ptaki miały najczęściej gniazda w Waszej okolicy.

Kartka z Kalendarza Ptakoluba

miesiącu. Drugi roczny (od jesieni do jesieni) cykl Kalendarza był ukierunkowany na praktyczne wiadomości i zadania związane z ochroną ptaków w zakresie lokalnych możliwości młodzieży szkolnej. Do dziś żałuję, że tego Kalendarza nie opublikowałem później w formie książki, bo wówczas bardzo brakowało takiego ornitologicznego elementarza. To by też zapewne rozpowszechniło zgrabną nazwę „ptakoluby" dla amatorskiej ornitologii.

Czytelnicy ptakoluby notowali daty wiosennych przylotów określonych gatunków, robili i instalowali skrzynki lęgowe, obserwowali, czy i jakie ptaki je zajęły. Te wiadomości były ogłaszane w czwartkowym kąciku Klubu, który (w czasach bez Internetu) stanowił platformę kontaktów między uczestnikami. Na ich życzenie zamieszczaliśmy adresy chcących korespondować między sobą – dziś nie pozwoliłyby na to przepisy RODO. W ten sposób zawiązywały się lokalne grupy. Pamiętam ich ożywioną aktywność w Białymstoku, Stargardzie Gdańskim i przy Domu Dziecka na warszawskiej Białołęce Dworskiej. Z tą ostatnią grupą miałem bezpośredni kontakt w latach 1980 i 1981. Powiesili własnoręcznie zrobione skrzynki wzdłuż ciągu, który w planowanym tu osiedlu mieszkaniowym miał być ul. Ptakolubów (rozdział 15).

Stałą formą działalności Klubu były konkursy fotograficzne, którym patronował dr Marek Ostrowski, ówczesny przewodniczący sekcji fotografii przyrodniczej Stowarzyszenia Polskich Artystów Fotografików. Aktywni członkowie Klubu otrzymywali odznaki (tzw. pinsy) z logo – zimorodkiem. Formą wyróżnienia był też zorganizowany przez redakcję wyjazd w 1976 roku grupy ptakolubów do Krakowa, gdzie uczestniczyli w regionalnym zjeździe ornitologicznym. Towarzyszyłem tej grupie i pamiętam reakcję (zdziwienie, ale i owację) uczestników tego zebrania wobec młodych ptakolubów wkraczających na salę obrad.

Klub Ptakolubów w „Świecie Młodych" przestał istnieć w 1991 roku, a niedługo potem – sama gazeta. Niedawno z Tomkiem Kłosowskim, który przez wiele lat prowadził Klub, oceniliśmy, że w ciągu około 15 lat w jego czwartkowych

Znaczek Klubu Ptakolubów

rubrykach ukazało się co najmniej pół tysiąca artykułów, notatek i obszerniejszych listów sygnowanych logo z zimorodkiem. W działalności Klubu uczestniczyło kilka setek młodych czytelników, a z pewnością o wiele więcej dowiedziało się czegoś o ptakach i uświadomiło sobie, że one są wokół nas. To „ornitologiczne przedszkole" miało bezprecedensowy zasięg i do dziś przy różnych okazjach spotykam osoby, które w nim wyrastały. Są takie również u nas w Instytucie – dr Wiesław Nowicki, zaczynający w Klubie jako uczeń szkoły podstawowej, później był przez lata moim bliskim współpracownikiem i doktorantem (rozdział 15). A w „Świecie Młodych" z 18 marca 1976 roku witałem w kąciku Klubu jako zaawansowanego ptakoluba z imponującą listą 160 obserwowanych gatunków ptaków ucznia z Kórnika Przemka Chylareckiego. Teraz jest profesorem w naszym Instytucie.

Prof. Piotr Tryjanowski, jeden z naszych czołowych ornitologów, napisał mi w liście:

> Wiele osób z moich, jak i nieco starszych roczników, wspomina Klub Ptakolubów jako doświadczenie pokoleniowe. […] Chodziłem do biblioteki specjalnie, żeby czytać czwartkowy „Świat Młodych". Niestety czasami poprzedni czytelnicy wycinali sobie ptasią rubrykę i zastawałem tylko ślad po nożyczkach. Więc po takich doświadczeniach starałem się być „pierwszy" i wtedy przepisywałem (a nie wycinałem!) niektóre fragmenty artykułów lub listów. Przez Klub Ptakolubów poznałem wielu ludzi z kręgu ornitologów, m.in. moich późniejszych towarzyszy wypraw i współpracowników.

Prof. Tryjanowski do cytowanego listu dołączył też relację pana Patryka Rybki, „wychowanka" Klubu:

> Krogulec w pogoni za wróblem wpadł do kabiny ciągnika. Opisałem to w liście do Klubu Ptakolubów i bardzo liczyłem, że ukaże się w klubowej rubryce. Mieszkałem wtedy w Gądkowicach, dokąd „Świat Młodych" nie docierał. W czwartek pognałem więc rowerem 20 km do Milicza, gdzie był najbliższy kiosk z prasą. Tam usłyszałem, że gazeta już została wyprzedana. Najbliższy „Ruch" był w Sulmierzycach – kolejne 23 km jazdy rowerem. Tam wreszcie zdobyłem ten „Świat Młodych", a w nim mój list z nominacją na „ptakoluba". Do domu wracałem rowerem te ponad 40 km „na skrzydłach". Klub Ptakolubów był wtedy dla mnie oknem na świat ornitologii.

Klub Ptakolubów, moja dziennikarska przygoda, był (i pozostaje do dziś!) w naszych mass mediach ewenementem bez precedensu – zarówno co do charakteru, jak i szerokiego kręgu uczestników.

Rozdział 17

PTAKI WARSZAWY

W pierwszych latach mojego ornitologicznego zainteresowania i nawet jeszcze po przyjściu do Instytutu Zoologii nie zwracałem szczególnej uwagi na ptaki, które spotykałem w mieście (Warszawie) – na ulicach, wśród zabudowy czy w parkach. Zajmowałem się awifauną „w przyrodzie", wtedy szczególnie Wisły – w ramach moich badań (rozdział 14). Nie byłem wyjątkiem, bo awifauna miast do niedawna nie budziła zainteresowania ogółu ornitologów, również warszawskich.

Przypływ zainteresowania miejską awifauną nastąpił dopiero od lat pięćdziesiątych XX wieku zapoczątkowany wydaniem w 1949 roku monografii ptaków Londynu[41]. Także u nas ukazały się wtedy opracowania ptaków Wrocławia (w 1955 roku), Krakowa i Poznania (1957 rok), Łodzi (1962 rok) i Torunia (1963

Dawniej ornitolodzy nie interesowali się awifauną miasta

W Warszawie celem ich wypraw w XIX wieku i jeszcze w okresie międzywojennym był najczęściej podmiejski wówczas Las Bielański (rozdział 13). I bardziej chodziło tu nie o obserwacje ptaków, a o zdobywanie okazów dla kolekcji muzealnych. Jednak największe zainteresowanie budziła wtedy mało wówczas znana awifauna krajów egzotycznych. A ptakami „za oknem" nie zajmowano się też pewnie dlatego, że dawne miasta ze skąpą zielenią i gęstą zabudową miały ubogą awifaunę. Stosunek ludzi do ptaków w otoczeniu także był wtedy na ogół nieprzyjazny – wróblom i gołębiom miejskim miano za złe, że wyjadały karmę koni i drobiu oraz „brudziły", kawkom – że zatykały kominy, ptakom „drapieżnym" – że polowały na gołębie, wtedy hodowane powszechnie.

O ptakach dawnej Warszawy mamy więc niewiele wiadomości, jeszcze nawet z okresu pierwszych lat powojennych. Jednak jako ciekawostkę trzeba tu odnotować, że w latach 1926–1927 uczniowie z Kółka Przyjaciół Ptaków przy warszawskim Gimnazjum im. Jana Zamoyskiego przeprowadzili zespołowe obserwacje awifauny w różnych częściach miasta. Stwierdzili oni występowanie „w zimie 32 gatunków ptaków, zaś w lecie przeszło 60" – czyli sporo jak na możliwości gimnazjalistów, zapewne mało obeznanych z ornitologią. Wyniki ich obserwacji, przedstawione na planie miasta, znamy z publikacji nauczyciela, opiekuna Kółka[42]. Nie mają one wprawdzie rangi naukowej, ale młodocianym ornitologom trzeba oddać honor: to był precedens zespołowych obserwacji ptaków Warszawy, który o prawie 40 lat wyprzedził badania naukowe w tej dziedzinie.

[41] R.S.R. Fitter, *London's birds*, London 1949.

[42] L. Rewieński, *Szkoła wobec zagadnienia ochrony ptaków w mieście i osiedlach*, „Czasopismo Przyrodnicze" 1930, nr 4, s. 14–24.

rok). Również w Warszawie, gdy środowisko ornitologiczne zorganizowało się w 1959 roku w Kole Warszawskim (rozdział 15), powstał kilkuosobowy zespół, który miał stworzyć opis awifauny miasta. Do tego grona dołączyłem „z urzędu" w 1961 roku jako przewodniczący Koła, początkowo bez szczególnego przekonania. Gdy jednak to opracowanie nie posuwało się, uznałem, że powinienem się w nie zaangażować. Żeby bliżej poznać obcą mi dotąd tematykę miejskiej ornitologii, sięgnąłem po wspomnianą książkę Fittera o ptakach Londynu. Ta lektura zaskoczyła mnie obrazem bogatej awifauny miasta i jej specyficznych zwyczajów. Z niej też uczyłem się angielskiego – dotąd korzystałem z zagranicznej literatury ornitologicznej głównie po rosyjsku (rozdział 8) i niemiecku. I wtedy już z przekonaniem przejąłem koordynację opracowania awifauny Warszawy, a przy ptakach jako części przyrody miasta pozostałem odtąd „na zawsze".

Nasz ówczesny zamysł polegał głównie na zebraniu od członków Koła wiadomości o ptakach spotykanych przez nich w Warszawie, ewentualnie uzupełnianych na bieżąco (tzn. w ciągu lat 1960–1962) w terenie. Nie była to więc w pełni inwentaryzacja terenowa, a w dużej mierze zebranie i podsumowanie rozproszonej wiedzy różnych obserwatorów. Około 50 osób przekazało posiadane wiadomości trzyosobowemu zespołowi redagującemu, w którym tylko ja byłem profesjonalnym ornitologiem – koordynatorem i głównym autorem opracowania. Współautorami byli Wacław Kalbarczyk, dyrektor w warszawskiej Wyższej Szkole Teatralnej (rozdział 15), i dr Wiktor Pawłowski, pracownik naukowy na Wydziale Chemii UW. Liczne wywiady-rozmowy, które wtedy przeprowadziłem z przekazującymi materiały do naszego opracowania, bardzo wzbogaciły moją wiedzę o awifaunie Warszawy i często zbliżyły personalnie z rozmówcami. Korzystaliśmy ponadto z informacji od wielu osób postronnych. Pamiętam wywiad „przez firankę" w klasztorze sióstr wizytek przy Krakowskim Przedmieściu, gdzie chciałem dowiedzieć się, czy niedostępny dla publiczności ogród klasztorny był wówczas miejscem lęgowym puszczyka. Z tych relacji i otrzymanych materiałów oraz z własnych obserwacji w terenie zaczął rysować się dla mnie świat ptaków Warszawy, którego dotychczas nie dostrzegałem.

Nasza monografia *Ptaki Warszawy*[43], która ukazała się 1964 roku, była pierwszym naukowym opisem awifauny stolicy, najobszerniejszym z ówczesnych takich opracowań krajowych miast i jedynym opartym na materiałach uzyskanych od tak licznych (około 50) uczestników. Wykazaliśmy regularne występowanie w mieście, we wszystkich jego środowiskach, około 130 gatunków ptaków, z tego około 100 lęgowych, to znaczy zakładających tu gniazda i wyprowadzających w nich potomstwo. Został opisany charakter występowania tych gatunków, w jakiej porze roku, z jakimi środowiskami są związane. Z naszych badań wynikało, że w porównaniu do innych miast w kraju awifauna Warszawy była stosunkowo bogata, do czego przyczyniła się obecność dużej rzeki stanowiącej szlak wędrówek, rozległe kompleksy parków leśnych w dzielnicach peryferyjnych oraz zachowane w mieście (wówczas!) znaczne obszary terenów rolniczych. Produktem ubocznym tych badań była seria moich 11 artykułów o ptakach Warszawy zamieszczona w latach 1967–1973 w czasopiśmie „Stolica" oraz ilustrowana książka[44].

W *Ptakach Warszawy* zastosowaliśmy z powodzeniem sposób uzyskania materiału od społecznych uczestników, nazywany obecnie *citizen science* (nauka obywatelska). W przyszłości kilkakrotnie korzystałem z takiego wsparcia w warszawskim środowisku ornitologów-amatorów, a niekiedy – w jeszcze szerszym kręgu. Tak było w badaniach (1965–1967) nad postępującym wtedy osiedlaniem się w Warszawie kosa, wcześniej niewystępującego w mieście. Jest on ptakiem łatwym do rozpoznania i obserwacji, więc niezależnie od współudziału w badaniach kilkunastu ornitologów-amatorów, zamieściłem w dwóch poczytnych stołecznych dziennikach apel do czytelników, prosząc o wiadomości o kosie. Odzew przerósł moje oczekiwania – prawie 300 z otrzymanych doniesień nadawało się do wykorzystania. Respondenci dostrzegli pojawienie się w Warszawie nowego ptaka, byli nim zainteresowani, w niektórych przypadkach specjalnie dokarmiali go zimą (ktoś nawet rodzynkami). Wyniki tego prasowego apelu przekonały mnie, że mieszkańcy miasta interesują się ptakami. Muszę jednak też przyznać, że kilka lat później, gdy podobnym apelem prasowym chcieliśmy z Piotrem Jabłońskim (wówczas studentem, dziś profesorem w naszym w Instytucie) uzyskać wiadomości o występowaniu sów w Warszawie, odzew był mizerny i znaczna część doniesień okazała się nieprzydatna. Pewnie dlatego, że sowy to obiekt mało rozpoznawalny dla szerszej publiczności.

Tą metodą zapoczątkowałem też w 1965 roku zespołowe liczenia ptaków wodnych zimujących w Warszawie. Akcja ta jest kontynuowana do dziś, od dawna bez mojego udziału, jako część programu ogólnokrajowego i szerzej europejskiego. Na przykład podczas liczenia w weekend 15–19 stycznia 2021 roku na warszawskiej Wiśle i na ponad 100 innych miejskich wodach 20 obserwatorów zanotowało obecność ogółem około 14 tys. ptaków wodnych, głównie kaczek krzyżówek (prawie 9 tys.), 3 lub 4 gatunki mew (prawie 2 tys.), traczy, łabędzi, łysek i in.

Monografia *Ptaki Warszawy* tak mnie wciągnęła w tematykę badań warszawskiej awifauny, że zostałem przy niej przez następne pół wieku. Zrobiłem m.in. inwentaryzacje ornitologiczne różnych typów środowisk miejskich: jakie ptaki wiosną odbywają w nich lęgi, jakie spędzają tu okres jesienno-zimowy, jak są liczne, od czego zależy ich obecność (np. od wielkości terenu, jego szaty roślinnej, sposobu użytkowania). W ten sposób opisałem skład awifauny ponad 30 terenów parkowych o różnym charakterze (1972–1976), także badanych zespołowo parków Łazienki Królewskie (1972–1984) i Skaryszewskiego (2004–2006), 12 miejskich ogrodów działkowych (1971–1976), 10 terenów osiedli mieszkaniowych (1982–1985), peryferyjnych parków leśnych – trzykrotnie Lasu Bielańskiego (1965–1975). Uczestniczyłem

[43] M. Luniak, W. Kalbarczyk, W. Pawłowski, *Ptaki Warszawy*, „Acta Ornithologica" 1964, nr 8, s. 175–285.

[44] M. Luniak, W. Pawłowski, *O ptakach Warszawy*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1974.

też w zespołach badających tereny leśne parku Młocińskiego (2002) i Zakola Wawerskiego (2007). Poza tym w większym zespole wykonaliśmy (1981–1990) inwentaryzację ornitologiczną wszystkich pięciu ówczesnych rezerwatów przyrody w Warszawie oraz dziesięciu terenów planowanych do objęcia ochroną rezerwatową[45]. Dzięki temu Warszawa była wówczas wśród miast w kraju najlepiej zbadana pod względem ornitologicznym.

W ciągu trzech dekad, jakie minęły od ukazania się *Ptaków Warszawy* w 1964 roku, stan awifauny miasta został dobrze poznany z inwentaryzacji dokonanych na około 80 terenach reprezentujących różne środowiska. Od tamtego czasu zachodziły w nim zmiany powodowane zarówno lokalnymi „warszawskimi" czynnikami, jak i bardziej ogólnymi trendami ptasich populacji w Europie. Sytuacja dojrzewała więc do tego, żeby stworzyć nowy, aktualny i znacznie dokładniejszy opis obecności ptaków w Warszawie. W tym okresie (lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte XX wieku) wielkoobszarowe inwentaryzacje przyrodnicze, także ornitologiczne, zaczęto przedstawiać w formie atlasów z mapami rozmieszczenia poszczególnych gatunków na danym obszarze. Inspiracją dla mnie, żeby zrobić coś takiego dla Warszawy, było ukazanie się pierwszych miejskich atlasów ornitologicznych – Londynu, ówczesnego Berlina Zachodniego i Florencji.

Taki atlas dla Warszawy był zamierzeniem na znacznie większą skalę niż którakolwiek z moich dotychczasowych prac naukowych. Należało cały obszar

Ptaki „wprowadzają się" do nowych siedlisk

Awifauna Warszawy, jak każdego miasta, kształtuje się przez zasiedlanie środowisk miejskich, tworzonych całkowicie od nowa na miejscu dotychczasowych terenów niezurbanizowanych. W moich badaniach szczególnie interesowało mnie między innymi, jak ptaki „wprowadzają się" do tych nowych siedlisk. Na przykład w przypadku osiedli mieszkaniowych stadium wyjściowe (teren budowy) było prawie pozbawione awifauny lęgowej. Po 2–5 latach od wprowadzenia się mieszkańców gniazdowało tam już około 10 gatunków ptaków, a „docelowy" skład awifauny – około 18 gatunków lęgowych kształtował się dopiero w osiedlach ponad 20-letnich[46]. Podobny był okres wykształcania się pełnego składu awifauny nowych ogrodów działkowych. Natomiast w parkach czas osiedlania się ptaków trwał ponad 80 lat – co najmniej tyle potrzeba, żeby drzewa osiągnęły wiek odpowiedniej wartości ekologicznej. W parkach kilku-, kilkunastoletnich gniazduje nie więcej niż 10 gatunków ptaków, a w starych – często ponad 20.

[45] M. Luniak, D. Jędraszko-Dąbrowska, P. Kozłowski, W. Nowicki, *Stan awifauny rezerwatów przyrody w Warszawie oraz wskazania dla jej kształtowania* [w:] *Wykorzystanie układów ekologicznych w systemie zieleni miejskiej*, red. H. Zimny, Wydawnictwo SGGW-AR, 1990, nr 64, s. 127–149.

[46] M. Luniak, *Ptaki – składnik przyrody osiedli mieszkaniowych w Warszawie* [w:] *Ekologiczne podstawy kształtowania miejskich zespołów mieszkaniowych*, red. H. Skibniewska, Wydawnictwo SGGW-AR, 1990, nr 63, s. 89–94.

Odznaka uczestnika badań

miasta (wówczas 494 km^2) podzielić na pola atlasowe odpowiadające mozaice środowisk i strukturze urbanistycznej (wyznaczyliśmy 259 takich pól). W każdym z nich miała być dokonana inwentaryzacja składu awifauny z określeniem liczebności populacji poszczególnych gatunków w sezonie lęgowym (wiosna i początek lata), a w sezonie jesienno-zimowym należało zrobić takie badania przynajmniej w części pól. Moimi współpracownikami w tym projekcie było troje ornitologów – mgr Paweł Kozłowski i mgr Wiesław Nowicki z naszego Instytutu oraz dr Danuta Jędraszko-Dąbrowska z UW. Poza tym profesjonalnym zespołem w badaniach terenowych dla atlasu uczestniczyło 62 wolontariuszy, a ponad 30 innych osób dostarczyło materiały o istotnym znaczeniu. Tym razem kierowałem więc projektem o wiele większym, również pod względem udziału uczestników *citizen science* niż przed laty przy opisanej już monografii *Ptaki Warszawy*. Uczestnicy badań dostawali specjalną odznakę zaprojektowaną (społecznie) przez znanego artystę grafika Jerzego Desselbergera (rozdział 15).

Już w fazie przygotowań do naszych badań komplikacją okazały się rygory poufności map, na których zamierzaliśmy wyznaczać atlasowe pola w terenie. Moje zabiegi u strzegących tej tajemnicy instancji wojskowych spotykały się z pełną zgodą, że w czasach zaawansowanego wywiadu satelitarnego ta poufność nie ma sensu. Jednak końcowa odpowiedź w sprawie była zawsze odmowna. Rozwiązało ten problem włączenie naszego opracowania do serii specjalistycznych atlasów Warszawy wydawanej przez Instytut Geografii PAN. Z ramienia tego Instytutu dołączyła do nas dr Joanna Plit, której wkładem były nie tylko mapy atlasu, ale też zdobiące go ryciny ptaków.

W końcowej fazie prac przy atlasie w 1989 roku, gdy zabrakło nam „rąk" (a właściwie „oczu" i „nóg") do badań terenowych, udało się zaprosić do pomocy trzech zagranicznych ornitologów. Byli to Raimondas Idzelis z Wilna i dr Peter Schiemer z Wiednia, których później na sezon zimowy w 1990 roku wymienił Grigorij Tertickij z Moskwy. Ich udział sfinansował zaprzyjaźniony brytyjski sponsor (John G. Kelcey Environmental Consultancy), z którym miałem kontakty w dziedzinie ekologii miasta (rozdział 20). Raimondas („radziecki" Litwin) i Peter (Austriak) kwaterowali razem w wynajętym mieszkaniu, lecz nie władali żadnym

wspólnym językiem. Wkrótce jednak okazało się, że sprawnie porozumiewają się „własnym" narzeczem opartym na uproszczonej angielszczyźnie ze znacznymi wstawkami rosyjskiego i gestykulacji. Przydzieliliśmy im do badań obszar na północnych peryferiach prawobrzeżnej Warszawy (dzielnica Białołęka), gdzie dominowały prywatne posiadłości, ale było tam też duże więzienie i przemysł. Cudzoziemcy włóczący się bez rozeznania ograniczeń wstępu, wypatrujący czegoś lornetką i robiący tajemnicze notatki wzbudzali podejrzenia, mimo zaświadczeń o udziale w naszych badaniach. Ogólnie jednak goście, nie mając innych zajęć w Warszawie ubogiej wówczas w atrakcje, okazali się pracowici i kompetentni, czym wydatnie nam pomogli.

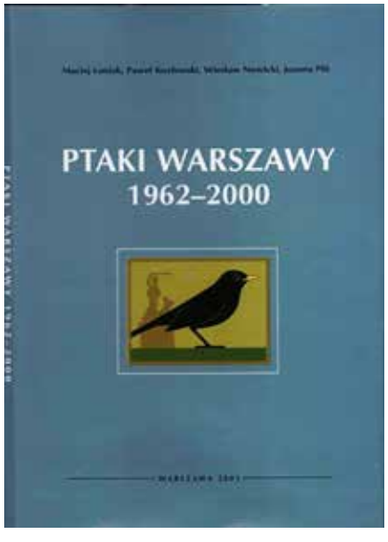

Atlas ornitologiczny Warszawy

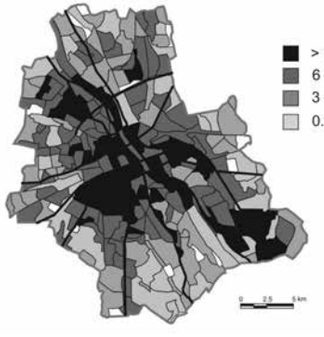

Mapka z atlasu awifauny Warszawy – występowanie lęgowej populacji sroki

Atlas ornitologiczny Warszawy

Nasz atlas wydany w 2001 roku[47] przedstawiał na mapach występowanie w Warszawie poszczególnych gatunków ptaków w okresie lęgowym i zimą. Spośród 247 stwierdzonych gatunków ponad połowa (131) to były ptaki lęgowe – zadomowione „rodzinnie" w różnych środowiskach obszaru administracyjnego Warszawy. Około 75 z nich to ptaki osiadłe, bytujące tu przez cały rok (np. wróble, gołębie miejskie, sroki, wrony). Pozostałe gatunki wśród regularnie występujących w Warszawie to ptaki przylatujące wiosną i odlatujące na zimę (np. jaskółki, jerzyki, pokrzewki) albo pojawiające się tylko w czasie wiosennych i jesiennych wędrówek (np. dziki, brodźce, gęsi) czy też tylko na zimę (np. jemiołuszki, gile, bieliki).

Ptasi świat Warszawy zmienia się więc w różnych porach roku. Ogólną liczebność lęgowych ptasich par w całym mieście (wówczas 494 km^2) oceniliśmy na około 154–352 tys. Każda para to dwa ptaki z ich potomstwem i jest jeszcze pewna liczba osobników nielęgowych. W ciepłej porze roku mamy więc w Warszawie pewnie znacznie ponad pół miliona skrzydlatych współmieszkańców.

Obok naszego „dużego" atlasu awifauny Warszawy ukazał się też oparty na nim bardziej szczegółowy atlas ornitologiczny śródmieścia[48] (praca doktorska Wieśka Nowickiego) obejmujący obszar 52 km^2 w promieniu 3–5 km od Pałacu Kultury. Dzięki obu tym atlasom oraz innym badaniom Warszawa pozostawała wtedy najlepiej poznanym pod względem ornitologicznym miastem w kraju.

W ciągu ponad pół wieku od pierwszej inwentaryzacji w latach sześćdziesiątych XX wieku w awifaunie Warszawy przybyło kilka gatunków lęgowych, które wprawdzie dawniej były tu, ale nie gniazdowały, np. łabędź niemy (chodzi o łabędzie dzikie, a nie parkowe), mewa siwa, tracz nurogęś, a w śródmieściu – kwiczoł, sójka, gołąb grzywacz. Dwa gatunki zostały osiedlone sztucznie (introdukowane): dzięki zabiegom sokolników i ornitologów zagnieździły się (m.in. na Pałacu Kultury) sokoły wędrowne (rozdział 21), a w parku Łazienkowskim prywatny hodowca wypuścił barwne azjatyckie kaczki – mandarynki, które rozmnożyły się i zasiedliły też inne miejskie wody. Kilkanaście gatunków znacznie powiększyło swoje warszawskie populacje lęgowe – szczególnie sroka i wrona, także gołąb grzywacz i pokrzewka kapturka. Na warszawskiej Wiśle pojawiły się czaple białe i – bardzo (zbyt?) licznie – kormorany, a stałym zimowym gościem jest bielik – dawniej rzadkość. Również mewy – głównie śmieszka i siwa – dawniej trzymające się wód, teraz zimą zapuszczają się licznie w głąb miasta. Ale obok tych nabytków awifauny są też znaczne straty. Na przykład przestały w Warszawie gniazdować dwa gatunki sów – płomykówka i pójdźka, także dzierlatka – krewniak skowronka, dawniej pospolita. Z obszarów peryferyjnych zniknęły turkawka, dudek i podróżniczek. Drastycznie zmniejszyła się populacja wróbla, jerzyka i kawki – ptaki te nie znajdują miejsc lęgowych w nowych i ociepłonych budynkach z zakratowanymi otworami do stropodachów (rozdział 20).

Aktualnie warszawskie ptaki są przedmiotem zainteresowania licznych amatorów ornitologii. Wielu z tych obserwatorów-hobbystów reprezentuje wysoki poziom ornitologii terenowej i dysponuje zaawansowanym sprzętem optycznym, fotograficznym oraz do zapisu i przekazu danych. Znaczna część tych obserwacji trafia do krajowego portalu ornitho.pl i do działającej od 2017 roku lokalnej bazy Warszawski Wielki Rok (warszawa.wielkirok.pl). Na przykład w 2020 roku wpłynęły do niej stwierdzenia 217 gatunków, tj. znacznie więcej niż dawniej nam udało się wykazać w profesjonalnych badaniach. Były to m.in. – rzadkie w naszym kraju – gadożer, czapla warzęcha, kaczka lodówka, mewa orlica, rybitwa popielata, dzierzba rudogłowa. Wysoka terenowa aktywność i kwalifikacje tej nieformalnej sieci hobbystów stwarzają znakomity potencjał *citizen science* dla potrzebnego już kolejnego uaktualnienia (po dwóch dekadach) opisu obecności ptaków w Warszawie. Chciałbym doczekać kontynuacji dwóch „moich" monografii warszawskiej awifauny.

[47] M. Luniak, P. Kozłowski, W. Nowicki, J. Plit, *Ptaki Warszawy 1962–2000. Atlas Warszawy*, z. 8, Instytut Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania PAN, Warszawa 2001.

[48] W. Nowicki, *Ptaki śródmieścia Warszawy*, Muzeum i Instytut Zoologii PAN, Warszawa 2001.

Przykład zmian w awifaunie Warszawy – sowa pójdźka (fot. Artur Mikołajewski) znikła z miasta, a mewa śmieszka rozpowszechniła się

Rozdział 18

FAUNA MIASTA

Termin fauna oznacza zwierzęta dzikie, względnie niezależne od stałej pomocy człowieka, a więc nie domowe i hodowane ani bezdomne psy i piwniczne koty. Natomiast wiewiórki czy kaczki w parku, mimo że obficie dokarmiane przez publiczność, są fauną, bo samodzielnie osiedliły się tu i pozostałyby bez pomocy ludzi, chociaż znacznie mniej licznie. Do fauny zaliczamy również zwierzęta dzikie żyjące „przy ludziach", np. myszy domowe, szczury, karaluchy. Ich byt nie zależy od naszej świadomej pomocy, a nawet niektóre z nich staramy się wytępić. Mimo tego ich populacje utrzymują się trwale, co świadczy, że są częścią „samodzielnej" przyrody naszego otoczenia. Główną część fauny danego terenu na ogół tworzą mało zauważalne dla nas, ale różnorodne (setki, a nawet tysiące gatunków!) i niepoliczalne zwierzęta bezkręgowe.

Instytut Zoologii, z którym jestem związany od 1960 roku, miał w całej swojej prawie 200-letniej historii charakter muzealny (rozdział 11). Podstawową dziedziną badań była tu zawsze systematyka zoologiczna – poznawanie ewolucyjnego pokrewieństwa gatunków i ich grup wobec siebie. Stopniowo nabierała też znaczenia faunistyka – opisywanie, jakie gatunki z danej grupy zwierząt występują na jakimś terenie lub jakie jest rozmieszczenie i zmiany występowania danego gatunku na jakimś dużym obszarze. W przypadku ptaków badane były też ich wędrówki, głównie metodą obrączkowania (rozdział 8). W pierwszych latach mojej obecności w Instytucie temat „zoologia ekologiczna" w znaczeniu współzależności populacji zwierzęcych i ich środowiska był źle widziany. Ograniczenie to uwierało mnie ze względu na nastawienie, jakie wyniosłem ze studiów i z praktyk w Instytucie Ekologii PAN (rozdział 9), tym bardziej że w swoich badaniach na Wiśle, które wtedy prowadziłem, uwzględniałem jednak aspekt ekologiczny.

Tym uświęconym tradycją zasiedzeniem tematycznym Instytutu na początku lat siedemdziesiątych XX wieku zachwiało „nowe" – finansowanie nauki w powiązaniu z zastosowaniami gospodarczymi i społecznymi. Spowodowało to, że od 1974 roku placówka włączyła się kilkunastoosobowym zespołem specjalistów do kompleksowego projektu badań nad zielenią miejską koordynowanego przez ówczesny Instytut Kształtowania Środowiska z udziałem kilku uczelni i innych placówek naukowych[49]. Była to w działalności Instytutu podwójna rewolucja: nowość, jaką stanowiła tematyka badawcza tego projektu – ekologiczna i miejska,

[49] *Wpływ zieleni na kształtowanie środowiska miejskiego*, red. H.B. Szczepanowska, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1984.

Badania nad fauną Warszawy

Ta zupełnie nowa dziedzina badań, mimo początkowych kontrowersji, przyjęła się w Instytucie nadspodziewanie trwale. Badania fauny środowisk zurbanizowanych prowadzone w kolejnych programach w ciągu następnych kilkunastu lat (1974–1990) sprawiły, że stał się w tej dziedzinie placówką czołową w skali światowej, a Warszawa miastem najlepiej poznanym pod tym względem. Nasze badania wykazały występowanie w mieście około 4 tys. gatunków zwierząt wielokomórkowych (tzn. bez różnorodnych „mikrobów"). W tej liczbie znaczna większość (około 3,8 tys. gatunków) to były bezkręgowce, których obecności w mieście zupełnie się nie zauważa. Są to m.in. pierścienice (np. dżdżownice), mięczaki (ślimaki), pajęczaki i przede wszystkim owady. Różnorodność tej trudno dostrzegalnej części fauny miasta jest wręcz zaskakująca, np. samych chrząszczy biegaczowatych zanotowano w Warszawie aż 276 gatunków (!), pająków – 254, mrówek – 37. Stwierdzono też około 187 występujących regularnie gatunków ptaków i około 40 gatunków ssaków.

Te 4 tys. stwierdzonych gatunków zwierząt to tylko część rzeczywistej ich liczby w faunie Warszawy, bo szeregu grup zoologicznych w ogóle nie objęto badaniami. Pełna inwentaryzacja świata zwierzęcego jakiegoś większego i złożonego środowiskowo obszaru (np. dużego miasta) nie jest możliwa i nigdzie tego nie dokonano. Jest on bowiem tak różnorodny, że do jego poznania potrzeba bardzo licznych specjalistów i długotrwałych badań. Można jednak przyjąć, że obszar administracyjny Warszawy w różnych jego środowiskach zamieszkuje 5–7 tys. gatunków zwierząt. Mimo tej znacznej liczby gatunków, badania w Warszawie wykazały, że w jej intensywnie zurbanizowanych obszarach fauna jest zubożona pod względem różnorodności w stosunku do środowisk pozamiejskich. W porównaniu z Mazowszem, w mieście stwierdzono zaledwie 15% liczby gatunków bezkręgowców i ⅓ liczby lęgowych gatunków ptaków.

Badania Instytutu nad fauną miasta (Warszawy) wykazały też jej zadziwiającą liczebność. Na przykład w 1 m^2 gleby parkowego trawnika zamieszkuje do 40 tys. niedostrzegalnych „zwierzątek", m.in. nicienie żyjące wolno w glebie i wewnątrz korzeni roślin, mikroskopijne pajęczaki – roztocze (nawet do 20 tys./m^2), milimetrowej wielkości stawonogi – skoczogonki (do 7 tys./m^2), mrówki w ich podziemnych gniazdach, larwy grup owadów. Ten kompleks fauny glebowej, wspólnie z różnorodnymi „mikrobami" i mikrogrzybami (pleśniami), jest wielką przetwórnią rozkładającą organiczne „odpady" przyrody (opadłe liście i gałązki, odchody zwierzęce) na składniki mineralne, które są naturalnym nawozem niezbędnym dla roślin.

Nie tylko w glebie mrowi się tak liczne dzikie życie. W 1 m^3 ulistnionej części korony przykładowej starej parkowej lipy, podczas pełni sezonu wegetacyjnego, stwierdzono średnio 2–3 tys. różnych „zwierzątek", głównie owadów (dorosłych i larw), w większości mszyc[50].

[50] B. Pisarski i in., *Rola fauny na terenach zieleni miast na przykładzie Warszawy* [w:] *Wpływ zieleni na kształtowanie środowiska miejskiego*, red. H.B. Szczepanowska, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1984, s. 203–217.

Kowal bezskrzydły – jeden z bardziej zauważalnych owadów w faunie Warszawy

a do tego naukowcy, którzy wyrośli w indywidualnym stylu pracy, zostali włączeni do zespołowej kooperacji. Natomiast dla mnie stworzyło to możliwość dekonspiracji zainteresowań ekologicznych i zalegalizowania badań nad awifauną miasta, jakie prowadziłem „społecznie" już od kilku lat (rozdział 16).

Uczestnicząc w tych kompleksowych badaniach, widziałem, jak odkrywają one tę niedostrzegalną część fauny miasta. Tworzą ją setki gatunków różnych niepozornych „muszek" i „robaczków" wiodących skryty tryb życia w glebie, w runie, w tkankach roślin czy wśród liści na drzewach, a nawet w strukturach technicznych. Było to moje kolejne miejskie wtajemniczenie, po wcześniejszym podobnym odkryciu, jak bogata jest awifauna miasta (rozdział 17).

Do tych badań Instytutu wniosłem również swój wkład poza specjalnością ornitologiczną. Na marginesie „atlasowej" inwentaryzacji ptaków (rozdział 16) w latach 1986–1990 zebraliśmy z dr. Wiesławem Nowickim dane o obecności ssaków w Warszawie. Wykazaliśmy występowanie na obszarze administracyjnym miasta 41 ich gatunków[51]. Jednak od tamtego czasu do dziś zaszły znaczne zmiany. Praktycznie znikły pospolite dawniej króliki, zające i karczowniki (nadwodne gryzonie), a rozprzestrzeniły się w Warszawie dziki, lisy, sarny i bobry.

Ubocznym wątkiem miejskich badań Instytutu był jego udział (1976–1979) w projekcie osiedla mieszkaniowego w Białołęce Dworskiej – peryferyjnej dzielnicy Warszawy. Prof. Halina Skibniewska (rozdział 13), wówczas czołowa postać warszawskiego środowiska architektów i wicemarszałek Sejmu PRL (bezpartyjna), uzyskała zgodę władz na stworzenie osiedla mieszkaniowego o specjalnym proekologicznym statusie w ramach projektu rządowego „Kompleksowy rozwój budownictwa mieszkaniowego". Białołęka Dworska miała być eksperymentem

[51] M. Luniak, W. Nowicki, *Występowanie ssaków w Warszawie* [w:] *Funkcjonowanie układów ekologicznych w warunkach zurbanizowanych*, red. H. Zimny, Wydawnictwo SGGW-AR, Warszawa 1990, s. 230–243.

dającym doświadczenia dla przyszłych takich rozwiązań w krajowym mieszkalnictwie. Inwestycję przewidziano w dużej skali – 25 tys. mieszkańców, obszar 2 km^2 (!), budowa w latach 1981–1984. W pracach projektowych obok urbanistów uczestniczyli przyrodnicy różnych specjalności pod kierownictwem naukowym prof. Romana Andrzejewskiego („Romka" – rozdział 10). Mieliśmy rozpoznać warunki przyrodnicze terenu (m.in. jego faunę) i zaproponować możliwości optymalnej koegzystencji przyszłego osiedla z lokalną przyrodą. Teren dawał tu korzystne możliwości – naturalne zadrzewienia i w sąsiedztwie las, był też dawny wyschnięty strumyk, który planowano nawodnić.

Wcześniej miałem już doświadczenia współpracy z urbanistami, jednak projekt osiedla w Białołęce stawiał znacznie poważniejsze wymagania. Był konfrontacją, w dużej skali, z praktyką mieszkalnictwa – nie tylko urbanistyczną, ale także socjologiczną – zaprzyjaźnienia przyszłych mieszkańców osiedla z jego przyrodą. Pamiętam te dyskusje z projektantami i jak opornie rodziły się kompromisy. My (przyrodnicy) chcieliśmy jak najwięcej naturalnej zieleni, a oni – garaży, dróg, boisk. Rolę rozjemczą pragmatycznie spełniała prof. Skibniewska (wspaniała osobowość!). Pamiętam jej żartobliwe porównanie naszych sporów do możliwości dialogu ludzi i delfinów: z obu stron istoty inteligentne, przyjazne sobie i chciałyby porozumienia, ale nie mają wspólnego języka. Ze względu na socjalny aspekt tego projektu założyłem i pilotowałem przez przeszło rok w miejscowej szkole i Domu Dziecka Klub Ptakolubów młodzieżowej gazety „Świat Młodych", w której wtedy prowadziłem tak zatytułowaną rubrykę (rozdział 15). Uczestnicy Klubu zrobili skrzynki lęgowe dla ptaków i zainstalowali je wzdłuż ciągu projektowanej ulicy. W przyszłym osiedlu miała się nazywać „ulicą Ptakolubów".

Na podstawie badań przyrodniczych dla projektu „Białołęka Dworska" ukazało się szereg opracowań prezentowanych na konferencjach naukowych i zagranicznym gościom. Wszystko to okazało się piękną złudą, bo po wprowadzeniu stanu wojennego w 1980 roku prof. Skibniewska została odwołana z zajmowanych stanowisk, a inwestycja w Białołęce skreślona. Na pocieszenie dostaliśmy w 1983 roku Nagrodę Zespołową Ministerstwa Administracji i Gospodarki Przestrzennej. Później byłem pytany przez zagranicznych kolegów, którym wcześniej prezentowaliśmy projekt Białołęki, „co z waszym proekologicznym osiedlem?". Teraz na tym peryferyjnym terenie Warszawy postępuje „normalna" urbanizacja, a ja – bywając tam podczas wycieczek rowerowych – wspominam tę kilkuletnią przygodę z urbanistami. Wprawdzie nie zakończyła się sukcesem, ale nie żałuję udziału w niej.

Oprócz projektu osiedla w Białołęce Dworskiej kilkakrotnie współpracowałem z urbanistami jako konsultant lub autor opracowań dla prac planistycznych. Łączyło się to z moimi badaniami nad ptakami miasta i szerzej jego żywą przyrodą. Ceniłem te kontakty, bo stanowiły interdyscyplinarne powiązanie nauki z praktyką – była to też możliwość wskazania „twórcom miasta" rozwiązań sprzyjających przyrodzie. Współpracowałem z zespołami wybitnych urbanistów: Józefa Sigalina (wieloletni główny architekt Warszawy, planista jej odbudowy) – przy projekcie wielokilometrowego pasma rekreacyjnego „Świderbis" (1971–1972) i Stefana Kuryłowicza – przy projekcie „zielonego" osiedla na terenie dotychczasowego ogrodu działkowego przy al. Waszyngtona (2006 rok), także z architektami krajobrazu – prof. Witoldem Plapisem (Politechnika Warszawska) – na temat przyjaznego przyrodzie wykorzystania rekreacyjnego Lasu Bielańskiego i uchronienia go od przecięcia Wisłostradą (rozdział 13) i dr. Przemysławem Wolskim (SGGW) w zespole prof. Haliny Skibniewskiej – przy projektach dla Dolnego Mokotowa (1986–1989), zielonej dzielnicy Park pod Skocznią (1991 rok) i pasma Skarpy Ursynowskiej (1995–1996). Byłem również członkiem jury konkursu urbanistycznego Wiślany Park Przyrodniczy w Warszawie (2005–2006). Muszę tu jednak wyznać, że spośród wymienionych projektów właściwie żaden (!) nie został zrealizowany – fiasko osiedla w Białołęce Dworskiej nie było więc wyjątkiem. Czy to jest przykład ogólnie niskiego odsetka „trafień" takich projektów, szczególnie przy braku zainteresowania decydentów aspektem przyrodniczym, czy mojego zaangażowania w te niewłaściwe?

W badaniach awifauny Warszawy interesowałem się też zjawiskiem dostosowywania się zwierząt do bytowania w środowisku miejskim. Rozrost miast stał się czynnikiem wypierającym je z naturalnych siedlisk, jednak w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat obserwuje się także pozytywne reakcje świata zwierzęcego na urbanizację.

Warszawskie dziki są przykładem wnikania ssaków do miasta

Miejskie zwyczaje zwierząt – synurbizacja

W ciągu ostatnich dziesięcioleci coraz więcej gatunków (ich lokalnych populacji) ptaków i ssaków trwale osiedla się na terenach zurbanizowanych, dostosowując swoje zwyczaje do specyfiki miasta. Jest to zjawisko o skali globalnej i zoolodzy nazwali je synurbizacją[52]. Synurbijne populacje ptaków i ssaków przystosowały się do ograniczeń bytowania w mieście. Są to głównie:

- liczna obecność ludzi, psów i kotów, która płoszy dzikie zwierzęta i ogranicza im dostęp do zasobów środowiska;
- nagromadzenie sztucznych obiektów (zabudowa, trasy komunikacyjne), które zmniejsza przestrzeń przydatną dla zwierząt i stwarza ekologiczne przeszkody dla ich przemieszczania się oraz wzajemnych kontaktów;
- ruch miejski płoszy zwierzęta i zagraża im kolizjami z pojazdami, np. spotyka się zabite w ten sposób jeże, wiewiórki czy gołębie;
- zubożenie jakości przyrodniczej siedlisk zwierząt powodowane przez zainwestowanie budowlane i gospodarkę ogrodniczą;
- nagromadzenie obiektów powodujących zagrożenia, np. ptaki rozbijają się o przezroczyste lub zwierciadlane powierzchnie szklane, także o napowietrzne przewody, a strome brzegi zbiorników wodnych grożą zwierzętom utopieniem przy wodopoju.

Z drugiej strony miasto zapewnia też specyficzne korzyści:

- jest tu przyjazny stosunek do dzikich zwierząt – ludzie karmią je, nie prześladują, nie polują w mieście;
- odpady spożywcze dostarczają pożywienia „przy ludziach”;
- lepsze są warunki przetrwania zimy – niezamarzające wody, cieplejszy mikroklimat, zimowe dokarmianie;
- budynki i inne obiekty stwarzają ptakom bezpieczne miejsca lęgowe (w stropodachach, szczelinach elewacji) i miejsca wolne od niepokojenia przez ludzi (dachy budynków, napowietrzne przewody, słupy).

Postępy zjawiska synurbizacji są widoczne także w warszawskiej faunie. Od początku lat sześćdziesiątych XX wieku (rozdział 17) w śródmieściu Warszawy trwale osiedliło się kilkanaście gatunków ptaków, np. kos, kwiczoł, sroka, wrona, sójka, gołąb grzywacz. Podobne zjawisko obserwujemy u ssaków – w warszawskich parkach pojawiła się synurbijna populacja myszy polnej[53], lisy i dziki zapuszczają się coraz głębiej do miasta, a mało płochliwe bobry zamieszkały nawet w śródmiejskim parku Skaryszewskim. Natomiast wnikanie sarny do miasta jest powstrzymywane głównie liczną obecnością psów.

[52] M. Luniak, *Synurbizacja – dostosowanie się zwierząt do urbanizacji* [w:] *Fauna miast – Urban fauna*, red. T. Barczak, P. Indykiewicz, Wydawnictwo ATR, Bydgoszcz 1998, s. 13–19.

[53] Nowa naukowa nazwa tego gatunku – myszarka polna.

Miejskie wrony korzystają z wyżywienia „przy ludziach”

Wróble bez obaw dosiadają się do stołu

W swoich badaniach nad ptakami (rozdział 17) i ssakami[54] Warszawy zajmowałem się też różnicami w zwyczajach ich miejskich populacji w porównaniu do żyjących w krajobrazie niezurbanizowanym. Szczególnie zainteresował mnie kos – jeden z modelowych obiektów takich badań, którego miejskie zwyczaje obserwowałem stale w warszawskich parkach. Podobne obserwacje robił niemiecki ornitolog Ronald Mulsow w Hamburgu, gdzie proces synurbizacji kosa był jeszcze bardziej zawansowany niż w Warszawie. Wspólnie dokonaliśmy podsumowania wiedzy na ten temat i przedstawiliśmy je na Kongresie Ornitologicznym w Ottawie w 1986 roku.

[54] M. Luniak, W. Nowicki, *Występowanie ssaków w Warszawie [w:] Funkcjonowanie układów ekologicznych w warunkach zurbanizowanych*, Wydawnictwo SGGW-AR, red. H. Zimny, Warszawa 1990, s. 230–243.

„Miejskie" kosy

Kos, który dawniej był ptakiem wyłącznie leśnym, w XIX wieku zaczął pojawiać się w osiedlach zachodniej części Niemiec. Na początku XX wieku wschodnia granica jego występowania w miastach sięgnęła już do Gdańska, Poznania i Wrocławia, a w latach pięćdziesiątych kosy pojawiły się w Warszawie (rozdział 15). Tak więc w ciągu przeszło 100 lat „fala" synurbizacji kosa przesunęła się w kierunku wschodnim o ponad 1000 km. Miejskie kosy różnią się zwyczajami od swoich leśnych kuzynów:

- są mniej płochliwe w stosunku do ludzi, w bliskości których stale bytują w mieście;
- gniazdują w znacznie większym zagęszczeniu, bo szczupłość przestrzeni zielonych w miastach nie pozwala na zajmowanie rozległych terytoriów lęgowych;
- są bardziej osiadłe, bo miejska wyspa ciepła i dokarmianie stwarzają im możliwości pozostawania na zimę;
- liczba piskląt w ich lęgach jest mniejsza, bo małe terytoria i ubóstwo zieleni miejskiej ograniczają zasób naturalnego pokarmu do wykarmienia potomstwa; ale jest to rekompensowane trzema lęgami w sezonie zamiast dwóch, na co pozwala możliwość pozostania na zimę i wcześniejsza wiosna;
- żyją dłużej, bo osiadły tryb życia i słabsza (niż w lesie) presja drapieżników stwarzają mniej zagrożeń;
- budują gniazda na większej wysokości, gdzie jest bezpieczniej przed ludźmi i kotami;
- oświetlenie miasta pozwala na przedłużenie aktywności dziennej, niekiedy są aktywne nawet nocą;
- są bardziej agresywne między sobą – żyjąc w dużym zagęszczeniu, „kłócą się" częściej niż ich leśni kuzyni bytujący dalej od siebie;
- doświadczalnie wykazano (dr Kazimierz Walasz z UJ), że miejskie kosy szybciej uczą się i bardziej reagują na zmiany w otoczeniu, co jest dostosowaniem do zachodzących w mieście częstych, zaskakujących je zmian (czyli mieszczuchy są sprytniejsze).

Kos ze swoimi miejskimi zwyczajami nie jest tu wyjątkiem. Podobne przystosowania obserwujemy u synurbijnych populacji innych gatunków ptaków i ssaków. Na przykład warszawskie sokoły wędrowne i pustułki polują do późnego wieczora, a nawet w nocy, korzystając z miejskiego oświetlenia, a myszy polne w parkach przeszły z wędrownego trybu życia na osiadły i przedłużyły swój sezon rozrodczy aż do października.

Te przykłady dostosowywania się zwierząt do bytowania w miastach pokazują, że dzikie zwierzęta mają szansę w świecie coraz bardziej zurbanizowanym. Wobec pogłębiającego się globalnego kryzysu różnorodności fauny trzeba jednak pamiętać, że ta szansa dotyczy tylko niewielkiej jej części.

Rozdział 19

W KANADZIE I PTAKI PRZECIW SAMOLOTOM

W 1969 roku biuro turystyczne Orbis zaproponowało mi rolę przewodnika ornitologicznego dla grupy kanadyjskich *birdwatchers/birders* (obserwatorzy ptaków). Mieli oni spędzić w Polsce ponad tydzień, zatrzymując się po drodze do Moskwy i na Kaukaz. Moim zadaniem było zaplanowanie dla nich programu i pokazywanie im ptaków w terenie. Obsługa organizacyjna należała do przewodnika Orbisu, który miał być też tłumaczem mojego wówczas słabego angielskiego. Przyjąłem tę „chałturę" jako okazję nauki języka (i zarobku), nie spodziewając się, że to zapoczątkuje moje wieloletnie personalne związki z Kanadą oraz z nieznanym mi dotąd „lotniczym" aspektem ornitologii.

Gdy spotkałem kanadyjską grupę na lotnisku – zaskoczenie: spodziewałem się wytrawnych terenowych tropicieli ptaków, a to były w większości starsze panie i dwóch panów, też w wieku emerytalnym. Liderem grupy był Fred Bodsworth, popularny wówczas w Kanadzie pisarz, o którym oczywiście nie słyszałem. Już przy powitaniu w autokarze zaliczyłem „wpadkę". Po wygłoszeniu przygotowanego na pamięć zagajenia posypały się pytania, a ja ich – przy nieobecności tłumacza – nie rozumiałem. Wtedy angielski znałem właściwie tylko z czytania literatury ornitologicznej, a tutaj był język potoczny, do tego w slangu. Następne zaskoczenie przeżyłem w Łazienkach przy pierwszym spotkaniu z naszymi ptakami, dla gości w większości nieznanymi. Sądząc po składzie wycieczki, myślałem, że moją rolę przewodnika ornitologicznego mogę traktować ulgowo. Okazało się, że ci starsi państwo podchodzili do obserwacji poważnie, dostawałem wnikliwe pytania i moje objaśnienia były sprawdzane w przewodnikach do rozpoznawania ptaków, które mieli ze sobą. Ta dociekliwość obserwacji zaskoczyła mnie u kanadyjskich gości. Zobaczyłem też różnicę w ówczesnym poziomie amatorskiej ornitologii – w krajach anglosaskich był on znacznie bardziej zaawansowany niż u nas. Poza tym zagranicznych obserwatorów ptaków motywowało m.in. kompletowanie osobistych „list" obserwowanych gatunków – wszystkich spotkanych w życiu (*life list*), na tej wyprawie (*trip list*) itp. Obowiązywał przy tym rygor etyczny – zaliczane były tylko gatunki widziane i oznaczone z całą pewnością, żadnych domysłów. Oni przyjechali do Europy (do Polski i dalej), żeby dodać nowe gatunki do swoich *life lists*, które zapełnili już ptakami amerykańskimi. Ta rekordomania jest typowa dla amerykańskich *birders*. U nas teraz też rozpowszechnia się zwyczaj liczenia spotkanych gatunków, ale nie nabrało to (jeszcze?) rangi celebrowanej za Atlantykiem.

W związku z polowaniem kanadyjskich gości na nowe gatunki do *life list* pamiętam zdarzenie pokazujące, jak poważnie to traktowali. Gdy byliśmy w Białowieży, na łące nad Narewką usłyszeliśmy derkacza – nowy gatunek do ich listy. Znając jego specyficzne zwyczaje, powiedziałem, że tego *corncrake* nie uda się wypłoszyć z traw do lotu, żeby dał się zobaczyć, co było warunkiem „zaliczenia". Grupa przyjęła to z niedowierzaniem, wobec czego poszedłem w kierunku stale odzywającego się ptaka z zamiarem przekonania grupy, że nie poderwie się. Derkacz oczywiście nie pokazał się, ale po chwili zaczął odzywać się w pobliżu (może inny?). Więc dołączyli do mnie panowie i skierowaliśmy się tam ławą, a później dołączyły jeszcze panie i całą grupą zrobiliśmy obszerny kocioł – bez rezultatu. Ja widziałem w tym komizm sytuacji, a oni byli przejęci wagą zadania. Na szczęście nękany ptak przestał się odzywać, a pobliską drogą jechał wóz drabiniasty z sianem (atrakcja nieznana w Ameryce) i goście pocieszyli się, robiąc sobie na nim zdjęcia. Po kolacji z wódką (woleli od wina, a to były czasy PRL – bez whisky) dyskutowaliśmy, czy tego derkacza, co złośliwie nie dał się zobaczyć, mogą w drodze wyjątku, dopisać do swoich *Polish trip lists*. Później jeszcze spotykaliśmy derkacze, ale po tamtym doświadczeniu – już bez prób „pokazania" ptaka.

Poza Białowieżą byliśmy z kanadyjską grupą nad Gopłem, przy ujściu Wisły i na Mazurach. Ten objazd Polski uświadomił mi różnice w ówczesnych standardach obsługi turystycznej między PRL a amerykańskim „Zachodem". Już w autokarze były pytania o *air condition*, które przyjmowałem jako dotyczące wietrzenia, bo nie wiedziałem, że w pojeździe może być coś takiego jak klimatyzacja. W terenie goście niechętnie chodzili pieszo, oczekiwali, że będą podwiezieni „do ptaka", podczas gdy kierowca Orbisu, ogólnie zdegustowany dziwactwami grupy, nie chciał zjeżdżać z asfaltu „w krzaki". Później, szczególnie w USA, przekonałem się, że tam powszechnie obserwuje się ptaki, nie wysiadając z samochodu. Osobnych problemów nastręczało zakwaterowanie. W Warszawie i Sopocie mieliśmy luksusowe hotele. Natomiast kemping w Mikołajkach okazał się tak fatalny, że po pierwszej nocy z pijackimi hałasami i obrzydliwymi toaletami grupa odmówiła dalszego tam pobytu. Na tle tego wzburzenia tylko pani Elisabeth Hughes stoicko powiedziała, że wygody ona ma u siebie w Kanadzie, a tutaj na „komunistycznym Wschodzie" jest ciekawa właśnie takiego folkloru. Udało mi się zażegnać ten kryzys – załatwiłem zakwaterowanie w naukowej stacji hydrobiologicznej PAN po drugiej stronie Jeziora Mikołajskiego. Tam mieliśmy sympatyczne kameralne warunki i wokół pełno ptaków. Podczas pobytu w Białowieży mieszkaliśmy w nowo otwartym hotelu (wtedy nazywał się „Iwa"), wyraźnie jeszcze nie w pełnej gotowości do funkcjonowania. Były więc kłopoty z instalacjami sanitarnymi i obsługą, nikt nie znał angielskiego. Na szczęście serwowano dobre jedzenie z wódką, co goście doceniali.

To obcowanie z kanadyjską grupą na tyle poprawiło mój angielski, że praktycznie już nie korzystałem z pośrednictwa przewodnika Orbisu. W wieczornych rozmowach zyskałem nieco wiedzy o realiach tzw. Zachodu i rozwiniętego tam ruchu amatorskiej ornitologii, o czym dotąd nie miałem pojęcia. Przede wszystkim jednak zawarłem przyjaźnie, m.in. z Fredem Bodsworthem – liderem grupy, które trwały przez lata. Z późniejszych kontaktów dowiedziałem się, że goście uznali polską część ich wyprawy za znacznie bardziej udaną niż radziecką (Moskwa i Kaukaz). Również moją rolę oceniono korzystnie w porównaniu z tamtejszymi przewodnikami, którzy „stale stwarzali jakieś niezrozumiałe problemy i usilnie starali się je rozwiązywać". Wkrótce dostałem formalne zaproszenie (bez pokrycia kosztów!) na mającą odbyć się w Kanadzie światową konferencję na temat kolizji ptaków z samolotami, a od niektórych uczestników grupy – prywatne zaproszenia do odwiedzenia ich. To był początek pamiętnego w mojej biografii rozdziału „kanadyjska jesień 1969 roku".

Zaproszenie do Kanady uważałem za tak wyjątkową szansę (pierwszy raz „na Zachód"), że nie zraziłem się wstępnymi przeszkodami. Były to czasy, gdy wyjazd „na Zachód" był traktowany podejrzliwie, a dewizowe koszty takiej podróży (LOT jeszcze nie latał za Atlantyk) i utrzymania za granicą wykraczały daleko poza poziom krajowych zarobków. Zacząłem pokonywać ten tor przeszkód od wizyty w dyrekcji LOT, którą usiłowałem zainteresować lotniczym tematem konferencji – bezskutecznie: „Nasze samoloty nie mają problemów z ptakami". Później okazało się, że to nie była prawda. Wtedy, w ówczesnym Centralnym Zarządzie Lotnictwa Cywilnego, znalazłem pułkownika Ślepeckiego zajmującego się bezpieczeństwem lotów. Zainteresował się tematem konferencji i dopiero od niego dowiedziałem się, że aktualnie z nastaniem silników odrzutowych kolizje z ptakami stały się poważnym zagrożeniem dla lotnictwa. Za jego (tzn. Centralnego Zarządu) interwencją wkrótce otrzymałem od LOT-u służbowy przelot (pierwszą klasą!) do Brukseli, a dalej belgijską linią Sabena (już jej nie ma) do Montrealu. Udzielił mi też poparcia w staraniach o paszport służbowy. Te zabiegi zakończyły się sukcesem dzięki Fredowi Bodsworthowi (lider kanadyjskiej grupy), który – na moją prośbę – przysłał fikcyjne zaproszenie od Ontario Federation of Naturalists z deklaracją pokrycia kosztów mojego pobytu w Kanadzie. Jednocześnie wyraźnie zastrzegł, że „w moim domu będziesz gościem, ale reszta to twoja sprawa". Na szczęście okazało się, że jedna z zapraszających mnie osób – wspomniana już Elisabeth Hughes – mieszka w Kingston, gdzie miała odbyć się konferencja, więc tutaj byłem urządzony. Został jednak problem innych kosztów pobytu – chciałem skorzystać z życiowej szansy i zostać w Kanadzie co najmniej miesiąc. Od Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia" wystarałem się o polecenie i kontakty do klubów polonijnych, którym chciałem oferować prelekcje (może zapłacą?) o polskiej przyrodzie. W tym celu wypożyczyłem z TVP konsultowane dla nich filmy (rozdział 25/10), ponadto miałem zestaw slajdów (wtedy w przezroczach). Ktoś skierował mnie do państwa Jankowskich – od nich dostałem przesyłkę, której nie chcieli wysyłać cenzurowaną pocztą do syna Krzysztofa w Montrealu. Ta przesyłka później mnie uratowała. Wśród innych prywatnych poleceń była także sprawa do pana Sypniewskiego, szefa polskiej sekcji Radia

Kanada. Wszystko to stwarzało nadzieję, że będę miał „zaczepienia", ale bez pewności finansowania. Realna była tylko niewielka suma dolarów podarowana mi na pożegnanie przez kanadyjską grupę, której byłem przewodnikiem.

W podróż wybrałem się z walizą obciążoną m.in. metalowymi pudłami z filmami (wówczas jeszcze na kliszowych taśmach) od TVP i alkoholem – zwyczajowym prezentem z Polski. Na szczęście bilet pierwszej klasy pozwalał zabrać aż 30 kg bagażu. Po transatlantyckim locie z lądowaniem na Nowej Funlandii znalazłem się w sali odbioru bagaży na lotnisku w Montrealu. Oszołomiony przedłużoną dobą, drinkami serwowanymi *free* w pierwszej klasie i świadomością, że jestem na mitycznym Zachodzie zostałem wywołany do lotniskowego biura. Tam zastałem moją walizę – rozbitą, z wysypującą się zawartością. Wtedy oprzytomniałem! Z protokołu wynikało, że w Brukseli walizka spadła z wózka przewożącego bagaże, a następny po niej przejechał (tylko po mojej!). Widziałem to zdarzenie z odległości, będąc w grupce pasażerów przy schodkach do samolotu, ale nie rozpoznałem, że to mój bagaż. Ucierpiała część alkoholi, ale na szczęście nie filmy z TVP, bezpieczne w metalowych pudełkach. W czasie załatwiania formalności ogłaszano wezwania osoby, która miała mnie odebrać. Gdy nikt się nie zgłosił, udostępnionym telefonem zacząłem wydzwaniać do zabranych z kraju „kontaktów". Później okazało się, że list zawiadamiający o moim przylocie minął się z wyjazdem tamtej osoby do Afryki na ptasie safari. Korespondencja zagraniczna w PRL szła kilkanaście dni.

Z lotniska odebrał mnie Krzysztof Jankowski, syn państwa, od których miałem do niego przesyłkę, chyba ważną. Oboje z żoną Iwoną przyjęli mnie serdecznie i okazali pomoc – bez niej nie poradziłbym sobie. Zaraz następnego dnia złożyłem w biurze linii Sabena wniosek o odszkodowanie za zniszczony bagaż, m.in. stwierdzając, że straciłem slajdy i manuskrypt prezentacji (w rzeczywistości go nie miałem), co uniemożliwi mi wystąpienie na międzynarodowej konferencji (nie planowałem takiego), które było celem podróży. Te nieprawdy wymyślił Krzysztof i wszystko urzędowo opisał. Odszkodowanie dostałem w niedługim czasie – opłaciło się stracić walizkę i trochę wódki. Krzysztof i Iwona zabrali mnie też na Expo – cykliczną światową wystawę, która wtedy, w 1969 roku, odbywała się w Montrealu. To było „uderzeniowe" spotkanie z wielkim światem.

Pomocny okazał się również pan Sypniewski z Radia Kanada. W Warszawie proszono mnie o złożenie kwiatów na grobie jego tragicznie zmarłej córki. Pan Sypniewski zaproponował mi wystąpienie w audycjach dla Polski oraz prelekcję z filmami w miejscowej filii Instytutu Polskiego. Obie te propozycje były kuszące finansowo, ale ryzykowne. Radio Kanada było wtedy chyba jedyną zachodnią rozgłośnią względnie tolerowaną w PRL (nie zagłuszano go), ale Instytut Polski – to już instytucja jawnie związana z emigracyjnym rządem londyńskim. A ja nie miałem wątpliwości co do zamiaru powrotu do kraju. W konsulacie, po szczegółowym przepytaniu mnie i sprawdzeniu filmów TVP, nie mieli nic przeciw tym wystąpieniom jako promocji PRL, nawet w instytucjach jej nieprzyjaznych. Ale ostrzeżono mnie, żebym „wiedział, co mówię" (rozdział 25/7).

Miałem więc dwa wywiady radiowe (płatne!) – o ptakach w Polsce i o wycieczce kanadyjskich *birdwatchers*, którą pilotowałem. Moja prelekcja z pokazem filmów dla Instytutu Polskiego zgromadziła liczne audytorium, głównie osoby ze „starej emigracji". Spotkanie prowadził prof. Tadeusz Romer, w czasie wojny ambasador RP w Japonii i ZSRR, minister spraw zagranicznych w emigracyjnym rządzie Stanisława Mikołajczyka. Brał m.in. udział w negocjacjach w Moskwie ze Stalinem. Jak wiadomo, główny wynik tej misji – przyszła wschodnia granica Polski – był niepomyślny. Wcześniej spotkaliśmy się na lunchu w klubie Uniwersytetu McGil, gdzie prof. Romer był wykładowcą. Ten starszy pan w stylu przedwojennej elity (dyplomata!) zapytał na wstępie, czy jestem komunistą (a lunch już był na stole). Potem w rozmowie nie krył nieprzyjaznego stosunku do PRL i wspominał o możliwości mojego pozostania w Kanadzie. Przed prelekcją obaj przy wejściu na salę witaliśmy wchodzących, którzy wkładali „co łaska" do wyłożonego kapelusza (tak – kapelusza!). Widziałem, że zebrała się w nim pokaźna suma, ale prof. Romer wygarnął znaczną jej część „na koszty". Po prelekcji była długa dyskusja na sali i potem jeszcze w czyimś domu. Dostawałem pytania w rodzaju: „Pamiętam z Polski bociany – dlaczego nie ma ich tu, w Kanadzie?".

Spotkałem się też z właścicielami biura Nature Treasure Tours (sympatyczne małżeństwo), organizatora wyjazdu kanadyjskiej grupy, którą pilotowałem. Potwierdzili korzystną opinię grupy o polskiej części wyjazdu i podziękowali mi „premią". Zapowiedzieli dalsze przysyłanie wycieczek. Później od Freda Bodswortha dowiedziałem się, że ich biuro przestało działać. Natomiast latem 1969 roku, jeszcze przed wyjazdem do Kanady, byłem przewodnikiem, również dla Orbisu, grupy *birders* z USA z liderem panem Crowderem, jednak tym razem nie nawiązałem bliższych stosunków personalnych z uczestnikami.

Okazało się więc, że – wbrew obawom – mam swobodę finansową. Ten wstępny pobyt w Montrealu zakończyłem wizytą na „daczy" Ironwoods w miejscowości Portland, nad jeziorem – dawnej farmie, w której zachowano kilka krów. Z takim stylem udawanej farmy spotkałem się później także w USA. Podczas tego weekendu pierwszy raz zobaczyłem szopy (urocze zwierzęta!), oswojone z bliskością ludzi. Słuchałem też wieczornego koncertu nurów zawodzących na jeziorze. To moje trwałe skojarzenia z Kanadą. Nowym zoologicznym wrażeniem były też bobry występujące nawet w miejskich parkach. U nas teraz są pospolite, ale w tamtych czasach stanowiły rzadkość. Wszędzie spotykałem bernikle kanadyjskie. Ich spoufalenie się z ludźmi sprawia kłopoty (m.in. brudzą pola golfowe), ale poza tym uważane są za żywy symbol kraju.

Konferencja (World Conference on Bird Hazards to Aircraft, 2–5 września 1969 roku) odbywała się w uniwersyteckim mieście Kingston (prowincja Ontario – kraina Wielkich Jezior). Inspiracją do jej zorganizowania było narastające zagrożenie dla lotnictwa przez kolizje z ptakami związane z wprowadzeniem szybkich samolotów z silnikami odrzutowymi i żywiołowym wzrostem natężenia ruchu lotniczego.

Bernikla kanadyjska – maskotka kraju. Przy pomniku Fred Bodsworth

Konferencja otworzyła mi oczy na ten ważny praktyczny aspekt ornitologii, którego wcześniej nie znałem. Było to również doświadczenie mojego pierwszego uczestnictwa w międzynarodowym (światowym) spotkaniu tej rangi, i to jeszcze w mitycznym „zachodnim" świecie. Szczególny był skład uczestników tego spotkania. Znaczną część stanowili reprezentanci sił powietrznych, był to więc chyba rzadki w tamtych czasach przypadek bezpośredniego spotkania wojskowych ówczesnego Związku Radzieckiego (Układ Warszawski) i Paktu Północnoatlantyckiego (NATO). Poza reprezentantami ZSRR ja byłem jedyny z ówczesnych krajów komunistycznych.

W temacie konferencji byłem zupełnie „zielony", toteż nie spodziewałem się odegrać jakiejś znaczącej roli. Stało się inaczej: zrobiłem furorę znajomością rosyjskiego jako tłumacz podczas nieformalnych kontaktów z delegacją radziecką. Znam ten język dobrze – w liceum i podczas studiów jego nauka była obowiązkowa, a później, w 1966 roku, odbyłem jeszcze kurs językowy PAN w Moskwie. Zachodni uczestnicy bardzo interesowali się delegacją radziecką, a jedynym w niej mówiącym po angielsku był attaché lotniczy z ambasady. Pełnił on rolę opiekuna swoich kolegów i stróża ich poprawności politycznej, więc ja byłem pomocny w mniej oficjalnych kontaktach. Dzięki temu „coś znaczyłem", zawierałem znajomości, a z szefem delegacji radzieckiej dr. Władimirem Jakobim – z pochodzenia Estończykiem – zaprzyjaźniliśmy się i później spotykaliśmy w Związku Radzieckim oraz na zagranicznych konferencjach „lotniczych".

Kolizje lotnictwa z ptakami

Silnik odrzutowy, w przeciwieństwie do tradycyjnego „śmigłowego", zasysa powietrze do otwartego wnętrza jak gigantyczny odkurzacz i „połknięcie" ptaka oczywiście powoduje awarię. Niebezpieczne są też zewnętrzne zderzenia samolotów z ptakami. Przy dużych prędkościach lotu uderzenie nawet o miękkie ciało powoduje efekt silnego ciosu młotem. Lotnictwo wojskowe, w porównaniu z cywilnym, jest bardziej narażone na kolizje z ptakami, bo częściej operuje na niskich pułapach, przy większych szybkościach i często w trudniejszych warunkach widoczności. W latach poprzedzających konferencję siły powietrzne Kanady straciły w ten sposób dziewięć myśliwców, których piloci nie zawsze zdołali się uratować. Głośne były też wtedy dwie zakończone tragicznie katastrofy dużych amerykańskich samolotów pasażerskich – po kolizjach ze szpakami i łabędziami.

Nie da się skonstruować samolotu „ptakoodpornego", więc minimalizacja zagrożenia polega na zapobieganiu spotkaniom w przestrzeni powietrznej pierzastych i lotniczych jej użytkowników. Są tu dwa rodzaje działań. Jednym jest pozbycie się ptaków z rejonu lotniska – odtwarzaniem im głosów przestrachu, pirotechniką, szkolonymi sokołami, stworzeniem nieatrakcyjnego środowiska. Drugim sposobem jest unikanie ptaków na trasie lotu – przez rozpoznanie radarowe oraz znajomość miejsc ptasich skupisk i szlaków wędrówek.

Udział w konferencji wprowadził mnie w krąg działań związanych z „ptasimi" zagrożeniami lotnictwa. Zostałem reprezentantem Polski w międzynarodowym organie zajmującym się tą tematyką (Bird Strike Committee Europe – BSCE) i brałem udział w szeregu jego spotkań (w Londynie, Frankfurcie n. Menem, Paryżu, Moskwie, Sztokholmie). Możliwość tych wyjazdów zapewniały mi bilety lotnicze z Centralnego Zarządu Lotnictwa Cywilnego za sprawą wspomnianego pułkownika Ślepeckiego. Był on weteranem wojennym radzieckiego lotnictwa, m.in. opowiadał mi o swoich ryzykownych lotach „kukuruźnikiem" (popularny radziecki dwupłatowiec An-2) do oddziałów partyzanckich na niemieckim zapleczu. Moje sprawozdania i inne przywożone przeze mnie materiały zaznajamiały go na bieżąco z dziedziną, którą zajmował się służbowo. Nie wiem, czy było to wykorzystywane w naszym lotnictwie. Natomiast znaczenie miał wzgląd oficjalny: uczestnictwo Polski – jedynego, poza Związkiem Radzieckim, komunistycznego kraju w międzynarodowej organizacji (BSCE) zajmującej się tym aspektem bezpieczeństwa lotów. Opublikowałem na ten temat pięć artykułów[55], a w 1988 roku zrobiłem ze współpracownikiem Pawłem Kozłowskim ekspertyzę środowiskową dla planowanej rozbudowy lotniska na warszawskim Okęciu.

Jednak próby kontaktów z naszym lotnictwem wojskowym okazały się bezowocne z powodu paraliżującej „tajemnicy obronności". Takich oporów nie było

[55] Przykładowo: M. Luniak, *Uwaga ptaki!*, „Skrzydlata Polska" 1974, nr 47, s. 11 oraz *Gdy krzyżują się szlaki ptaków i samolotów*, „Przekrój" z 22.09.1974, s. 1 i 10

ze strony „zachodniej". Byłem chyba jedynym „od nas", który w tamtych czasach zwiedził bazę lotniczą NATO koło Kolonii. Oprowadzał mnie po niej dr Johen Hild (znaliśmy się ze spotkań BSCE), ówczesny szef służby fizjograficznej lotnictwa Bundeswehry. Później przysłał mi (oczywiście okrężną drogą) instrukcję na temat ochrony lotnisk przed ptakami. Pewnie wtedy przydałaby się naszym wojskowym, ale wolałem nie ujawniać jej posiadania – mam ją jako pamiątkę.

Po konferencji, mając swobodę finansową, zamierzałem przewędrować Kanadę „w poprzek" – do wybrzeża Pacyfiku w Kolumbii Brytyjskiej. Po drodze odwiedziłem Freda Bodswortha w Toronto. Zostałem tam kilka dni przyjmowany gościnnie przez niego i jego żonę Margaret, którą wspominam z wielkim sentymentem. Fred był zapalonym *birdwatcherem*, robiliśmy więc wyprawy na ptaki, podczas których bliżej poznawałem nieznaną mi tamtejszą awifaunę oraz ptasie hobby „po amerykańsku" – znacznie bardziej zaawansowane niż u nas. Poznałem też książki autorstwa Freda – beletrystykę z wplecionymi treściami przyrodniczymi. Po powrocie do Warszawy zainteresowałem jedną z nich (*The strange one*) wydawnictwo Czytelnik – ukazała się w 1973 roku pod tytułem *Odmieniec* i miała kolejne wydania. Przepisy dewizowe PRL sprawiły, że Fred dostał honorarium autorskie w niewymienialnych złotówkach, więc mógł je wydać, tylko przyjeżdżając „na ptaki" do Polski (w 1985 roku), co pozwoliło mi zrewanżować się im (z Margaret) za dwukrotne serdeczne goszczenie mnie w Toronto.

Pierwszy odcinek dalszej wędrówki z Toronto na zachód odbyłem z małżeństwem Fredów wzdłuż Wielkich Jezior. Odwoziliśmy ich syna Neville'a do college'u w prowincji Manitoba. Jechaliśmy niespiesznie ich wielkim samochodem

Z Fredem i Neville'em w drodze wzdłuż Wielkich Jezior

Birding po amerykańsku. Ptaki obserwuje Elisabeth Hughes, przed nią w szortach Fred Bodsworth

Fred i Margaret podczas rewizyty w Warszawie z Anną i pięcioletnią Magdą, Ogród Saski, 1985 rok

z przyczepką dostosowaną do nocowania, robiąc wypady na ptaki i dłuższe postoje na kempingach.

Po rozstaniu z Fredami kolejnym celem mojej podróży na zachód było Edmonton (główne miasto prowincji Alberta), gdzie byłem zaproszony do Andrzeja Raszewskiego, kolegi ze studiów. Tę podróż (prawie dwie doby, ponad 2 tys. km) odbywałem przez niekończące się pola uprawne na równinach dawnej prerii autobusami sieci Greyhound obsługującej Kanadę i USA. Z Edmonton zamierzałem przez Góry Skaliste dotrzeć do Kolumbii Brytyjskiej na wybrzeżu Pacyfiku. Andrzej przyjął mnie gościnnie i zaproponował, że wybierzemy się tam razem awionetką jego przyjaciela: „Zamiast wdrapywać się na Góry Skaliste autobusem, zobaczysz je z lotu ptaka". Naszą wyprawę jednak stale coś wstrzymywało

(pogoda, pilot nie miał czasu) i mój pobyt w Edmonton przeciągnął się na tyle, że musiałem już wracać. Czekało mnie jeszcze spotkanie w Ottawie i naglił termin powrotu do Warszawy. Prowincja Alberta przeżywała wtedy eksplozję inwestycji, bo właśnie odkryto tam roponośne piaski, co budziło wielkie (jednak niespełnione) nadzieje. Andrzej namawiał mnie: „Zostań – uniwersytet rozwija się". Po powrocie do Warszawy okazało się, że w Instytucie miałem już status „nie wrócił", bo przedłużyłem (legalnie) wyjazd.

Drugi raz byłem w Kanadzie jako uczestnik Kongresu Ornitologicznego w Ottawie w 1986 roku. Wtedy też odwiedziłem w Toronto Freda i Margaret oraz innych przyjaciół z grupy, której przed laty pokazywałem ptaki w Polsce.

A Amerykę „w poprzek" pokonałem dopiero po 30 latach, w 1999 roku. Wtedy przywitałem się z Pacyfikiem w Malibu Beach (znanej u nas z nazwy koktajlu) w Kalifornii i oczywiście snobistycznie odwiedziłem też Hollywood. Później, w 2008 roku, będąc z Magdą na Florydzie (rozdział 25/5), kąpałem się przy ostatniej (Key West) z łańcucha wysepek (Florida Keys) „kończących" wschodni brzeg Ameryki Północnej. A na kontynencie najdalej na południe dotarłem do Arizony. Do szczególnych amerykańskich wspomnień zaliczam też widok na dachy wieżowców Manhattanu z podniebnego World Trade Center w 1983 roku, więc na długo przed tragedią 11 września 2001 roku.

Widok z World Trade Center na dachy wieżowców Manhattanu w kierunku rzeki Hudson, 1983 rok

Na południowym „końcu" wschodniego wybrzeża Ameryki Północnej, Key West, Floryda

W parku narodowym Saguaro, Arizona

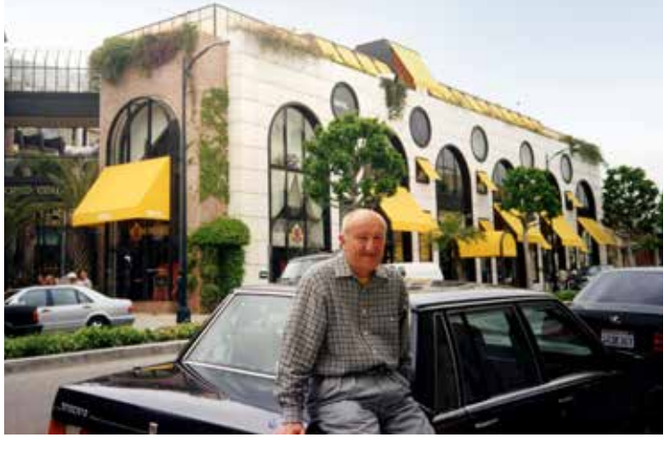

Na Rodeo Drive w Hollywood przy samochodzie Adama Swendraka, 1999 rok, fot. Adam Swendrak

Rozdział 20

SKRZYNKI ZAMIAST DZIUPLI

Skrzynki lęgowe, zwane też „budkami", były częścią moich relacji z ptakami już od czasów licealnych (rozdział 8) i pozostały do dziś.

Kilkanaście pospolitych krajowych gatunków (nazywanych dziuplakami) zakłada gniazda i wyprowadza lęgi w dziuplach drzew, szczelinach skalnych czy w innych zakrytych „wnętrzach". Do najpospolitszych należą tu np.: szpaki, sikory, mazurki, wróble, jerzyki, kawki, pleszki. Skrzynki są naszą pomocą dla tych ptaków – mają im zastąpić naturalne dziuple i inne „zakamarki", których w przyrodzie jest coraz mniej. Te miejsca lęgowe nie są dla ptaków „mieszkaniami" ani kryjówkami, inaczej niż jest to u ssaków (np. nory). Służą jedynie do odbycia lęgu, tzn. założenia gniazda i wychowania w nim potomstwa, później czasem do nocowania. Instalowanie skrzynek daje możliwość, żeby mieć „swoje" ptaki. Własnoręcznie zrobione (przyjemność majsterkowania!) albo kupione

Instalując skrzynkę, można mieć „swojego" ptaka, np. szpaka

Rozmiary wnętrza skrzynek lęgowych

Typ skrzynki	Ptaki, którym głównie służy	Minimalne wymiary wnętrza w cm		
		dno	głębokość od otworu	otwór
A	sikory, mazurek, wróbel, muchołówka żałobna, kowalik	12x12	20	4
B	gatunki jak w skrzynce A oraz szpak, pleszka, jerzyk	15x15	25	5
D	kawka, szpak (wiewiórka)	17x17	30	9
E	krzyżówka, puszczyk, kawka, pustułka (wiewiórka)	25x25	45	15

Dla jerzyka odpowiedniejsze są skrzynki o podłużnym kształcie (fot. s. 144) i wewnętrznych wymiarach dna około 35x14 cm, wysokości około 14 cm oraz z podłużnym otworem 7x4 cm w połowie wysokości. Podobnie pustułka – miejski sokół (rozdział 22) – chętniej gniazduje w skrzynkach półotwartych o wewnętrznych wymiarach dna 40x30 cm, wysokości wnętrza 30 cm i wysokości przedniej ścianki 15 cm (fot. s. 142). Skrzynki dla obu tych gatunków powinny być powieszone wysoko – co najmniej 6 m nad ziemią i w miejscu zapewniającym swobodny przylot, a dla ostrożnych pustułek – tam, gdzie nie będą niepokojone.

i zainstalowane w wybranym miejscu, np. przy naszym domu, są zaproszeniem, które w większości przypadków jest przez ptaki przyjmowane. Ważne, żeby rozmiary i miejsce zainstalowania skrzynki były odpowiednie dla gatunku jej spodziewanego lokatora. Obserwacja pary odbywającej lęg w takiej skrzynce – to długoterminowy spektakl. Mam przy domu skrzynkę od lat zajętą przez szpaki. Dzięki ich obecności mój rok składa się z okresu od marca do października, kiedy widzę je za oknem i słyszę jak śpiewają, oraz pory jesienno-zimowej, gdy niestety nie mam tego towarzystwa (rozdział 23).

Skrzynki lęgowe są powszechnie stosowane przez ornitologów w różnych badaniach, bo stwarzają możliwość zaaranżowania ptasich lęgów – wybranego gatunku, w obranej lokalizacji i kontrolowanych warunkach. Korzystałem z nich, uczestnicząc w latach 1971–1973 w dużym zespołowym programie badań nad rolą ptaków w ekosystemach rolniczych. Miałem wtedy dostarczyć porównawcze dane o szpakach ze środowiska intensywnie zurbanizowanego (śródmieścia

[56] M. Luniak, *Liczebność i produktywność lęgów szpaka* Sturnus vulgaris L. *w Warszawie*, „Acta Ornithologica" 1977, nr 16, s. 241–274.

Warszawy) – jakie pożywienie i ile go przynoszą swoim pisklętom, jak przebiega rozwój tych piskląt i jaki jest sukces ich lęgów[56]. W ramach projektu rozwiesiliśmy w śródmiejskiej zieleni skrzynki odpowiednie dla szpaków, w których obserwowaliśmy ponad 100 lęgów. W części skrzynek niezajętych przez szpaki gniazdowały także mazurki, wróble, sikory, a nawet zdarzały się nietoperze. Okazało się, że nasze miejskie szpaki miały dość niski sukces lęgowy. Przy średniej liczbie czterech jajek w gnieździe do wieku opuszczenia skrzynki dorosło średnio około połowy piskląt. Przyczyną tych strat było często opuszczenie gniazda (niepokojenie przez ludzi? koty?), również zamieranie pojedynczych piskląt, pewnie spowodowane chorobami/pasożytami lub niedostatkiem naturalnego pokarmu – owadów i innych bezkręgowców. Uboga śródmiejska zieleń nie dostarcza odpowiednich zasobów dla wyżywienia rozwijających się piskląt. Szpaki czasem przynosiły im resztki spożywcze o niskiej wartości odżywczej (np. kawałki skórek od wędlin i pomarańczy)[57]. Utrudnieniem w badaniach były kradzieże skrzynek (nawet z trwającymi lęgami!), w tamtych czasach niedostępnych w handlu, więc pewnie stwarzających pokusę przeniesienia na własną działkę. Obecnie łatwo je kupić w dowolnym wyborze, także z usługą zainstalowania.

Ponownie naukowo skrzynkami zajmowałem się 10 lat później (1983–1989). Na zlecenie władz Warszawy prowadziłem ze współpracownikami – Wieśkiem Nowickim i Pawłem Kozłowskim (rozdział 25/11) badania, w jakim stopniu zainstalowanie skrzynek może wzbogacać awifaunę parków miejskich i jak je stosować z najlepszym efektem. Do tego projektu przyłączyli się też ornitolodzy w Poznaniu[58]. W ciągu 7 lat w obu miastach kontrolowaliśmy rocznie po kilkaset skrzynek różnych typów, w Warszawie na 21 terenach zieleni miejskiej. Były wśród nich tradycyjne zielone salony, takie jak Łazienki Królewskie czy Ogród Saski i Ogród Krasińskich, oraz parki wówczas nowo założone, np. na Moczydle czy Szczęśliwicach, także dwa parki leśne – Olszynka Grochowska i Lasek Lindego na Bielanach. Stwierdziliśmy gniazdowanie aż 11 gatunków ptaków. Na każdym z terenów po właściwym zastosowaniu skrzynek znacznie wzbogacał się skład gatunkowy awifauny oraz jej liczebność. Najliczniej osiedlały się wróble, szpaki i mazurki. Ale byli też mniej spodziewani lokatorzy – szerszenie, osy, nietoperze i wiewiórki. Korzyści z zainstalowania skrzynek były najbardziej widoczne w nowo założonych parkach z ubogim drzewostanem – często młodym, gdzie przedtem ptaki-dziuplaki nie mogły osiedlać się z powodu braku odpowiednich miejsc lęgowych (dziupli). Dzięki naszym skrzynkom w śródmiejskich parkach Warszawy na stałe zagnieździła się muchołówka żałobna, wcześniej niestwierdzona jako ptak lęgowy.

[57] J. Gromadzka, M. Luniak, *Pokarm piskląt szpaka* Sturnus vulgaris L. *w Warszawie*, „Acta Ornithologica" 1978, nr 16, s. 275–285.

[58] M. Luniak, *Przydatność skrzynek lęgowych dla kształtowania awifauny parków miejskich – badania w Warszawie i Poznaniu*, „Acta Ornithologica" 1992, nr 27, s. 3–19.

Wieża z miejscami lęgowymi dla jerzyków w warszawskim parku Błonia Elekcyjne

Wieża z miejscami lęgowymi na bielańskiej „ptasiej ścieżce", fot. Mariusz Grzeniewski

Jednym z utrudnień badań ze skrzynkami były wróble. Osiedlały się licznie i agresywnie odstraszały inne ptaki, zwłaszcza sikory. Gniazdo wróbla jest kłębowiskiem wiechci wypełniającym całą skrzynkę, która w tym stanie później jest już nieużyteczna dla innych ptaków. Wróbel w tamtych czasach występował masowo, toteż traktowaliśmy go jako intruza, niezasługującego na rozmnażanie w skrzynkach. Staraliśmy się więc instalować je w sposób niesprzyjający tym ptakom. Minęło pół wieku i sytuacja odwróciła się – dziś w Warszawie, podobnie jak w innych europejskich miastach, wróble przeżywają kryzys i wprawdzie nie są jeszcze rzadkością, ale już trzeba się troszczyć o ich byt. Mój współpracownik Andrzej Węgrzynowicz zajmował się tym problemem w pracy doktorskiej. W swoich badaniach (2009–2012) kontrolował w Warszawie 340 skrzynek odpowiednich dla wróbli. Niestety ptaki te zajęły tylko 3% z nich, podczas gdy mazurki, spokrewnione z wróblami i mające podobne wymagania lęgowe – 33%. Dawniej staraliśmy się pozbywać wróbli ze skrzynek, a teraz są zapraszane – ale nie ma ich.

Obecnie skrzynki lęgowe dla ptaków są powszechnym widokiem na terenach zieleni miejskiej. W Warszawie rocznie rozwiesza się ich kilkaset, w dużej części w ramach projektów budżetu obywatelskiego, co świadczy o społecznym zrozumieniu takich działań. Instalacją i przeglądami skrzynek zajmują się profesjonalne firmy. Udostępnione mi (dziękuję!) wyniki przeglądu 583 skrzynek dokonanego przez taką firmę w 12 warszawskich parkach jesienią 2020 roku wykazują, że aż w 92% (!) zostały znalezione gniazda z okresu lęgowego. Okazało się, że skrzynki te służyły także innym niż ptaki lokatorom – w 23 były gniazda wiewiórek, w 5 zastano nietoperze – w jednej było ich nawet 14 „śpiących" razem. W pięciu skrzynkach pszczoły urządziły sobie zastępcze ule (czyli „dzikie" miejskie barcie), w dwóch były szerszenie, a w jednej nawet mysz. Czyli cała menażeria. Cieszę się, że skrzynki, które majstrowałem kiedyś jako licealista, tak bardzo się rozpowszechniły i mają wzięcie nie tylko u ptaków. Rzadziej też zdarza się, żeby skrzynki „ginęły", co dawniej stanowiło problem.

Dzięki wieloletniemu doświadczeniu z zastosowaniem skrzynek byłem w tej dziedzinie użyteczny dla „chirurgów drzew". To posługujący się nowoczesną techniką specjaliści zajmujący się ich wycinką, przycinaniem gałęzi i innymi sposobami konserwacji. Ich działalność ma obecnie coraz większe znaczenie w gospodarce terenami zielonymi. Jestem w kontakcie z tym środowiskiem od lat siedemdziesiątych XX wieku. Dawniej dostawałem sygnały jak np. ten (autentyczny) z Ogrodu Saskiego: „Ścinamy drzewo i tu w dziupli są pisklęta jakiejś sowy – co z nimi zrobić?". To było gniazdo puszczyków w dziupli starego kasztanowca przy skrzyżowaniu dwóch głównych alei Ogrodu. W pogodne dni w otworze dziupli przesiadywała napuszona sowa (puszczyk) i była to atrakcja parku. Po wycięciu tego drzewa puszczyki wyniosły się z Ogrodu i chyba już nie powróciły. Podobny był przypadek wycięcia „puszczykowego" drzewa przy Alei Chińskiej w Łazienkach. To mój żal do „chirurgów drzew", którzy są tylko wykonawcami postanowionej przez kogoś egzekucji, ale powinni mieć rozeznanie,

Puszczyki gniazdują w dziuplach starych drzew, Łazienki, Warszawa

że „tam ktoś mieszka". Obecnie jest coraz więcej starania o zminimalizowanie, nieuniknionych w tej działalności, szkód wyrządzanych lęgom i siedliskom ptaków. Tu właśnie mają zastosowanie skrzynki lęgowe zastępujące straty dziupli w wycinanych czy „pielęgnowanych" drzewach.

Od niedawna skrzynki zaczęły pojawiać się również na budynkach jako zastępcze miejsca lęgowe dla ptaków eksmitowanych stamtąd przez modernizację budownictwa. Gdy w latach 1982–1985 prowadziłem badania nad ptakami warszawskich osiedli mieszkaniowych[59] (rozdział 17), zagrożenie to nie miało istotnego znaczenia. Z ponad 10 gatunków ptaków gniazdujących na osiedlach około 90% ptasiej populacji „mieszkało" w budynkach. Ta ptasia „wspólnota mieszkaniowa" dzieliła się miejscami lęgowymi stosownie do zwyczajów różnych gatunków. Wróble były głównymi lokatorami płytkich szczelin, zakamarków w elewacjach i w zewnętrznych instalacjach (np. za rurami spustowymi), także

[59] M. Luniak, *Zasiedlanie przez ptaki nowych osiedli mieszkaniowych w Warszawie* [w:] *Problemy ochrony i kształtowania środowiska przyrodniczego na obszarach zurbanizowanych*, red. H. Zimny, cz. 2, Wydawnictwo SGGW-AR, Warszawa 1990, s.156–169.

Stropodachy są ulubionym miejscem lęgowym wróbli

Pustułki chętnie gniazdują w skrzynkach

Para pustułek przy gnieździe w okienku strychowym

Ptaki i modernizacja budownictwa

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku w kraju nasiliła się modernizacja budownictwa. Ocieplenia starych budynków i gładkie (często szklane) elewacje nowych sprawiły, że domy stały się „ptakoszczelne" – nie ma w nich miejsc lęgowych. W śródmieściu Warszawy skrzydlaci lokatorzy budynków to aż 80% całej ptasiej populacji. Powstał więc problem ochrony tej tak znacznej części miejskiej awifauny. Ekipy budowlane na ogół nie liczyły się (i bywa tak nadal) z ptakami odbywającymi w budynkach lęgi, a tym bardziej z likwidacją samych siedlisk lęgowych. Bywałem świadkiem i uczestnikiem interwencji, gdy kratowano lub pokrywano płytami ocieplającymi otwory do miejsc, w których były ptasie gniazda, nawet z pisklętami. Pamiętam ptaki – kawki, jerzyki, wróble – usiłujące dostać się do zamurowanych lub zakratowanych gniazd. Obok braku świadomości robotników i kierownictwa budowy, popędzanych harmonogramem prac, często spotykałem się w takich przypadkach ze stanowiskiem mieszkańców i administracji budynku, domagających się eksmisji ptaków. Przez lata sąsiadowali z nimi bez szczególnych konfliktów i nawet dokarmiali je, a teraz ich nie chcą?

Przyrodnicy dostrzegli to nowe zagrożenie miejskiej awifauny i byłem tu jednym z pierwszych. W 2004 roku Urząd Warszawy opublikował moją broszurę propagującą ochronę ptaków w budynkach[60], która w dużych nakładach dwóch wydań przysłużyła się upowszechnieniu wiedzy o problemie. Teraz jest szereg innych podobnych publikacji, prowadzone są szkolenia dla branży budowlanej, ukazały się też przepisy mające chronić lęgi i siedliska ptaków oraz nietoperzy w budynkach. Jest wymóg (i częsta już praktyka) stosowania skrzynek mających ptakom zastąpić utracone miejsca lęgowe w budynkach. I rzeczywiście w Warszawie rocznie instaluje się ich kilkaset, często estetycznie wbudowanych w elewację. Wiele z nich jest przeznaczonych dla jerzyków. Lubimy te ptaki, bo latem ożywiają niebo nad miastem i są (jednak niezupełnie słusznie) uważane za tępicieli komarów. Gniazdują tylko w budynkach – więc one szczególnie ucierpiały przez zmiany w budownictwie, ale pomaganie im nie jest proste. Jerzyki – ptaki mające w swojej pierwotnej naturze gniazdowanie w szczelinach skalnych – są bardzo przywiązane do stałego miejsca lęgowego (dawniej „wiecznego" w skale) i niechętnie przeprowadzają się do nowego, czyli do oferowanych im skrzynek. Czasem trzeba na to cierpliwie poczekać, nawet kilka lat, ale na szczęście te jerzykowe skrzynki służą przez ten czas też wróblom, sikorom i szpakom. W miastach pojawiły się także specjalne „wieże" z miejscami lęgowymi dla jerzyków. Niestety ptaki te zasiedlają je w jeszcze mniejszym stopniu niż przeznaczone dla nich skrzynki na budynkach. Ale za to jest tu efekt społeczny – spektakularny pokaz „dbania o ptaki". Pojawiły się już podobne „wieże" dla jaskółek oknówek.

[60] M. Luniak, *Ptaki w budynkach*, Biuro Ochrony Środowiska Urzędu m.st. Warszawy, Warszawa 2005, wyd. 2, Stołeczne Towarzystwo Ochrony Ptaków, Warszawa 2008.

Kawki i wróble usiłują dostać się do zakratowanych miejsc lęgowych

Skrzynki dla jerzyków. Te ptaki lubią gniazdować „po sąsiedzku”, fot. Mariusz Grzeniewski

Skrzynki wbudowane w elewację, fot. Hanna Żelichowska

w stropodachach z małymi otworami. W takich stropodachach osiedlały się też szpaki i jerzyki. Głębsze szczeliny zajmowały sikory – bogatka i modraszka – oraz mazurek. Nisze elewacji, mało używane balkony i poddasza służyły gołębiom miejskim i sierpówkom. Natomiast kawki, najczęściej po kilka par, i rzadziej sokoły, pustułki (rozdział 21) zamieszkiwały stropodachy z dużymi otworami, pustułki – także okienka strychowe. Dzięki temu podziałowi każdy ze skrzydlatych lokatorów budynku znajdował sobie odpowiednie miejsce na gniazdo, a kilkuhektarowe osiedle zamieszkiwało często ponad 100 par ptaków.

Przykładem bardzo chętnego wykorzystania skrzynek przez ptaki było zainstalowanie w Poznaniu ponad 100 specjalnie przeznaczonych dla sokołów pustułek. Wkrótce po rozwieszeniu zostały one w znacznej większości zasiedlone przez te ptaki. Natomiast po macoszemu w tych akcjach skrzynkowych traktowane są kawki, które po utracie miejsc lęgowych w modernizowanych budynkach stają się w miastach coraz rzadsze.

W ciągu ponad pół wieku, od kiedy jako licealista zacząłem klecić i rozwieszać skrzynkami lęgowe, co wówczas moje otoczenie uważało za dziwactwo, stały się one powszechną praktyką. Pomagają dużej grupie ptaków, którym ubywa (za naszą sprawą!) dotychczasowych miejsc lęgowych. A jednocześnie zaprzyjaźniają nas ze skrzydlatymi sąsiadami.

Rozdział 21

PARKI EKOLOGICZNE

Badając ptaki w warszawskich parkach (rozdział 17) i później, zajmując się zastosowaniem skrzynek lęgowych do wzbogacenia ich awifauny (rozdział 20), widziałem, że ogólny sposób zagospodarowania tych terenów degraduje je. Częste koszenie trawników nie pozwala na rozwój naturalnego runa i zabija bezkręgowce, wygrabianie ściółki wyjaławia glebę i siedliska fauny, wycinanie starych drzew i likwidowanie dziupli drzewnych (wtedy betonowano je) odbiera miejsca lęgów ptakom (rozdział 19) i siedliska innym zwierzętom, spuszczanie wody z sadzawek niszczy w nich życie, a pionowe brzegi (betonowe i palikowane) nie dają zwierzętom dostępu do wodopoju, a nawet są dla nich pułapką. Do tego jeszcze zubożona szata roślinna z gładkimi trawnikami, brakiem podszycia oraz egzotycznymi gatunkami i nagromadzenie sztucznych obiektów. Czyli we wszystkim sprzeciwianie się przyrodzie. W rozmowach z gospodarzami zieleni słyszałem, że park to ma być „zieleń pięknie urządzona".

W 1978 roku byłem na kongresie ornitologicznym w Berlinie Zachodnim, wówczas dla obywatela PRL mieście „najgorszym" politycznie. Dla mnie jednak okazało się ono, z wszystkich, które dotąd poznałem, miastem o najbardziej proekologicznie utrzymanej zieleni. Zobaczyłem tam, że miejskie trawniki mogą być łąkami z kwitnącym naturalnym runem, że pod drzewami i krzewami zostawia się ściółkę, w śródmiejskich parkach leżą próchniejące kłody drzew będące siedliskiem dla grzybów i bezkręgowców, podobnie jak opadłe gałęzie gromadzone w formie „warkoczy". Tak utrzymane berlińskie parki są pełne słowików (tam jest słowik rdzawy), podczas gdy w warszawskich słowiki (mamy szarego i rdzawego) są rzadkością. Do takiego proekologicznego sposobu gospodarowania zielenią przyczyniła się szczególna sytuacja polityczna dawnego Berlina Zachodniego. Był miejską wyspą odciętą od zieleni pozamiejskiej trudno przekraczalną granicą z NRD, trzeba więc było dać mieszkańcom „przyrodę" w samym mieście. Inspirację i podstawy naukowe dla tego stworzył zespół prof. Herberta Sukoppa – botanika-ekologa z Technische Universität Berlin. W ten sposób Berlin Zachodni stał się wiodącym na świecie ośrodkiem ekologii miasta, a prof. Sukopp najwyższym autorytetem w tej dziedzinie. Wtedy go poznałem i w następnych latach odwiedzaliśmy się kilkakrotnie na spotkaniach naukowych w Warszawie i Berlinie, zaprzyjaźniliśmy się również prywatnie. Jemu w dużej mierze zawdzięczam inspirację do zaangażowania się w ekologię miasta, był (jest) moim guru w tej dziedzinie. Współpracownicy mówią o nim *stille Wiessenheit* (cicha mądrość). W 2020 roku obchodził 90-lecie. Pamiętam, jak podczas jego pierwszej bytności

Prof. Herbert Sukopp

w Warszawie w 1979 roku, zwiedzając Ogród Saski, zwrócił uwagę na brygadę pracowicie wygrabiającą opadłe liście (był koniec października). Spytał mnie, czy to są bezrobotni, którym daje się niepotrzebne (!) prace, żeby darmo nie brali zasiłku.

W Berlinie Zachodnim (w Berlinie Wschodnim nie byłem) odkryłem więc, że park miejski niekoniecznie ma być, jak przyjęto w Warszawie, salonem w XIX-wiecznym stylu, z „wygoloną" przyrodą. Przeciwnie – może stanowić przyczółek jej bogactwa w mieście, nie tracąc przy tym (a raczej zyskując) na wartości rekreacyjnej. Ale dopiero przy następnej (również w 1978 roku) bytności w Berlinie spotkałem się z terminem i koncepcją „parku ekologicznego". Na odbywającym się tam sympozjum na temat ekologii miasta uczestnicy z Londynu mieli prezentację o pierwszym założonym u nich w 1977 roku parku z taką funkcją. Wtedy

Spotkanie kończące istnienie parku ekologicznego Wiliama Curtisa w Londynie. Stoję czwarty od lewej, w głębi historyczny most Tower, 1985 rok, fot. George Barker

koło historycznego mostu Tower straszył brzydotą opuszczony teren po zlikwidowanych dokach. Zawiązała się społeczna inicjatywa „pożyczenia" go od właściciela-dewelopera i urządzenia tam „parku ekologicznego". Po zrekultywowaniu terenu umożliwiono na nim rozwój naturalnej roślinności, urządzono sadzawkę z dzikim wodnym życiem (m.in. były żaby i ważki). Przy wsparciu lokalnych władz służył on rekreacji z „prawdziwą" przyrodą i dydaktyce szkolnej. Park Wiliama Curtisa (tak go nazwano) znakomicie spełnił swoją rolę i dał początek wielu podobnym w całej Wielkiej Brytanii. W 1985 roku uczestniczyłem w uroczystości jego zamknięcia (oczywiście przy muzyce dudziarza!) – nastał czas, gdy trzeba było zwrócić teren deweloperowi. Ale wtedy w aglomeracji Londynu (Wielki Londyn) było już kilkadziesiąt dostępnych dla publiczności terenów z oficjalnym statusem parków ekologicznych. Powstało też stowarzyszenie (Trust for Urban Ecological Parks) wspierające i koordynujące ten ruch w skali kraju.

Zwiedziłem w 1985 roku szereg takich parków w różnych miastach Anglii i Walii[61], towarzysząc w objeździe wizytującemu je George'owi Barkerowi, koordynatorowi do spraw ekologii miasta w ówczesnej rządowej agencji ochrony przyrody Nature Conservancy Council. Obiekty te powstawały zwykle jako inicjatywa społeczna, często na terenach opuszczonych, po przemyśle czy kolei, nierzadko przejmowanych w konflikcie z deweloperami, ale również użyczanych przez firmy lub prywatne osoby. Czasem były to zupełnie niewielkie zakątki – wysepki dzikiego życia w miejskim otoczeniu. Prawie zawsze służyły szkolnej dydaktyce przyrodniczej, a niektóre miały nawet pawilon do takich zajęć. Podczas wizyt byłem pod wrażeniem aktywności i wysokiej kultury przyrodniczej lokalnych społeczności zakładających te parki i animujących ich działalność. Zresztą podobne wrażenie odniosłem, obserwując brytyjski amatorski ruch ornitologiczny – *birdwatching* (rozdział 15).

Moja znajomość (i późniejsza wieloletnia przyjaźń) z George'em Barkerem rozpoczęła się w 1984 roku. Organizował wtedy międzynarodową akcję sprzeciwu wobec zamiaru zlokalizowania kopalni odkrywkowej (w Wielkiej Brytanii był to jeszcze „czas węgla") w rezerwacie Blackbrook Valley w środkowej Anglii. Napisał do mnie z polecenia wspomnianego wyżej prof. Sukoppa. Zapewne chciał mieć głos z Polski (Polska Akademia Nauk!) jako jedynego kraju za „żelazną kurtyną", z którego mógł liczyć na odzew. Na podstawie przysłanej dokumentacji (dla mnie mało zrozumiałej), napisałem opinię-ekspertyzę po polsku, co dziś uważam za kompromitację (!). Później nie pytałem George'a, czy ją w ogóle przetłumaczył. Ale w 1985 roku jego Nature Conservancy Council zaprosiła mnie na wspomnianą wyżej wizytację miejskich parków ekologicznych. Rewanżem było zaproszenie w 1987 roku George'a przez nasz Instytut. Poza wrażeniami przyrodniczymi (byliśmy m.in. w Białowieży i nad Biebrzą) atrakcją były dla niego realia kraju

[61] M. Luniak, *Miejskie parki ekologiczne na przykładzie Wielkiej Brytanii* [w:] *Problemy ochrony i kształtowania środowiska przyrodniczego na obszarach zurbanizowanych*, red. H. Zimny, Wydawnictwo SGGW-AR, Warszawa 1990, s. 170–174.

George Barker (po prawej) w jednym z parków ekologicznych

„komunistycznego" podczas kryzysowego schyłku PRL. W jego służbowym sprawozdaniu z tej wizyty dla NCC przeczytałem między innymi, że nasz samochód (Fiat 126p) był *extremely* mały, a mimo to zmieściły się w nim aż (!) trzy osoby z bagażami, a na dachu jechał kanister z benzyną (wówczas reglamentowaną). Ponadto w relacji z Polski była wzmianka, że papier toaletowy jest trudno dostępny w handlu, ale dostaje się go za makulaturę, co pochwalił jako promocję recyklingu. Z George'em ostatni raz widzieliśmy się w 1999 roku na konferencji na temat miejskiej przyrody *Urban wildlife conservation* w Tucson (Arizona, USA). Zaskoczył mnie pożegnaniem „już na zawsze", bo przechodził na emeryturę i zamierzał całkowicie poświęcić się uprawianiu hobby (prawdziwy Anglik!), uwolniony od przeszłości zawodowej. Chciał zająć się historyczną kroniką swojej okolicy. Później jednak napisał i korespondowaliśmy.

Po pobytach w Wielkiej Brytanii i w Berlinie Zachodnim widok przyrody degradowanej (znacznym staraniem i kosztem!) w warszawskich parkach przyprawiał mnie o frustrację. Uważałem, że do pustej tezy „park ma być pięknie urządzony" trzeba dodać „w zgodzie z przyrodą". W tym czasie przez stołeczne parki przechodziła fala tzw. rewitalizacji, nazywanych też rewaloryzacją.

W 2005 roku „rewaloryzacji" miał być poddany park Skaryszewski, najbogatszy przyrodniczo wśród śródmiejskich parków Warszawy. Projekt był dyskutowany w specjalnie powołanym zespole specjalistów – co trzeba docenić, bo wcześniej takie konsultacje nie zdarzały się. Uczestniczyłem w tym gronie, mając w pamięci parki ekologiczne w Anglii, naturalny charakter zieleni Berlina i „ostoje przyrody" widziane w nowojorskim Central Parku. Byłem słuchany życzliwie, ale z konserwatywnych pozycji. Jednak te dyskusje znacznie poprawiły pierwotną, dość radykalną w stosunku do przyrody, wersję projektu parku.

Rewitalizacja (rewaloryzacja) parków

Zamysłem takich przedsięwzięć jest zwykle nadanie parkowi charakteru bardziej „urządzonego", czyli sztucznego, niekiedy w nawiązaniu do historycznego pierwowzoru. Wiąże się to na ogół z wycinką części drzew – głównie starych i tzw. samosiejek, także z ogólnym ograniczeniem roślinności naturalnej na korzyść gładkich trawników. Często przy tym dąży się do przywrócenia parkowi kształtu historycznego. Nie bierze się pod uwagę, że taki park zakładano w czasach, gdy wiedza ekologiczna (jeszcze nie istniało słowo i pojęcie ekologia) i ogrodnicza znacząco różniły się od współczesnej. Zmieniły się też potrzeby rekreacji i kultury przyrodniczej mieszkańców miasta – dziś coraz powszechniej ceniony jest kontakt z „prawdziwą" przyrodą. Więc kształtowanie „pięknych" parków pod kątem historycznego pierwowzoru, kosztem ich wartości przyrodniczej, jest sprzeciwianiem się wymogom współczesności i zapotrzebowania społecznego.

Przyrodnicze skutki tych rewitalizacji (czy rewaloryzacji) wykazaliśmy z moim współpracownikiem i doktorantem dr. Andrzejem Węgrzynowiczem[62]. Porównaliśmy stan awifauny w trzech warszawskich parkach (Żeromskiego, Kępa Potocka i Ogród Krasińskich) przed ich rewitalizacją, w rok po niej i po kilku latach. Okazało się, że we wszystkich trzech badanych parkach rewitalizacja zmniejszyła liczbę gniazdujących gatunków oraz ogólną liczebność ptasiej populacji od ¼ do prawie połowy stanu „sprzed". Ten bardzo znaczny ubytek w parku Żeromskiego utrzymał się nawet po 11 latach. Dla porównania – w parku Skaryszewskim, który nie przeszedł rewitalizacji, stan awifauny w tym samym okresie nie zubożał, nawet poprawił się jego skład ekologiczny. Tu trzeba jeszcze dodać, że ptaki uważane są za wskaźnik ogólnego stanu żywej przyrody na terenach zieleni miejskiej. Nie powinno się więc takich działań nazywać „rewitalizacją" – tzn. „przywróceniem życia" czy „rewaloryzacją" – „przywróceniem wartości" (jakiej?) parkowi, bo traci on pod względem przyrodniczym. Właściwszy jest tu termin neutralny – renowacja.

[62] M. Luniak, A. Węgrzynowicz, *Wpływ renowacji parków miejskich na ich awifaunę lęgową – przykład z Warszawy*, „Chrońmy Przyrodę Ojczystą" 2019, nr 75, s. 3–15.

Udało się m.in. uchronić od „wymiany" (czyli wycięcia!) kilkudziesięciu starych jesionów tworzących główną aleję parku na kasztanowce, które powinny tam rosnąć ze względów „historycznych". Moim sukcesem (niespodziewanym!) było wprowadzenie do tego projektu „rewaloryzacji" parkowych „ostoi przyrody". Miały to być przestrzenie wyłączone z bezpośredniego użytkowania rekreacyjnego (wysepki na zbiornikach wodnych, pasma wzdłuż ogrodzeń), z bogatą naturalną roślinnością, służące też dydaktyce przyrodniczej. „Rewaloryzacja" parku Skaryszewskiego nie doszła do skutku, dzięki czemu zachował on swoją bogatą przyrodę.

W kilka lat później (2013–2014) „rewaloryzacja" Ogrodu Krasińskich, przeprowadzona bez konsultacji społecznych, drastycznie zubożyła przyrodę tego historycznego parku. Wycięto w nim ponad 300 drzew – w dużej części starych, będących też zabytkami historycznymi, przerzedzono krzewy, urządzono rozległe przestrzenie pustych trawników[63]. Skutkiem był znaczny spadek liczby gniazdujących w parku gatunków ptaków (pisałem o tym wcześniej). Tak drastyczna dewastacja przyrody Ogrodu wywołała protesty społeczne (chyba pierwszy raz tak silne!), także krytykę w prasie i ze strony warszawskiego środowiska przyrodników. W tym klimacie zainicjowałem kompleksowe badania przyrody i sposobu użytkowania parku Skaryszewskiego jako modelowego śródmiejskiego terenu zieleni. Celem było poznanie tej przyrody, oceny jej znaczenia dla bioróżnorodności miasta oraz wskazanie proekologicznych rozwiązań dla rewaloryzacji tego i innych parków miejskich. Nie spodziewałem się, że do tej inicjatywy przyłączy się 38 specjalistów z różnych dziedzin. W latach 2014–2015 wykonali oni społecznie (!) kompleksową inwentaryzację przyrodniczą tego dużego śródmiejskiego parku, pierwszą tak wszechstronną[64] w kraju (Europie?). Inicjatywa i koordynacja tego projektu, poza spełnieniem naukowym, była dla mnie kolejnym (rozdział 17) doświadczeniem w zakresie stworzenia dużego zespołu, którego uczestnicy zaufali mi na zasadzie społecznego zaangażowania i zainteresowania tematem, a nie zależności służbowej.

Kłody drzew wzbogacają dzikie życie parku i służą publiczności

[63] A. Dymek, M. Luniak, *Szata roślinna Muranowa – dawniej i dziś* [w:] *Tu Muranów. Dzielnica ponad gruzami*, red. K. Radecka-Mikulicz, Wydawnictwo Muzeum Historii Żydów Polskich Polin, Warszawa 2020, s.157–163.

[64] M. Luniak, *Projekt „Przyroda parku Skaryszewskiego w latach 2014–2015"* [w:] *Park Skaryszewski w Warszawie. Przyroda i użytkowanie*, red. J. Romanowski, Wydawnictwo UKSW, Warszawa 2016; M. Luniak, M. Dziadosz, *Przyroda parku Skaryszewskiego w Warszawie*, Centrum Promocji Kultury w Dzielnicy Praga Południe m.st. Warszawy, Warszawa 2021.

Bioróżnorodność parku Skaryszewskiego

Badania w tym parku wykonane społecznie (!) przez grupę 38 naukowców różnych specjalności są krajowym (europejskim?) precedensem tak kompleksowej inwentaryzacji przyrody śródmiejskiego terenu zieleni. Wykazały one znacznie ponad 1000 gatunków grzybów, roślin i zwierząt. Oznacza to co najmniej dziesiątą część bogactwa gatunków dzikiego życia w całym mieście. Stwierdzono tu m.in. ponad 130 gatunków grzybów wielkoowocnikowych (czyli tych „widocznych"), 45 gatunków porostów, 26 gatunków mchów, 162 gatunki i odmiany drzew i krzewów – najwięcej spośród wszystkich parków Warszawy. Wśród owadów zanotowano m.in. 23 gatunki ważek i 24 gatunki motyli dziennych oraz 26 gatunków biedronek. Ornitolodzy zaobserwowali regularne występowanie 54 gatunków ptaków. Jest to jedyny z warszawskich parków, w którym są dwa gatunki słowików (szary i rdzawy) i w maju można słuchać ich śpiewu. Atrakcją w parkowej faunie jest też rodzina bobrów zamieszkała na wysepce przy brzegu Jeziorka Kamionkowskiego. Wśród zwierząt tu występujących ponad 60 gatunków znajduje się na krajowych lub światowych czerwonych listach gatunków szczególnie zagrożonych. Bogate jest też życie wód parku. Badania jego przyrody nieożywionej wykazały, że stanowi on w miejskim otoczeniu wyspę „dobrego" klimatu. Oceniono też, że w pogodny weekend park odwiedza około 20 tys. osób, wprowadzając „na wyhasanie" ponad 600 psów. Spośród odwiedzających 24% deklarowało zainteresowanie przyrodą parku i przyjemność w przyjaznym obcowaniu z nią.

Uczestnicząc w 2005 roku w zespole konsultującym „rewaloryzację" parku Skaryszewskiego, zaproponowałem stworzenie tam „stref przyrody". Zostało to wprowadzone do projektu, który – choć nie doczekał się realizacji – dla mnie stał się początkiem zmagań (dotąd nieskutecznych) o takie „strefy" w warszawskich parkach. Po „rewaloryzacji" Ogrodu Krasińskich zasugerowałem stworzenie tam „strefy przyrody", co byłoby przynajmniej w niewielkiej części rekompensatą i odrodzeniem utraconych wartości przyrodniczych. Propozycja została przyjęta nadspodziewanie chętnie przez zarządzających terenami publicznymi miasta, zlecono projekty wykonawcze i odbyły się urzędowe narady na ten temat – w przychylnym klimacie. Sprawa była już na etapie końcowego zaawansowania, jednak autorka projektu „rewaloryzacji" (ach ten konserwatyzm projektantów zieleni!) wprowadziła zmiany przekreślające sens realizacji pomysłu. Wcześniej „rewaloryzowała" park Kępa Potocka, czego skutki zubażające awifaunę już opisałem.

Podobny był los kolejnej mojej propozycji stworzenia „strefy przyrody" w rewaloryzowanym w 2018 roku parku Herberta na warszawskich Bielanach – początkowo chętnie zaakceptowanej. Jednak ostatecznie przestrzeń tę w znacznej części przeznaczono na wybieg dla psów (też potrzebny). „Strefy przyrody" proponowałem również w rewaloryzowanym w 2016 roku parku Pole Mokotowskie i na urządzanym w 2019 roku bielańskim skwerze Jarnuszkiewicza.

Moje doświadczenia wskazują, że największy opór przed proekologicznymi rozwiązaniami podczas rewaloryzacji parków pochodzi głównie z konserwatyzmu

Stara wierzba przy parku Arkadia, niedawno zaliczona do „ważnych drzew Warszawy", fot. Elżbieta Kłos

zawodowego projektantów tych przedsięwzięć. Nie odczuwają oni potrzeby przyrody (nie lubią jej?) i nie mają wiedzy, jak jej sprzyjać. Może są tu też motywacje komercyjne: im więcej „sztuczności" i interwencji w naturę, tym bardziej opłacalny kosztorys. Natomiast lokalne społeczności chcą mieć przyrodę w parkach i domagają się tego coraz aktywniej. Wolą łąkę z naturalną roślinnością zamiast wystrzyżonych trawników i stare dziuplaste drzewa zamiast nowo posadzonych, ozdobnych – na ogół egzotycznych, więc jałowych ekologicznie. W 2021 roku znów zgłosiły się do mnie dwie lokalne społeczności mieszkańców warszawskich dzielnic Ursynowa i Mokotowa, chcące zachować w swojej okolicy dotychczasową naturalną zieleń dla rekreacji z przyrodą, zamiast narzucanego im „urządzenia" tam parków zapełnionych infrastrukturą.

Dotychczasowych niepowodzeń w promocji „stref przyrody" (rzeczywistych, a nie deklarowanych) w warszawskich parkach nie przyjmuję jako zniechęcającej porażki. Nieuchronnie nastaje „czas" (nastroje społeczne, względy ekologiczne i ekonomiczne) przyjaźniejszej przyrodzie gospodarki zielenią miejską. Widać to już w warszawskich parkach – od niedawna mniej jest brutalnego „obciosywania" drzew z „niepożądanych" gałęzi, częściej skraca się je tylko w końcowych odcinkach, co poprawia statykę drzewa (jest ono „bezpieczniejsze"), ale nie okalecza go. Bardziej szanuje się także stare drzewa, dawniej skazywane na wycięcie. Symbolicznym przykładem jest tu uratowanie starej wierzby koło parku Arkadia. Ze „skazańca" stała się jednym z głównych bohaterów niedawnego

zbiorowego projektu opisującego „drzewa ważne dla Warszawy”[65]. Udział w nim w 2020 roku dał mi podwójną satysfakcję. Po pierwsze, już wcześniej podziwiałem to drzewo i lobbowałem za jego „ułaskawieniem”, a po drugie – los tej wierzby jest symbolicznym znakiem nowego spojrzenia na zieleń miejską. W parkach pojawiły się leżące kłody, które są siedliskiem dla grzybów (szczególnie mikrogrzybów) i bezkręgowców, urozmaicają widok i służą publiczności. Ograniczono bezsensowne wygrabianie ściółki z opadłych liści. Najbardziej spektakularną zmianą jest zmniejszenie intensywności koszenia części trawników. Dzięki temu

Kwietna łąka przy dworcu Warszawa-Śródmieście

Przystanek autobusowy z zielonym dachem, na którym „samodzielnie” wyrosło przymiotno kanadyjskie

[65] P. Dunin-Wąsowicz i in., *Drzewa Warszawy*, Stowarzyszenie „Z Siedzibą w Warszawie”, Warszawa 2020.

Efektowny oset popłoch, oszczędzony przy koszeniu, jest ozdobą trawnika

zamieniają się one w naturalne łąki cieszące oko barwnością kwiatów i rojem odwiedzających je „zapylaczy” – trzmieli, pszczół, motyli i innych owadów. Przycichł hałas kosiarek – do niedawna stałe tło akustyczne warszawskiej zieleni. Coraz powszechniejsze są instalacje nawadniające zieleń i chroniące ją od zasolenia (także przez psy). Pojawiły się nawet zielone dachy na wiatach przystanków komunikacji miejskiej.

W tych zmianach w warszawskiej zieleni mam też swój udział. Miejski Zarząd Zieleni wydał w dużym nakładzie moją broszurę propagującą sprzyjanie dzikiemu życiu w parkach[66]. Już samo jej wydanie jest przejawem nowego nastawienia gospodarzy zieleni miasta, a szerokie upowszechnienie broszury, szczególnie w profesjonalnym kręgu miejskich ogrodników, spełnia rolę edukacyjną. Jedną z nowości wypromowanych w tej broszurze jest wprowadzenie w warszawskich parkach „warkoczy z chrustu”, których pomysł przywiozłem z Berlina. Tam chrust i opadłe gałęzie są składane w formie podłużnych ciągów. U nas to rozwiązanie było dotychczas nieznane, dlatego potrzebna była polska nazwa. Zaproponowałem „warkocze z chrustu” i to się przyjęło (również w urzędowych dokumentach), tak jak i sam pomysł. Stosowanie tych „warkoczy” daje kilka korzyści:

[66] M. Luniak, *Dzikie życie w parkach miejskich – jak mu sprzyjać*, Zarząd Zieleni m.st. Warszawy, Warszawa 2019.

- ekologiczną: martwa materia organiczna pozostaje w ekosystemie, tworzą się też siedliska dla zwierząt (bezkręgowców, jeży, ptaków);
- porządkową – można utrudnić dostęp publiczności tam, gdzie jest niepożądany, np. zablokować dziką ścieżkę – przedept;
- ekonomiczną – oszczędza się koszty usuwania i utylizacji parkowego chrustu.

„Warkocze" – mój import z Berlina – widuję coraz częściej w warszawskich parkach.

Przed 40 laty (ach ten uciekający czas!), gdy widziałem za granicą parki sprzyjające dzikiemu życiu, za każdym razem po powrocie do Warszawy „chorowałem", widząc u nas zupełnie nieracjonalne sprzeciwianie się przyrodzie w zieleni miejskiej. Cieszę się, że doczekałem czasu, gdy to zaczyna zmieniać się i pewnie niedługo będą też w warszawskich parkach „strefy przyrody", o które zabiegam od lat.

„Warkocz z chrustu" w głównym parku Berlina – Tiergarten

„Warkocz z chrustu" w parku Kępa Potocka na warszawskich Bielanach, fot. Magdalena Borek

Rozdział 22

WARSZAWSKIE SOKOŁY

Jedną z atrakcji ornitologicznych Warszawy, także medialnych, jest para sokołów wędrownych gniazdująca na Pałacu Kultury i Nauki lub – w niektórych latach – na którymś z okolicznych wieżowców. Przyczyniłem się do osiedlenia tych ptaków w Warszawie po wieloletniej ich nieobecności w mieście.

Od lat osiemdziesiątych XX wieku, gdy DDT objęto międzynarodowym zakazem, sokoła prawie wymarłego jako gatunek zaczęto przywracać przyrodzie przez osiedlanie ptaków z hodowli, głównie sokolniczych. Wtedy prof. Zygmunt Pielowski, mój kolega ze studiów (rozdział 10), ornitolog i sokolnik, zaproponował mi udział w osiedleniu tych ptaków w Warszawie, gdzie przestały występować od końca lat sześćdziesiątych. Był to krajowy program *Restytucja sokoła wędrownego*

Sokół wędrowny

główny bohater sięgającej starożytności tradycji polowania z ptakami „drapieżnymi", jest według naszych wyobrażeń uosobieniem wdzięku skrzydlatego drapieżcy. Zgrabna sylwetka, szybki i zwinny lot. Swoje ofiary (ptaki) dogania i chwyta w powietrzu szponami. Najczęściej przebywa gdzieś wysoko, z ziemią praktycznie nie ma kontaktu. Jego pierwotnym środowiskiem u nas w kraju były lasy i góry, ale zimą zaglądał też do miast, czego przykładem jest wzmianka w XIX-wiecznym podręczniku ornitologicznym[67]:

> W Warszawie od kilkunastu lat znana jest samica [sokoła wędrownego – ML], która w jesieni regularnie przybywa do miasta i przesiaduje po całych dniach na gzymsach kościołów: Świętokrzyskiego i Karmelitów na Krakowskim Przedmieściu; niezważając [pisownia oryg. – ML] wcale na wrzawę i hałas miejski [...], przed południem zwykle przynosi sobie gołębia, którego oskubuje i rozdziera wobec gromadzącego się pospólstwa miejskiego, tak chciwego wszelkiego rodzaju widowiska.

Sokół wędrowny nigdy nie był pospolity, jednak w latach pięćdziesiątych XX wieku jego światowa populacja przeżyła kryzys spowodowany zatruciami przez DDT, wtedy środek powszechnie używany przeciw szkodnikom, m.in. masowo w rolnictwie. Toksyny z DDT docierały do sokołów pośrednio – w ciałach ich ofiar, ptaków, które żywiły się skażonym ziarnem i zatrutymi owadami. Zatrucia przejawiały się zaburzeniami gospodarki wapniowej w organizmach sokołów, czego skutkiem były zbyt cienkie skorupki składanych jaj – nie wytrzymywały ciężaru wysiadującego ptaka. Wtedy na wiele lat sokoły wędrowne znikły z Warszawy, z całego kraju i z prawie całego światowego obszaru ich występowania.

[67] W. Taczanowski, *O ptakach drapieżnych w Królestwie Polskiem, pod względem wpływu, jaki wywierają na gospodarstwo ogólne*, Warszawa 1860, s. 89–95.

Sokół wędrowny na wieżowcu w warszawskim osiedlu Marymont, fot. Artur Mikołajewski

w Polsce pod egidą Polskiego Związku Łowieckiego. Wiosną 1996 roku trzy sokolęta dostarczone z sokolniczego ośrodka hodowlanego zostały umieszczone w dużej klatce – sztucznym gnieździe na dachu Centrum Bankowo-Finansowego (dawny Dom Partii) przy rondzie de Gaulle'a w śródmieściu Warszawy. Były to pięciotygodniowe dwie samiczki i samczyk, które nie wymagały już ogrzewania przez rodziców i karmienia „do dzioba". W tym sztucznym gnieździe sokolęta spędziły dwa tygodnie żywione i doglądane przez sokolników. Specjalna konstrukcja klatki pozwalała dorastającym ptakom obserwować miejskie otoczenie, ale osoba opiekuna była dla nich niewidoczna. To miało przyzwyczaić je do śródmieścia Warszawy jako ich rodzinnej okolicy, ale jednocześnie zapobiec oswajaniu się z bliskością człowieka i zanikowi naturalnego zachowania ptaków dzikich. Gdy młode sokoły dorosły do lotności, zostały (przy licznej obecności prasy!) wypuszczone „w miasto". Przez jakiś czas powracały do swojego sztucznego gniazda, gdzie korzystały z pożywienia. Po tygodniu samczyk został znaleziony zabity, ale z pozostałych dwóch samiczek jedna lub osobno obie były widywane w śródmieściu – już w pełni samodzielne. Okoliczności śmierci tego samczyka były szczególne: rozprawiał się ze zdobyczą (pustułką?) na dziedzińcu rządowej instytucji. Funkcjonariusze ochrony motywowani obroną ofiary przed napastnikiem zabili sokoła, później nie przyznając się do tego.

Wiosną następnego roku (1997) przy Pałacu Kultury pojawiła się para sokołów, a po obrączkach okazało się, że była to młodociana samica z naszej zeszłorocznej introdukcji i dorosły samiec wypuszczony w Niemczech. Sokoły dojrzewają do rozrodczości dopiero po trzech latach, więc ta para była pod tym względem niedobrana, mimo to odbyła cały rytuał godowy – oczywiście nadaremnie. Po roku (tj. wiosną 1998) te ptaki znów trzymały się małżeńsko przy Pałacu Kultury i nawet założyły gniazdo na „strychu" jego najwyższej części, dokąd dostawały się przez niezamkniętą (czyjeś niedopatrzenie) klapę dachu. Samica złożyła jedno jajko i troskliwie je wysiadywała. Jednak okazało się ono martwe – zapewne z powodu niedojrzałego wieku sokolicy. W kolejnym roku (wiosną 1999) w gnieździe były już cztery jaja, niestety przeziębione, bo ktoś zapewne niepokoił wysiadującą samicę. Ale podłożone pisklę z hodowli oboje rodzice pomyślnie wychowali. Dopiero czwartej wiosny, w 2000 roku, ta sama para już w pełni samodzielnie wychowała troje piskląt jako jedna z trzech znanych wtedy w Polsce.

Od tamtego czasu sokoły co roku odbywają lęgi na Pałacu Kultury lub na którymś z sąsiednich wieżowców. Obecnie (2021 rok), po 20 latach, w całym mieście są trzy gniazdujące pary sokołów oraz „wolne" ptaki upatrujące sobie nowe miejsca lęgowe, np. na praskim kościele św. Floriana. Poza Pałacem Kultury warszawskie sokoły gniazdują na kominach dwóch elektrociepłowni – w specjalnie zainstalowanych dla nich skrzynkach lęgowych, a jedna z par przez cztery lata okupowała loggię bloku mieszkalnego na bielańskim Marymoncie i nawet odbyła tam pomyślny lęg. Sokoły z lęgów w Warszawie osiedliły się też w kilku okolicznych miastach.

Nasz program osiedlenia sokołów w Warszawie spotkał się z zainteresowaniem mieszkańców miasta, mimo że same ptaki nie są zauważane. W prasie były (i nadal są) liczne relacje o nich, a w Internecie – transmisje z kamer umieszczonych w gniazdach. Odbywają się także publiczne obserwacje sokołów przez lunetę. Opublikowałem z moim współpracownikiem dr. Łukaszem Rejtem dwie popularne broszurki o sokołach[68] oraz artykuły naukowe[69] poświęcone restytucji tego gatunku w Warszawie.

Od kilkunastu lat działa też w Warszawie grupa FalcoFanów (od naukowej łacińskiej nazwy *falco* – sokół), miłośników tych ptaków, którzy monitorują ich występowanie w mieście, również pomagają im, m.in. instalując skrzynki lęgowe. Co roku w maju, gdy sokolęta wychodzą już z gniazda w śródmieściu Warszawy i są przy nim widoczne, FalcoFani z całego kraju odbywają tam swoje spotkanie połączone z publicznym obserwowaniem tych ptaków przez lunetę. Z wielką przyjemnością i wdzięcznością za zaproszenie (także za opiekę nad warszawskimi sokołami!) jestem tam corocznym gościem. Cel naszego programu został więc osiągnięty w pełni, a nawet znacznie przekroczony. Po prawie pół wieku nieobecności sokoły wędrowne zostały trwale osiedlone w Warszawie, a od 20 lat są tu zadomowione bardziej i liczniej niż kiedykolwiek, w dodatku cieszą się powszechnym zainteresowaniem i sympatią.

[68] M. Luniak, *Sokoły w Warszawie. Program reintrodukcji sokoła wędrownego w Warszawie*, Muzeum i Instytut Zoologii PAN, Warszawa 1997; M. Luniak, Ł. Rejt, *Sokoły w Warszawie. Sokół wędrowny i pustułka*. Muzeum i Instytut Zoologii PAN, Warszawa 1998.

[69] Przykładowo: M. Luniak, Ł. Rejt, *Reintrodukcja sokoła wędrownego* Falco peregrinus *w Warszawie*, „Notatki Ornitologiczne" 1998, nr 42, s. 282–286.

Ptak sokolniczy w kapturze, fot. Joanna Radziejewska

Sokolnictwo

Udział z ramienia Instytutu Zoologii w tym programie zetknął mnie bezpośrednio z sokolnictwem. Introdukowane przez nas sokolęta pochodziły z hodowli sokolniczej, a opieką nad nimi i nad późniejszymi lęgami sokołów w Warszawie zajmowali się głównie sokolnicy Janusz Sielicki i Grzegorz Dzik oraz ornitolog dr (wówczas mgr) Łukasz Rejt, mój współpracownik z Instytutu i doktorant. Jestem przeciwny sokolnictwu, tak jak innym rodzajom polowania – zabijaniu zwierząt w przyrodzie dla rozrywki (rozdział 12). W sokolnictwie dodatkowo potępiam więzienie ptaków (na „smyczy" lub w wolierze). Szczególnie ptaki „drapieżne" (a tym bardziej sokoły!) mają w swojej naturze latanie na dużych przestrzeniach. Pozbawianie ich tej możliwości jest łamaniem natury tych ptaków, nawet jeżeli zostały wychowane w niewoli. Do tego dochodzi udręka tresury łowieckiej i trzymanie ptaka w oślepiającym go kapturze (tzw. karnal). Niestety ostatnio rozpowszechnia się praktyka publicznych pokazów sokolniczych z ptakami (także sowami) szarpiącymi się na uwięzi. Mimo to pamiętam, że sokolnicy odegrali główną rolę w odrodzeniu populacji sokoła wędrownego u nas i na świecie, po krytycznym kryzysie gatunku spowodowanym przez DDT. Przekonałem się też wielokrotnie, jaką dbałością i nawet osobistą czułością otaczają oni hodowane przez siebie ptaki i z jaką pasją uprawiają to kontrowersyjne hobby. Niewolone ptaki sokolnicze, w większości już niezdolne do samodzielnego bytu, oczywiście nie przejawiają żadnego przywiązania w stosunku do swojego „pana". To jest obce ich naturze, inaczej niż np. u oswojonej kawki czy papugi. Sokolnictwo znajduje też zastosowanie do odpędzania ptaków w sytuacjach, gdy są niepożądane, np. na lotniskach (rozdział 20).

W Warszawie jest jeszcze inny ptak z rodziny sokołów – pustułka. Mniejszy (wielkości gołębia) od sokoła wędrownego i znacznie liczniejszy. Na miejskim obszarze Warszawy gniazduje kilkadziesiąt par, a w mojej dzielnicy – na Bielanach – jest ich kilkanaście. Zakładają gniazda najczęściej w niszach budynków, okienkach strychowych i stropodachach, ostatnio coraz częściej instaluje się dla nich specjalne skrzynki lęgowe (rozdział 19). Na peryferiach miasta polują przeważnie na drobne gryzonie i jaszczurki, a wśród zabudowy – na wróble oraz inne niewielkie ptaki. Na zimę większość warszawskich pustułek odlatuje, były stwierdzone m.in. na Węgrzech i we Włoszech. Z pustułką nie łączy mnie profesjonalne zaangażowanie, jak w przypadku sokoła wędrownego, ale jest mi bliższa niż wiele innych ptaków w warszawskiej awifaunie. Lubię obserwować zgrabne sylwetki tych ptaków w locie nad miastem i młode, które przed opuszczeniem gniazda siedzą szeregiem na skraju okienka strychowego lub skrzynki lęgowej, oczekując na rodziców przynoszących im nornika lub wróbla. W bliskiej okolicy mojego domu jest kilka gniazdujących corocznie par pustułek, więc jestem z nimi po sąsiedzku. A bliższą wiedzę, jak pustułkom w Warszawie układa się życie rodzinne i na co polują, zawdzięczam badaniom i pracy doktorskiej dr. Łukasza Rejta[70], której byłem promotorem. Natomiast panu Mariuszowi Grzeniewskiemu czasem asystuję przy kontroli gniazd pustułek i obrączkowaniu ich piskląt. Dzięki temu zaprzyjaźniłem się (jednostronnie) z tym niewielkim wdzięcznym sokołem, mniej znanym od swojego sławnego kuzyna – sokoła wędrownego, ale bardziej od niego zaznaczającym swoją obecność w krajobrazie miasta.

Pustułka, fot. Joanna Radziejewska

[70] Ł. Rejt, *Biologia lęgowa pustułki* Falco tinnunculus *w środowisku miejskim Warszawy*, rozprawa doktorska obroniona w Muzeum i Instytucie Zoologii PAN, Warszawa 2007.

Piękna sylwetka pustułki w locie, fot. Jörg Böhner

Młode pustułki przy gnieździe w okienku strychowym. Jeden z kilkunastu lęgów tego sokoła na warszawskich Bielanach

Rozdział 23

MIESZKAM Z DZIKIM ŻYCIEM

Od pewnego czasu, poza ogólnym zainteresowaniem przyrodą miasta, zwracam też uwagę na „dzikie życie" w moim najbliższym otoczeniu – w mieszkaniu i przy domu.

Naukowo i na co dzień interesuję się dzikim życiem, podziwiam je i staram się mu sprzyjać. Wycięcie drzewa, rozdeptanie „robaka", zastrzelenie dzika przyjmuję z wewnętrznym sprzeciwem, często boleśnie, ale też ze świadomością, że sam w tym uczestniczę zarówno w wymiarze całej cywilizacji, jak i osobistym, np. jedząc sandacza (pyszny!) wyłowionego z Wisły.

W mieszkaniu, czyli w moim codziennym i najbliższym otoczeniu, dostrzegalne dzikie życie jest skrajnie ubogie, bo jest to środowisko biologicznie jałowe, oddzielone od zewnętrznej przyrody. Widoczną częścią tej „mieszkaniowej

Dzikie życie

To termin coraz powszechniej przyjmujący się u nas za angielskim *wildlife*. Oznacza żywą część przyrody, na którą składają się m.in. trzy wielkie grupy (naukowo – królestwa) organizmów wielokomórkowych – grzyby (w tym pleśnie i porosty), rośliny (to także mchy i paprocie) oraz zwierzęta (w tym liczne grupy bezkręgowców, np. dżdżownice, ślimaki, pajęczaki, owady). W potocznym rozumieniu tego terminu pomijamy niedostrzegalny, ale wszechobecny (!) świat „mikrobów" – bo to jest już bardziej tło środowiskowe i sanitarne naszego otoczenia. Poza przyrodą ożywioną (właśnie tym dzikim życiem) jest też jej część nieożywiona – powietrze atmosferyczne, klimat, nasłonecznienie, geologia/gleby, wody i in. Otaczamy się też „życiem uprawianym" (np. kwietniki, uprawy ogrodowe, polne) i „hodowanym" (zwierzęta domowe, gospodarskie). Te uprawy i hodowle nie są częścią przyrody i jej naturalną różnorodnością, bo warunkiem ich egzystencji jest nasza trwała opieka nad nimi (wyhodowanie, pielęgnacja), czyli czynnik nienaturalny. Ale one także uczestniczą w lokalnym ekosystemie: natleniają atmosferę, wydychają CO_2, produkują i przetwarzają materię organiczną. Współegzystują z dzikim życiem, tworzą jego siedliska i oczywiście służą ludziom. W środowiskach zdominowanych przez człowieka – szczególnie w mieście, te dwie żywe części ekosystemu (dzika i uprawiana/hodowana) mieszają się i są współzależne. Na przykład drzewo posadzone jako „uprawa" stopniowo „wchodzi" w lokalną przyrodę – staje się coraz bardziej „dzikim życiem". Podobnie nowo założony trawnik – „uprawa", jeśli z czasem zasiedlą go dzikie rośliny i bezkręgowce – stopniowo przekształca się w „przyrodę". Ale już parkowe wiewiórki czy kaczki – mimo że karmione przez ludzi – są tą „przyrodą", bo osiedliły się samodzielnie i mogłyby tu żyć bez naszej pomocy, chociaż wtedy byłyby mniej liczne.

fauny" są sporadycznie zalatujące muchy – rozpoznaję domową i plujkę. W ciepłej porze roku liczniej pojawiają się (skąd?) muszki owocówki zwabione resztkami owoców – co najmniej dwa (?) gatunki różniące się wielkością. W suchych produktach spożywczych czasem znajduję larwy lub osobniki dorosłe mklika mącznego – mola spożywczego (zoologicznie bliski motylom), zapewne przyniesione (jako jajka? larwy?) z zakupami. Mole ubraniowe są teraz rzadkością, bo wełnę w tekstyliach zastępują tworzywa sztuczne i bawełna. Od szarawego mklika mącznego (mola spożywczego) ten ubraniowy różni się mniejszymi rozmiarami i złocistym ubarwieniem. W kurzu domowym, dywanach, pokryciach tapicerskich, pościeli żyją licznie roztocze – niedostrzegalnej wielkości pajęczaki, jestem więc tylko świadomy ich obecności. Przyznaję, że wymienionym współmieszkańcom jestem niechętny i staram się ich pozbywać (wypędzać, zabijać). Przed wieczornymi wizytami komarów z ogródka chronią mnie siatki w oknach. Na szczęście nie mam w mieszkaniu innych niepożądanych lokatorów – karaluchów, pluskiew, myszy czy szczurów, chociaż z tymi ostatnimi łączą mnie szczególne związki (rozdział 10). Znam osobę, która toleruje wizyty szczurów w swoim domku, a w każdym razie po złapaniu wynosi je i wypuszcza.

Natomiast życzliwy stosunek mam do rybików cukrowych, które okresowo i nielicznie pojawiają się w łazience. Są to małe (kilka milimetrów) podłużne owady, bezskrzydłe, więc ich obecność ogranicza się do podłogi. W stanie naturalnym żyją głównie w jaskiniach krajów o ciepłym klimacie. W naszych mieszkaniach szukają miejsc z wilgocią – widać łazienka im odpowiada. Zastanawiam się, w jaki sposób, nie latając, mogą co jakiś czas wprowadzać się do mnie, na ogół na krótko, bo prawdopodobnie są zdobyczą „domowych" pająków. Te jednak też nie są moimi stałymi rezydentami, mimo że sympatyzuję z nimi. W łazience widywałem długonogiego nasosznika trzęsia, a przy oknie lub częściej na balkonie czasem rozpina sieć krzyżak, bywają też różne inne – mniejsze. Jednak rzadkość pojawiania się much i rybików sprawia, że moje mieszkanie chyba nie jest dla pająków atrakcyjnym terenem łowieckim. W ciepłej porze roku z balkonu okresowo do kuchni docierają mrówki, długą trasą przez mieszkanie. Specjalistka oznaczyła je jako hurtnice czarne. Nie są gośćmi licznymi i kłopotliwymi, więc staram się (jednak bez przesady) oszczędzać je przy sprzątaniu odkurzaczem.

Znacznie więcej żywej przyrody mam na balkonie (mieszkam na piętrze). Są tam skrzynki kwiatowe, w większości z ziołami (zwykle 6–8 gatunków) o zastosowaniu kulinarnym, oraz donica, w której co roku hoduję słonecznik zwykle osiągający wysokość powyżej mojego wzrostu. Przy tych uprawach „samorodnie" (a więc jest to dzikie życie) pojawiają się rośliny – „chwasty". Najwięcej wśród nich jest gwiazdnicy i babki, które wykorzystuję do surówek, stosownie do aktualnej mody na „dziką kuchnię". Do roślin w skrzynkach przylatują różne owady – „zapylacze", więc to „życie uprawne" służy „dzikiemu", z wzajemnością. Rozpoznaję pszczoły, zapewne z miejskich pasiek na Bielanach, ale pewnie są też dzikie, których w Warszawie żyje wiele gatunków, przylatują też muchy i inne muchówki, także bzygi – podobne do os, ale nieżądlące. Stałymi gośćmi są trzmiele – najczęściej ziemny, rozpoznałem też kamiennika (?). Regularnie pojawiają się motyle – głównie rusałka pawik, rzadziej jakiś bielinek (rzepnik? kapustnik?) i beżowy przestrojnik. Po zmierzchu widuję różne ćmy (to nocne motyle). Przed ich (także komarów) wizytami w mieszkaniu chroni mnie siatka. Wśród upraw skrzynkowych szczególnym powodzeniem owadów-zapylaczy cieszy się lebiodka – popularna przyprawa oregano. Na tym ziole, kiedy w lipcu jest ono obficie obsypane drobnymi kwiatkami, stale uwija się po kilku amatorów jego nektaru/pyłku. Równie często odwiedzane są lawenda, bazylia, mięta i słonecznik w donicy, ten zwłaszcza przez trzmiele. Na jego liściach żyją liczne mszyce, do których z kolei przychodzą mrówki. One penetrują także cały balkon, łącznie ze stolikiem, na którym zaglądają, co czytam i co przegryzam do herbaty. Zainteresowanie daniami na tarasie okazują też patrolujące osy. Wbrew powszechnym obawom, niezaczepiane nie są agresywne. Jesienią, usuwając zawartość balkonowych skrzynek, znajduję zakopane w nich żołędzie – to zapasy zimowe sójek.

Na balkonie ze słonecznikiem, fot. Joanna Radziejewska

Słonecznik zwabia trzmiele

Skrzynka kwiatowa z „samodzielną” przyrodą

Poza skrzynkami z ziołami mam na tarasie jeszcze jedną, która jest samodzielną wysepką przyrody. Przed kilkunastu laty po napełnieniu ziemią zostawiłem ją bez żadnych zabiegów – od tamtego czasu nie podlewam jej, nie wymieniam ziemi, zostawiam na zimę i zupełnie nie wtrącam się do tego, co tam rośnie. Wiosną pojawiają się w niej różne zioła i trawy, kiełkują też nasiona z okolicznych sosen i dąbki z żołędzi ukrytych przez sójki. Jednak te rośliny później usychają, bo skrzynka (niepodlewana) jest w silnym nasłonecznieniu. Natomiast znakomicie czują się w niej mchy i rozchodniki, których różne gatunki wymieniają się w kilkuletnich okresach. Znajduję przyjemność w obserwowaniu przemian tego dzikiego życia, które samo się tu osiedliło i pomyślnie trwa mimo niekorzystnych warunków.

Od późnej jesieni i zimą na moim balkonie pojawiają się ptaki zwabione poczęstunkiem, który im oferuję. Jako przyrodnik uważam, że dokarmianie dzikich zwierząt nie jest potrzebne, bo uzależnia je od człowieka i zmienia ich naturalne zwyczaje. Są częścią przyrody i powinny same dawać sobie radę, również w głodowym kryzysie zimą. Jednak ze względów społecznych aprobuję powszechny u nas zwyczaj przydomowego i parkowego karmienia ptaków, wiewiórek, jeży i innych dzikich zwierząt, bo to stwarza przyjazny i atrakcyjny kontakt z nimi. Dlatego wbrew (!) pryncypiom przyrodnika, zimą serwuję ptakom poczęstunek, i to daje mi przyjemność ich bliskiego towarzystwa. Od wielu lat, od czasu, gdy zamieszkałem na Bielanach, miałem wizyty 19 gatunków ptaków, wśród których stałymi gośćmi są amatorzy różnych diet:

- ziaren słonecznika: sikory bogatka i modra, mazurek, dzwoniec, grubodziób, czyż,
- słoniny i mięsa: wrona, sroka, sikory, dzięcioł duży,
- przekrojonych jabłek: kos, kwiczoł, szpak, sójka,
- rodzynków rozsypanych na tarasie: to danie specjalne dla kosa, który przylatuje o świcie, gdy nie ma jeszcze innych ptaków.

W różnych latach odwiedzali mnie także rzadsi karmnikowi goście – jemiołuszka, gil, jer, sikora sosnówka. Natomiast nigdy przy karmniku ani nawet przy domu nie było wróbli – na Bielanach widoczny jest ich kryzys. Każdy gatunek ma swoje zwyczaje biesiadne, np. sikory pospiesznie chwytają ziarnka słonecznika i rozdziobują je gdzieś dalej na gałęzi, grubodziób flegmatycznie rozłupuje ziarna na miejscu, blokując na dłużej dostęp do karmnika, dzwońce natomiast wszczynają kłótnie między sobą. Najgorsze zachowanie przy stole ma kwiczoł, który wykładane jabłka obejmuje w wyłączne posiadanie na cały sezon i agresywnie odpędza innych amatorów diety owocowej. Ustępuje tylko zbiorowemu wtargnięciu szpaków, gdy wygłodzone przylecą na przedwiośniu. Jedynymi gośćmi niechętnie widzianymi na moim balkonie są gołębie miejskie, których właściwe miejsce widzę na blokowym podwórku.

Kosa częstuję rodzynkami

Czyże (samiec i samica) przy karmniku

Kwiczoł nie dzieli się z nikim „swoim” jabłkiem

Sikory przy wodopoju w ogródku

W przesuszonym miejskim środowisku **woda jest potrzebna nie mniej od dokarmiania** – głównie ptakom, ale także jeżom i różnym owadom (m.in. pszczołom). Oczywiście powinna być czysta i często zmieniana, wystawiona w płytkim naczyniu o brzegach umożliwiających łatwy dostęp. Niedogodne są do tego różne miski, bo ptakom i innym zwierzętom trudno utrzymać się na ich wygiętych brzegach. W ogródku mam wodę w dużej kuwecie fotograficznej z zanurzoną w niej spadzistą deseczką lub patykiem – dla ułatwienia ptakom dostępu. Z tego wodopoju regularnie korzystają sikory, sroki, wrony, gołębie grzywacze i kosy. Wrony przynoszą kawałki zeschniętego chleba i jedzą go po namoczeniu. Mądre ptaki, ale zanieczyszczają wodę. Wymieniam ją często, pamiętając, że już po kilkunastu dniach mogą wylęgać się w niej larwy komarów – też dzikie życie, ale niepożądane.

Dokarmianie ptaków

Nawet z najlepszą intencją dokarmianie ptaków szkodzi im, jeśli nie uwzględnia, że:

- pokarm nie powinien być solony (a większość naszych potraw solimy) lub zepsuty, np. spleśniały chleb, zjełczały tłuszcz,
- nie powinno się przerywać stałego dokarmiania w danym miejscu w ciągu całej zimy, bo zwierzęta uzależniają się od tej pomocy i spodziewają się jej niezawodności,
- miejsce karmienia trzeba utrzymywać w czystości sanitarnej (odchody!), bezpieczne przed kotami, także przed płoszeniem przez psy i ludzi,
- gdy dokarmiamy ptaki poza karmnikiem, nie powinno to powodować ich skupisk i konfliktów między nimi. Dobrze jest rozrzucać pokarm na większej przestrzeni, nie należy też wrzucać go do wody „na zapas”, np. karmiąc kaczki czy łyski, bo to ją zanieczyszcza.

Niestety na osiedlowych podwórkach widuje się pleśniejący i gnijący chleb albo jest on wysuszony czy w dużych kawałkach, które ptakom trudno rozdziobać.

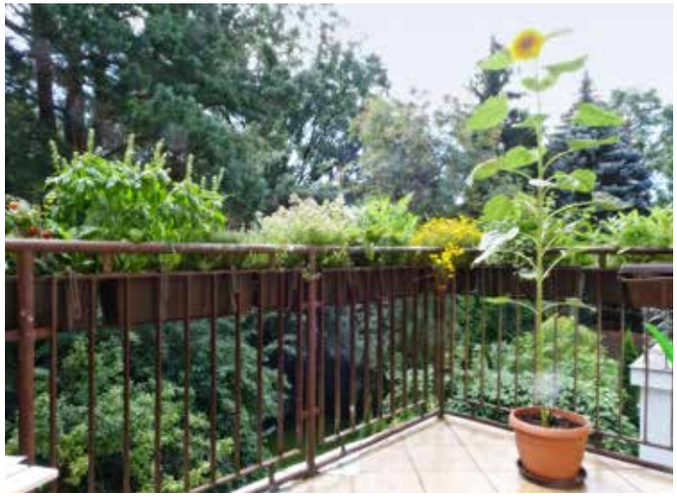

Widok z balkonu to wspaniała zieleń drzew w sąsiedztwie. Króluje tu stary dąb (200 lat? co on widział przez ten czas?) i wiekowe sosny. W niektórych okolicznych ogródkach posadzono też świerki, które odkąd wyrosły, zakłócają harmonię przyrodniczą i estetyczną sosnowego zadrzewienia. Lubię to otoczenie, bo drzewa, obok ptaków, są dla mnie najbardziej dostrzegalnym pięknem żywej przyrody miasta. Są trwałym (w skali naszego czasu i krajobrazu) jej tworzywem, ale też dynamicznym – bo rosną i zmieniają się w ciągu roku. Mają indywidualność jak ludzie – każde jest inne. A ptaki ożywiają ich obecność ruchem i głosem.

Mój mały ogródek przy domu ma zieleń bardziej „dziką" niż na większości sąsiednich posesji, na których dominują pielęgnowane trawniki, uprawy kwiatowe i tuje. Te egzotyczne krzewy-drzewa (właściwa polska nazwa – żywotnik), import z Ameryki Północnej, stały się w całym kraju standardem nowych ogrodów. Są użyteczne jako „bezobsługowa" całoroczna zasłona od ulicy i sąsiadów. Jednak pod względem wartości przyrodniczej – to prawie plastik i dysharmonia w stosunku do rodzimej roślinności, a estetycznie – wszechobecny banał. W tych ogródkach po sąsiedzku najczęściej widzę (i słyszę) strzyżenie trawników do gładkości boiska piłkarskiego. Do mojej uliczki nie dotarła jeszcze zmiana (przyłożyłem się do niej – rozdział 21) od niedawna wprowadzana w warszawskiej zieleni. Coraz więcej trawników zmienia się w „łąki" z naturalnym runem, pięknie kwitnące. Mój kawałek zieleni, od którego oddziela mnie zamieszkanie na piętrze, ma tworzyć zielone otoczenie wymagające jak najmniej pielęgnacji. Traktuję go nie jako dekorację domu, a jako coś, co cieszy mnie swoim życiem. Nie mam więc celebrowanego trawnika, nie podlewam, nie wygrabiam opadłych liści. Rozrastają się tu: kiepsko owocująca grusza, „dziki" krzak aronii, łany barwinka i bluszczu, a pod sosną duży płat pięknie kwitnących fiołków. Ten barwinek i fiołki tworzą wiosną dwa błękitne dywany kwiatków. Wzdłuż ogrodzenia wegetują w skąpym nasłonecznieniu róże rodzimych odmian – dzika (*canina*) i pomarszczona (*rugosa*). Zabytkiem z przeszłości jest trzepak, który kiedyś bardziej służył dziecięcym wyczynom gimnastycznym Magdy z rówieśnikami niż swojej właściwej funkcji.

Zauważalnymi zwierzętami bezkręgowymi w ogródku są oczywiście mrówki i różne zalatujące owady, bywają też komary – niepożądane. Widoczna jest obecność ślimaków, szczególnie licznych odkąd nie ma polujących na nie jeży. Rozpoznaję trzy pospolite gatunki: ślimaka zaroślowego z kulisto-stożkową muszlą oraz „nagie" – ślinika i pomrowca. Są żarłocznymi konsumentami ogródkowych roślin i opadłych gruszek, czego nie mam im za złe.

W skrzynce lęgowej na sośnie co roku gniazduje para szpaków (o nich będzie niżej), a w innej, już u sąsiadów, w różnych latach sikory bogatki lub modraszki. To moi stale widywani i słyszani najbliżej „mieszkający" skrzydlaci sąsiedzi. Poza nimi w ciepłej porze roku w bliskim otoczeniu domu regularnie widuję i słyszę kilkanaście gatunków ptaków. Co roku gniazdują tu wrony, sroki, sójki, gołębie grzywacze, sierpówki, kosy i pokrzewki kapturki. W okresie wiosennych i jesiennych wędrówek pojawiają się rudziki, piegże oraz muchołówki – żałobna i szara. Siedząc na balkonie, lubię patrzeć na jerzyki ożywiające niebo od maja do sierpnia, a czasem widzę też zgrabną sylwetkę sokoła pustułki – którejś z kilku par gniazdujących w okolicy (rozdział 22).

Szpaki zajmujące skrzynkę w ogródku są sąsiadami, których obecność dzieli mój rok na dwa sezony. Ten „ze szpakami" zaczyna się na początku marca, gdy któregoś ranka zjawia się samiec i porannym śpiewem zawiadamia, że właśnie przyleciał z zimowiska i zajmuje skrzynkę. Wkrótce dołącza do niego samiczka

Szpak w ogródku jest moim najbliższym skrzydlatym sąsiadem

(a może to są różne zmieniające się?). Obserwuję utarczki z innymi szpakami – konkurentami do przejęcia skrzynki, pewnie także partnerki. W miarę nastawania wiosny samczyk koncertuje coraz bardziej zapamiętale. Jego śpiew to mieszanina pogwizdywań, swoistego „parkotania" i naśladowania różnych innych dźwięków, których gdzieś nauczył się (np. śpiewu wilgi, skrzypienia drzwi) – szpaki są zdolnymi naśladowcami pod tym względem (rozdział 3). W kwietniu para znosi do skrzynki materiał na gniazdo. Wtedy miewam ich wizyty na balkonie – obskubują świeżo posadzone zioła. Zastanawiam się, po co im to „umajenie" w ciemnej skrzynce? Wkrótce zaczynają wysiadywanie – wtedy samiec przebywa i śpiewa przy skrzynce przez większość dnia. Na początku maja wykluwają się pisklęta, co rozpoznaję po tym, że rodzice przylatują co chwila z pożywieniem w dziobie. Słychać też szczebiotanie, coraz głośniejsze w miarę jak maluchy dorastają. Po pewnym czasie z otworu skrzynki wychyla się głowa któregoś z dorastających szpaczków. W drugiej połowie maja niepewnym lotem opuszczają gniazdo. Wtedy w okolicy pojawiają się rodzinne grupy, a później stadka szpaków w jesiennym upierzeniu, mniej efektownym od wiosennego. W sierpniu i wrześniu samiec znów przylatuje śpiewać przy pustej skrzynce – zaznacza swoje prawo własności na przyszły sezon. We wrześniu, do połowy października szpaki dużym stadem odwiedzają winogrona w sąsiednich ogrodach i wówczas wysłuchuję ich zbiorowych koncertów. Później czasem pojawiają się tylko nieliczne grupki tych, które zdecydowały się zostać na zimę. Wtedy para „moich" szpaków pewnie buszuje w sadach zachodniej lub południowej Europy albo nawet gdzieś „za morzem".

W ciepłej porze roku po zmroku i nocą czasem nad ogródkiem latają nietoperze, sądząc po wielkości – dwa gatunki. Większe to prawdopodobnie mroczki późne, a mniejsze – to jakieś karliki. Wieczorami na ulicy, rzadko w ogródku, widuję też przemykającą kunę (wdzięczne zwierzątko!), a w końcu lata nocą słychać jej/ich skrzekliwe piski godowe. Gdy kuna odwiedza blokowy śmietnik, koty zachowują się wobec niej z respektem, mimo że są większe i u siebie. Do niedawna były też jeże, ale zagospodarowanie sąsiednich ogródków wyeksmitowało je. Czasem spotkam jakiegoś tuptającego o zmroku na okolicznych uliczkach. Dla jeży robię przejścia w ogrodzeniu, a jesienią w ustronnym kącie koło kompostu składam niewielką stertę chrustu – miejsce do zimowania, jednak dotychczas nie zauważyłem, żeby któryś skorzystał z tego zaproszenia. Niechcianymi, ale na szczęście rzadkimi gośćmi mojego ogródka są koty przychodzące z sąsiedztwa – sympatyczne, ale to obcy przyrodzie drapieżcy, którzy nawet jeśli nie polują, to powodują u ptaków stres.

Zupełnie osobny i bogaty świat dzikiego życia tworzy ogrodowy kompost – naturalna przetwórnia domowych i ogrodowych resztek organicznych, który używam jako jedyny nawóz zasilający zieleń. W tej wielostopniowej przemianie przywracającej materię organiczną ekosystemowi, poza niezauważalną gołym okiem mikrofauną i mikrogrzybami, uczestniczą m.in. dżdżownice, stonogi, wije, różne muszki i inne bezkręgowce. Roją się, gdy poruszyć kompost patykiem. Na

Nasz kot Agent ma swoje miejsce pod starą sosną

Flora betonowego zjazdu do garażu – okazała nawłoć znosi przejazd samochodu

ścieżce wiodącej do kącika kompostowego jest granitowa płytka z napisem upamiętniającym kota Agenta, naszego wieloletniego domownika (rozdział 1), który przeistacza się tu w dzikie życie gleby zasilającej rosnącą obok wiekową sosnę.

Od strony ulicy mam betonowy zjazd do garażu. Stopniowo kolonizują go dwa (?) gatunki mchów, a na śladowych osadach gleby w szczelinach i wgłębieniach zjazdu wyrastają wątłe trawy i zioła. Ela rozpoznała wśród nich kilkanaście gatunków. Poza wszędobylskimi mniszkiem i babką, są tu m.in.: kuklik, nawłoć, chłodek drobny, szczawik zajęczy, pępawa dwuletnia, z traw – wiechlina, a od niedawna wyrastają też siewki tuj i winorośli. Zadziwia mnie, jak mimo braku podłoża glebowego rozwija się tu tak różnorodna flora. Przejazdy (rzadkie) mojego samochodu niewiele jej szkodzą. Kiedyś zaprzyjaźniony sąsiad, czyszcząc do gołego betonu podobny wjazd do swojego garażu, zrobił życzliwie taką przysługę również mnie. To cofnęło o kilka lat zaawansowanie dzikiego życia, ale ono znów stopniowo powróciło – przyroda nie obraża się. W samym garażu spotykam niekiedy dużego pająka kątnika i długonogie pajęczaki – kosarze.

Rozdział 24

ZMIANY WOKÓŁ MNIE

W ciągu ponad ośmiu dekad mojego życia świat zmienił się pod wieloma względami, co miało wyraz też w codzienności mojego najbliższego otoczenia.

Gdy dorastałem w latach powojennych, bytową codziennością było gotowanie na kuchni węglowej, palenie w piecach, a w Świdrze w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku – noszenie wody z ręcznej pompy przy domu i toaleta („sławojka") na dworze. Radio (w czasie okupacji groziła za nie śmierć) pojawiło się w naszym domu, gdy byłem w wieku licealnym (1949 rok), telewizor i lodówka – w czasie studiów (koniec lat pięćdziesiątych). Kolorową telewizję, którą oglądałem w Kanadzie w 1969 roku, w domu mieliśmy 10 lat później. W Kanadzie spotkałem się też wtedy z powszechnie używanymi kartami płatniczymi – dla mnie zupełną nowością. U nas rozpowszechniły się w użyciu dopiero po prawie 30 latach. Zaawansowana domowa automatyka pojawiła się w naszym domu jako pralka na początku lat osiemdziesiątych, a jako zmywarka w latach dziewięćdziesiątych.

Gdy byłem w szkole podstawowej, pisało się piórem ze stalówką, maczanym w kałamarzu – dziś to przedmioty znane tylko z literatury. W liceum były już „wieczne pióra" (teraz są ekskluzywnym gadżetem), a przed maturą w naszej klasie pojawiły się pierwsze długopisy, nazywane wtedy „piórami kulkowymi".

Wielkie zmiany zaszły też w możliwościach ubierania się. W naszym (z bratem Sławkiem) dzieciństwie podczas okupacji i w pierwszych latach powojennych mama szyła dla nas ubrania i przerabiała te, z których wyrastaliśmy. Jako zmorę tamtych lat pamiętam obowiązek cerowania swoich pończoch. Wówczas nosili je także chłopcy, a były one bardzo nietrwałe. Kto dziś ceruje skarpetki? Potem mama nauczyła nas szyć, co dotychczas lubię robić. We wcześniejszym okresie PRL (lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąta) problemem było kupno względnie modnego i pasującego ubrania, co dzisiaj trudno sobie wyobrazić. Tak więc w okresie licealnym i studiów, żeby „jakoś" wyglądać, poprawialiśmy ze Sławkiem spodnie na bardziej dopasowane. Później, gdy oferta odzieżowa była już normalna, szyłem „coś dla siebie" już bardziej dla przyjemności niż z potrzeby.

Podoba mi się rewolucja, jaka na moich oczach zaszła w damskiej modzie. Panie (również starsze) zaczęły powszechnie nosić spodnie lub obcisłe leggingsy – łamiąc odwieczną tradycję kobiecego stroju. Ostatnio te damskie spodnie miewają „pokazowe" dziury na kolanach i wystrzępienia nogawek. Nie jest to skutek zużycia ubioru, a zamierzony zabieg producenta lub właścicielki. Wolę widzieć w warszawskim metrze odsłonięcia dekoltowe (też modne!) współpasażerek niż

ich kolana wystające z dziurawych spodni. Natomiast u panów ubiór stał się swobodniejszy, co niekiedy graniczy z niedbalstwem. Ogólnie jednak ten „luz" odpowiada mi – zwłaszcza ograniczenie roli garnituru, marynarki, krawata i wyprasowanych „kantów" w spodniach.

Osobnym zjawiskiem jest kariera dżinsów wywodzących się z amerykańskiego ubrania roboczego i sportowego (*blue jeans*). W czasach PRL nazywane „farmerkami" były snobistycznym wyrazem „zachodniego" stylu, za którym starałem się wtedy podążać. Teraz są najpopularniejszym (także u pań) rodzajem spodni, nawet na eleganckie (!) okazje. Teraz ta ich powszechność zraża mnie – wolę coś indywidualnego niż „mundur". Ale czy jakiś inny strój roboczy tak kiedyś awansował, rozpowszechnił się i wszedł na salony?

W moim dzieciństwie podstawą indywidualnego transportu były pojazdy konne (wozy, dorożki), także riksze rowerowe i różne „ręczne" wózki. W latach powojennych stopniowo wyeliminowała to motoryzacja. Dołączyłem do niej w 1961 roku motocyklem WSK 125, a potem skuterem Osa 175. Pierwszy samochód, Fiata 126p – „malucha" mieliśmy na początku lat osiemdziesiątych. Otrzymaliśmy go z państwowego rozdzielnika po „nierynkowej" cenie. Wtedy, gdy zamieszkaliśmy na Starych Bielanach, na naszej uliczce stało tylko kilka samochodów, obecnie jest ich zwarty sznur konkurujących o miejsce do parkowania. Na szczęście mam „własne" przy wjeździe do garażu.

Jestem też świadkiem (ale nie uczestnikiem) wielkiej zmiany obyczajowej w paleniu papierosów. Dawniej było ono powszechne i sprzyjające kontaktom towarzyskim. Tata w różnych sytuacjach (m.in. z Niemcami w czasie okupacji) rozpoczynał rozmowę od poczęstowania papierosem. Dziś palenie staje się wstydliwe, a nawet dyskryminowane. Gdy pierwszy raz spotkałem się w USA z zakazem palenia w komunikacji publicznej, pomyślałem, że to jakieś amerykańskie dziwactwo, obce naszym zwyczajom. Inną zmianą „socjalną" jest koniec ery trzepania dywanów, dawniej stałej części życia podwórkowego. Odkurzacz wyparł trzepaczkę i szczotkę do zamiatania.

Dożyłem też błogosławieństwa rewolucji dokonanej przez cyfrową technikę elektroniczną. Otworzyła nowy świat komunikacji, pracy twórczej, dostępu do wiedzy, także kultury i rozrywki wcześniej zupełnie niewyobrażalny. Nasza mama, pracując w księgowości, posługiwała się liczydłem z przesuwanymi rzędami drewnianych guzików. W 1975 roku przywiozłem sobie z Danii elektroniczny kalkulator – chyba pierwszy w naszym Instytucie. Komputer pojawił się w naszym domu w 1994 roku. Rozstałem się wtedy z maszyną do pisania (wspominam ją z sentymentem!), na której przez prawie pół wieku mozolnie, z kopiami przez kalkę, wystukiwałem setki stron manuskryptów i korespondencji. Nastał wszechwiedzący Internet, zastępujący „papierowe" źródła wiedzy (jednak nadal gromadzę je w bibliotece) i komunikujący ze światem – nawet w formie „kieszonkowej" (smartfon). Powszechna telefonia komórkowa zastąpiła bezpośrednie kontakty personalne, dawniej spełniane przez wzajemne, również niezapowiadane, wizyty.

Teraz takie „zaskoczenia” są nietaktem. Telefon komórkowy zmienił zwyczaje bezpośredniego obcowania. Widuję pary/grupy osób, spacerujące czy siedzące w kawiarni, a ktoś/każdy z nich jest zajęty swoim telefonem. Trudno mi przyzwyczaić się do takiego „wyłączania się” w sytuacji towarzyskiej, zdarza się to nawet przy rodzinnym stole. Technika IT w ciągu mniej niż jednego pokolenia owładnęła (i bardzo wzbogaciła!) wszystkie dziedziny naszego życia. Korzystam zaledwie z małej części jej udogodnień, a moje pogłębiające się zapóźnienie w jej lawinowym postępie jest miarą starzenia się.

Zaszły też zmiany w języku. Obok „normalnej” jego ewolucji pojawiły się twory „nowomowy”. Epoka PRL, gdy ze względów politycznych lansowany był język rosyjski, zostawiła rusycyzmy, np. nieudacznik, naturszczyk (artysta bez profesjonalnych kwalifikacji), chałtura, bukwa. Paradoksalnie po upadku PRL rozpowszechniono rusycyzm „sowiecki” zamiast dotychczasowego polskiego terminu „radziecki”. Natomiast pod wpływem „zachodniego wiatru” ostatnich dziesięcioleci przyszła moda na stosowanie terminów angielskich również tam, gdzie jest odpowiednie polskie słownictwo, np. managing director, public relations, destynacja (kierunek wyjazdów turystycznych), zrobić deal, record/rekord jako „zapis”, podczas gdy w polszczyźnie mamy to słowo w innym znaczeniu. Oczywiście pojawił się cały, oparty na angielszczyźnie, kompleks słownictwa związanego z elektroniczną techniką cyfrową. Cenię praktyczną użyteczność przyjętych u nas angielskich skrótów, np. OK, CD, IT, PR czy Wi-Fi. Trzeba tu jeszcze wspomnieć o efekcie językowym naszego kulinarnego otworzenia się na świat. Nie mieliśmy dawniej grilli, burgerów, pielmieni, pho (pyszna wietnamska zupa), kilkunastu nazw różnych rodzajów włoskich makaronów. Gdy w 1969 roku w Kanadzie poczęstowano mnie pizzą, ta nieznana nazwa rozśmieszyła mnie. Dziś to nasza niemal codzienna potrawa.

Inną wielką zmianą, która zaszła za mojego życia, było wypełnienie otoczenia (i świata) przez sztuczne tworzywa – „plastik”. Obecnie trudno mi sobie wyobrazić brak ich codziennej wszechobecności (coraz bardziej nadmiernej!). A przecież pół swojego życia spędziłem w świecie bez plastiku.

Ten postęp cywilizacyjny, którego byłem świadkiem i uczestnikiem, sprawił, że moje życie stało się wygodniejsze i bardziej interesujące, a działania – skuteczniejsze. Ale on też zwiększa rygory nadążania w umiejętnościach i w dysponowaniu czasem.

Rozdział 25

CIEKAWOSTKI, KTÓRE MI SIĘ ZDARZYŁY

25/1. W Czarnobylu

Samo miasto, od którego wziął nazwę głośny kompleks nuklearny, leży daleko od niego i nadal jest w nim „normalne” życie. Natomiast strefa wykluczenia („zona”) dawnej elektrowni jądrowej obejmuje m.in. miasto Prypeć, dawniej kilkunastotysięczne, zbudowane wraz z elektrownią dla jej pracowników.

W „zonie” Czarnobyla byliśmy z Elą wiosną 2016 roku podczas „ptasiej” wycieczki na ukraińskie Polesie. Po katastrofie 26 kwietnia 1986 roku na najsilniej skażonym obszarze 2,6 tys. km^2 (czyli pięć razy większym niż Warszawa) wokół elektrowni wysiedlono całą ludność i zaprzestano wszelkiej działalności gospodarczej, nawet eksploatacji lasów. „Zona”, poza samym kompleksem nuklearnym, objęła m.in. wspomniane miasto Prypeć, okoliczne wioski z terenami rolniczymi i lasami oraz przyległy odcinek Dniepru. Gdy tam byliśmy, trwały prace międzynarodowej ekipy przy gigantycznym sarkofagu „Arka” utrzymane w specjalnym reżimie. Kilka miesięcy później ta konstrukcja pokryła blok feralnego reaktora 4, nadal „gorącego”. Pilotowani (ze względu na skażenia!) przez przewodnika

Przy wjeździe do Czarnobyla, fot. Elżbieta Kłos

Sarkofag „Arka” i blok feralnego reaktora 4

Wyludnione miasto Prypeć pokrywa się dziką zielenią. W głębi elektrownia i budowany sarkofag „Arka”

– uczestnika tragicznych wydarzeń – chodziliśmy po wyludnionym od 30 lat mieście, widząc jak z jezdni na jednej z głównych ulic[71] wyrastają drzewa, a na podwórza bloków mieszkalnych weszło naturalne runo. W kloszu ulicznej latarni zobaczyliśmy gniazdo sójki, a w pustej hali budowanego przed 30 laty kolejnego reaktora gniazdujące pustułki. W zbiorniku wody chłodniczej reaktora pływały dorodne ryby oczekujące poczęstunku, chronione surowym zakazem połowu (skażone!). Pokazał się nam m.in. wielki sum.

Jednak to miasto bez ludzi jest jałowym betonowym siedliskiem, niegościnnym dla dzikiego życia. Szczególne wrażenie robią puste mieszkania w blokach. Natomiast wsie, zarastające bujną roślinnością, stają się powoli lasem,

[71] Ulica Igora Kurczatowa – uczonego wsławionego radzieckimi badaniami nuklearnymi.

wchodzącym na dawne pola uprawne. Aktualne ślady ludzkiej ręki było widać tylko w wiejskich cerkwiach, choć również popadających w ruinę oraz na cmentarzach, które wolno odwiedzać w dniu zmarłych. Na tym bezludziu żyją nieliczni „samosielcy”. Powrócili oni do swoich domostw i półlegalnie dożywają starości w prymitywnych warunkach, odcięci od cywilizacji. Jednego z nich odwiedziliśmy, wspomagając żywnością i składką pieniężną. Po dwóch dniach pobytu w „zonie” przy jej opuszczaniu przechodziliśmy (także nasz busik) dokładną kontrolę radiologiczną, która nie wykazała niepokojącego napromieniowania.

W tej okolicy zwiedziliśmy też dawny radziecki ośrodek gigantycznego systemu radarowo-radiowego „Duga”. Stumetrowej wysokości ściana anten, ciągnąca się na przestrzeni kilometra, była w czasach Związku Radzieckiego strategicznym „uchem Moskwy”. Cały ten dawniej ściśle tajny i niedostępny kompleks z obiektami wojskowymi dziś jest opuszczony i pilnuje go tylko stróż przy bramie. Cmentarzysko niegdyś najbardziej zaawansowanej techniki wywiadu.

Podczas tygodniowej bytności w Ukrainie tylko w „zonie” spotkaliśmy zwierzynę łowną – cietrzewia i klępę łosia z maluchem. Uchowały się tu przed powszechnym w tym kraju kłusownictwem.

Dwa dni spędzone w „zonie” unaoczniły mi, że przyroda chętnie zajmuje miejsce po ludziach, ale opuszczony przez nich krajobraz jest (w naszych oczach!) żałosny.

Opuszczona wieś w „zonie wykluczenia”

25/2. Chiny – Tama Trzech Przełomów

Jeden z najbardziej spektakularnych kontrastów cywilizacyjnych pamiętam z Chin. Zobaczyłem go wiosną 1997 roku na budowie słynnej Tamy Trzech Przełomów rzeki Jangcy. To największe w historii ludzkości przedsięwzięcie hydrotechniczne na rzece wzbudziło światową krytykę ze względu na przewidywane skutki ekologiczne i humanitarne. Powstanie Tamy miało spowodować (i to już się stało) zalanie ludnego obszaru Kotliny Syczuańskiej z jej historycznymi zabytkami, a także zmiany w ekosystemie rzeki, m.in. odcięcie tarlisk licznych gatunków ryb (np. olbrzymich jesiotrów). Uczestniczyłem, jako jedyny z ówczesnego bloku komunistycznego, w międzynarodowym sympozjum w Chinach, którego dodatkowym celem było oswajanie z tą inwestycją opinii światowego środowiska przyrodników. Po właściwym pobycie konferencyjnym w Pekinie odbyliśmy dwudniowy spływ statkiem około 700 km rzeką Jangcy z miasta Chongqing (trzecie w Chinach pod względem zaludnienia), m.in. przez odcinek Trzech Przełomów – malowniczych „zwężeń" rzeki wśród gór. Przestrzeń wodna Jangcy na tamtym odcinku to co najmniej dwukrotność Wisły w Warszawie. Prawie nie było na niej ptaków, za to płynęły kożuchy styropianu i śmieci, nawet większe przedmioty. Budowa tamy koło miasta Yichang zbliżała się wtedy do zakończenia jej głównego etapu, co planowano za kilka miesięcy jako celebrację jakiejś uroczystości państwowej.

Ta budowla, z częścią podwodną, ma wysokość warszawskiego Pałacu Kultury (185 m), długość ponad 2 km i spiętrza rzekę na odcinku ponad 600 km. Z platformy widokowej zobaczyliśmy wyrobisko, w którym na wielkiej przestrzeni, wśród najbardziej nowoczesnego sprzętu do robót ziemnych i ciężarówek gigantów, uwijały się setki robotników dźwigających kosze z ziemią uwieszone

Przed wejściem do cesarskiego Zakazanego Miasta w Pekinie z Davidem (Hongkong), naszą opiekunką Zhou i Nickiem (Wielka Brytania), Pekin, 1997 rok

Moje nazwisko w chińskiej pisowni

na pałąku niesionym na karku (nasza nazwa takiego nosidła to koromysło). Surrealistyczne zderzenie ówczesnej zaawansowanej techniki końca XX wieku z reliktem świata bosych kulisów.

Do Pekinu odlecieliśmy z Wuhan – najbliższego miasta z lotniskiem pasażerskim, nie spodziewając się, że stanie się ono głośne jako kolebka światowej pandemii COVID-19. Poza tym Chiny zapamiętałam jako kraj bez ptaków, ale z niebojaźliwymi szczurami. Obserwowałem je jako przyrodę miasta, z zainteresowaniem i sympatią, wzbudzoną wspomnieniami z mojej przeszłości w Laboratorium DDD (rozdział 10).

25/3. Loty balonem i szybowcem

Patrząc na latające ptaki, szczególnie gdy krążą w locie szybowcowym (np. żurawie, myszołowy, orliki, orły), można zastanawiać się, jak one stamtąd oglądają nasz świat „na ziemi". Tego wrażenia nie daje widok z okienka samolotu. Podczas wczasów w Tunezji w 2006 roku odważyłem się na przelot nad morzem paralotnią holowaną przez motorówkę, ale napięcie nerwowe, jakie przy tym przeżywałem, nie pozwoliło mi czuć się mewą.

Spodziewałem się, że podobieństwo ptasiej perspektywy można mieć z balonu lub szybowca, które (jak mi się wydawało) lecą cicho i powoli. Wypróbowałem obie te możliwości oglądania ziemi z wysokości. Lot balonem odbyliśmy w 2009 roku z Magdą i Philippem (nie był jeszcze moim zięciem) na dystansie około 30 km z okolicy Serocka pod Warszawą. Rzeczywiście jest to spokojne „płynięcie" na wysokości szybującego orlika, bezgłośne, gdy nie jest włączony huczący palnik podgrzewający powietrze wypełniające balon. Ptaki na poziomie balonu nie reagują na niego, natomiast budzi on zaniepokojenie zwierząt na ziemi – widziałem panicznie uciekającą sarnę i krowy spłoszone na pastwisku, a psy we wsi zaczęły szczekać. Ziemię ogląda się znakomicie, w szerokiej perspektywie otwartej po horyzont.

Przed startem naszego balonu

W ciasnej kabinie szybowca, fot. Elżbieta Kłos

Zupełnie inne jest wrażenie z lotu szybowcem. Lataliśmy z Elą w 2017 roku, każde osobno, oczywiście jako pasażerowie, nad moją dzielnicą – Bielanami, startując z pobliskiego lotniska Babice. Nie ma w takim locie nic ze spokoju i komfortu balonu. Start i nabieranie wysokości za wyjącym samolotem, niewygodne unieruchomienie ze spadochronem w ciasnej kabinie, ograniczony widok – praktycznie tylko na boki. Z ziemi wydaje się, że szybowiec płynie po niebie bezgłośnie i majestatycznie, a w rzeczywistości ma szybkość bliską 100 km/godz. To powoduje we wnętrzu głośny szum, szczególnie przy otwartym wywietrzniku. Podczas lotu nie zauważyłem spłoszenia wron i mew, które mijaliśmy. Natomiast znane są katastrofy szybowców w Alpach, gdzie orły odpędzały intruza od swoich rewirów.

25/4. Kolacja z małpami

W 1978 roku dostałem zaproszenie na światowy kongres ornitologiczny w Berlinie Zachodnim. Dla obywatela PRL było to wtedy politycznie najgorsze miejsce – uważane za gniazdo zachodnich wywiadów i rewizjonizmu w stosunku do naszej powojennej granicy z Niemcami. W PAN odmówiono mi paszportu (jedyny raz, kiedy mnie to spotkało!) na ten wyjazd pod niedorzecznym pretekstem, że miałem zaproszenie od Niemieckiego Towarzystwa Ornitologicznego z Republiki Federalnej Niemiec, a ówczesny Berlin Zachodni nie był przez PRL uważany za część tego państwa. Mimo to podjąłem starania. Dowiedziałem się, że do Berlina wybiera się delegacja radziecka z zadaniem zaproszenia następnego kongresu do Moskwy. Spełnienie tego dyplomatycznego polecenia było niepewne wobec konkurencyjnej propozycji z Belgii i niechętnego stosunku Zachodu do Związku Radzieckiego – to były czasy zimnej wojny. Zapowiedź obecności w Berlinie delegacji radzieckiej była dla mnie mocnym argumentem w staraniu o paszport. Napisałem do znanego mi ze spotkań w Moskwie prof. Walerija Iliczewa, który był wszechmocnym politycznym „carem" radzieckiej ornitologii i miał być szefem delegacji do Berlina. Wiedząc o powierzonej mu misji zaproszenia następnego kongresu do Moskwy, zapewniłem go, że „polska delegacja" (taką rolę przypisałem sobie) poprze starania radzieckiej i poprosiłem o wyrażenie takiego oczekiwania w oficjalnym piśmie. To poskutkowało.

W Berlinie czułem się zobowiązany do wspierania Iliczewa. Okazało się to rzeczywiście potrzebne wobec jego słabej angielszczyzny i braku znajomości z zachodnimi ornitologami. W przeddzień sesji, na której miała zapaść decyzja, organizatorzy kongresu wydali uroczystą kolację. Odbyła się ona w obszernej małpiarni (!) berlińskiego zoo, gdzie rozstawiono stoliki i zapowiedziano, że gdy o określonej porze zwierzęta zasną, będzie to sygnał zakończenia spotkania. Małpy przez cały czas bacznie obserwowały naszą biesiadę i zapewne chciałyby w niej uczestniczyć, ale nie były zaproszone. Gdy kolacja dobiegała końca, jakby wyczuły sytuację i jak na komendę skulone zasnęły, co oczywiście uszanowaliśmy.

W czasie tej kolacji Walerij rozpoczął swoją misję, w czym mu towarzyszyłem. Chodziliśmy od stolika do stolika z butelką rosyjskiej (a właściwie – radzieckiej) wódki i – nalewając ją obficie do opróżnionych kieliszków po winie – lobbowaliśmy za kongresem w Moskwie. On robił to z desperackim zaangażowaniem, motywowany potencjalnymi konsekwencjami zawalenia państwowego polecenia, a może też z rosyjskiej żywiołowej natury. Nazajutrz, po ostrej dyskusji w antyradzieckim tonie (a wczoraj wódkę Iliczewa pili chętnie!), z minimalną przewagą przegłosowano Moskwę jako miejsce przyszłego kongresu. Kontrowersje wywołała m.in. sprawa udziału Izraela, nieuznawanego wówczas przez Związek Radziecki, ale stanęło na nieoficjalnym udziale izraelskich ornitologów. Byłem w 1982 roku na tym moskiewskim kongresie, zorganizowanym oczywiście z radzieckim zadęciem. Po rozpadzie Związku Radzieckiego Walerij stracił pozycję „cara" ornitologii i znikł z rynku publikacji naukowych.

Berlin (Zachodni) w tamtym czasie znacznie różnił się od obecnego. Po pustych jezdniach głównej przelotowej arterii (dziś Strasse des 17 Juni – to data zamachu na Hitlera), przegrodzonej granicznym murem przy Bramie Brandenburskiej, swobodnie kicały dzikie króliki, niedawno upamiętnione znakomitym filmem *Królik po berlińsku*[72]. Monumentalny Reichstag (też przy granicy) straszył pustką i zniszczeniami wojennymi. W pobliżu była platforma widokowa umożliwiająca wgląd ponad murem do Berlina NRD, a przy niej ostrzeżenie: „Wchodzisz na własne ryzyko". Oczywiście „zaryzykowałem". Kontrola pociągu na granicznym dworcu Friedrichstrasse przed wjazdem do Berlina Zachodniego była operacją z psami i oglądaniem pasażerów z każdej strony. Obecnie ekspres z Warszawy, którym jeżdżę do Magdy, nawet nie zatrzymuje się na tym dworcu, wówczas będącym granicą między dwoma tak różnymi światami.

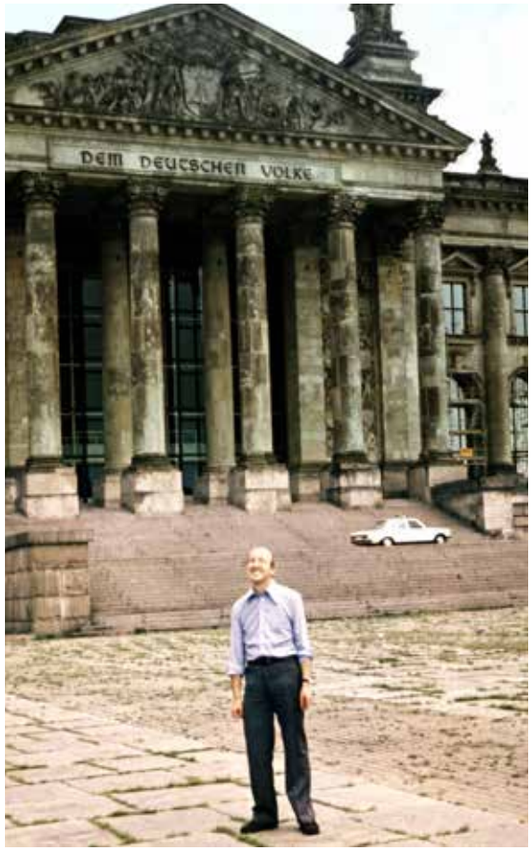

Przed opustoszałym Reichstagiem, Berlin, 1978 rok, fot. Ludwik Tomiałojć

[72] *Królik po berlińsku*, reż. Bartosz Konopka, nominacja do Oskara dla najlepszego krótkometrażowego filmu dokumentalnego w 2009 roku.

25/5. Spotkania z gadami.

Z tą mało komunikatywną grupą zwierząt niewiele miałem do czynienia. Podczas okupacji w Warszawie kiedyś w ulicznej sprzedaży pojawiły się żółwie, podobno rozkradzione z jakiegoś bałkańskiego transportu (dokąd?). Jeden z nich znalazł się w naszym domu, ale nie spełnił nadziei na partnera dziecięcych zabaw. Później w czasie praktyki studenckiej w Puszczy Kampinoskiej (rozdział 9) w trakcie obchodów mysich pułapek często spotykaliśmy żmije. Nigdy nie miałem z ich powodu niebezpiecznej sytuacji – traktowałem je z sympatią i przekonaniem, że tutaj należy się im ustąpienie z drogi. Natomiast znam przypadek, kiedy ktoś świadomie dał się ukąsić kampinoskiej żmii, by uniknąć poboru do wojska, gdy ta służba była jeszcze obowiązkowa. Wolał ponieść konsekwencje zdrowotne. Teraz od dawna już nie widziałem żmij w Puszczy – jest to głównie skutek bezsensownego tępienia ich przez „miłośników" przyrody tego parku narodowego.

Miałem natomiast dwa inne bardzo szczególne spotkania z gadami. W 2008 roku odwiedziłem Magdę odbywającą staż szkoleniowy w USA i oboje wybraliśmy się na Florydę, do Parku Narodowego Everglades znanego m.in. jako światowa ostoja aligatorów. Obserwowaliśmy je tam wielokrotnie, mając na uwadze ostrzeżenie o konieczności zachowania bezpiecznego dystansu przy spotkaniach. Pewnego dnia, wracając z długiej pieszej wędrówki, szliśmy groblą wśród wyrastającej z topieli gęstwy namorzynów. I tu drogę zagrodził nam wylegujący się na ścieżce wielki aligator. Zawrócenie oznaczałoby kilkukilometrowe powtórzenie przebytej trasy. Zrobiliśmy zdjęcia i czekaliśmy, aż gad zechce zwolnić przejście, ale nie reagował na naszą obecność. Zaczęliśmy więc ostrożnie zbliżać się do

Aligator zagrodził nam drogę

Bielik amerykański – pierwowzór godła USA, Park Narodowy Everglades

Sępnik na kempingu zainteresowany moim aparatem fotograficznym

niego, licząc, że nasze nogi, dłuższe niż jego, zapewnią bezpieczną ucieczkę. Na szczęście okazało się, że obawa aligatora przed nami była większa niż nasza przed nim (a może był uprzejmy?), toteż niechętnie zwlókł się ze ścieżki w krzaki i dalej chlupnął między namorzyny.

Z Parku Narodowego Everglades zapamiętam też sępy (sępniki czarne) buszujące na stołach kempingu Flamingo i spotkania ze wspaniałym bielikiem amerykańskim, wiernie przedstawionym w godle USA. Szkoda, że nasze państwowe godło, abstrakcyjny „orzeł biały", nie ma pierwowzoru w przyrodzie, bo całkowicie niesłusznie wskazuje się tu na bielika. Przecież ten rybojad zupełnie nie ma sylwetki ani „białości" naszego godła, a w klasyfikacji ornitologicznej nie jest orłem. Natomiast Niemcy w swoim godle dość wiernie wzorowali się na prawdziwej postaci orła, np. przedniego.

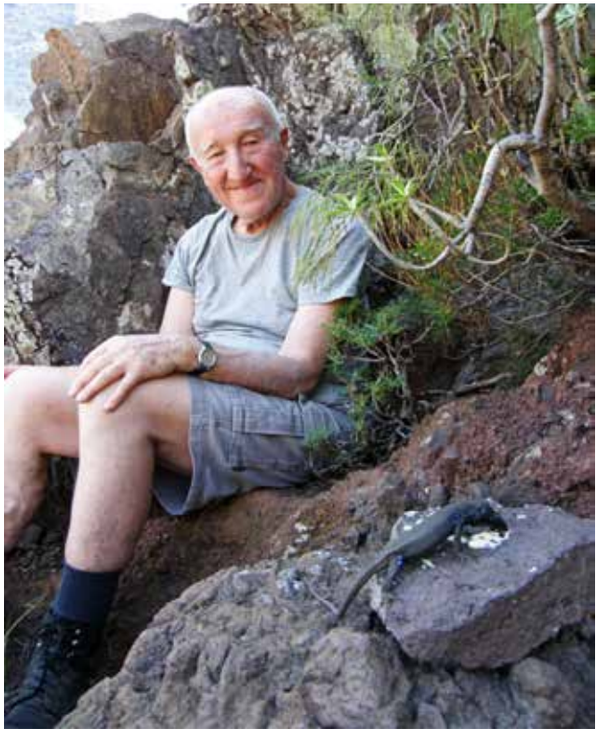

Podzieliłem się serkiem z kanaryjską jaszczurką, fot. Magda Luniak

Drugie szczególne spotkanie z gadami to był zadziwiający mnie do dziś wspólny posiłek z jaszczurkami. Latem 2010 roku byliśmy z Magdą na kanaryjskiej wyspie La Gomera, wyróżniającej się od innych w tym archipelagu mniejszą frekwencją turystów i bogatą przyrodą – góry, park narodowy z pierwotnym lasem laurowym. Podczas górskiej wycieczki usiedliśmy na popas pod wątłym drzewkiem, nie bardzo chroniącym przed słonecznym żarem. Wyjąłem kanapkę z topionym serem, zachowaną z hotelowego śniadania, i położyłem obok siebie. Po chwili spośród kamieni wyszła spora jaszczurka, śmiało skierowała się do kanapki i zaczęła wyjadać z niej ser, którym oczywiście ją poczęstowałem. Wkrótce pojawiła się też druga, w tym samym celu. Podobna sytuacja powtórzyła się na innym postoju, gdy już schodziliśmy (pamiętam moje skrajne wyczerpanie) z góry.

To spotkanie z kanaryjskimi jaszczurkami zadziwiło mnie pod kilkoma względami. Nie wykazywały żadnej obawy przed człowiekiem, podczas gdy nasze jaszczurki są płochliwe, podobnie jak te, z którymi „mieszkałem" podczas mojego pobytu w Tucson w amerykańskiej Arizonie (rozdział 21). Do tego skąd ich apetyt na topiony serek – produkt zupełnie im nieznany w odludnej górskiej okolicy? I dlaczego od razu przybiegały do niego – czy zwabiał je zapach? Herpetolodzy (specjaliści od gadów) w Warszawie nie odpowiedzieli mi na te pytania.

25/6. Dama z tchórzofretką

W informacjach muzealnych i publikacjach na temat słynnego obrazu Leonarda da Vinci *Dama z łasiczką* czasem nazywanego *Dama z gronostajem* jest błąd zoologiczny rażący każdego, kto chociaż trochę zna się na czworonogach. Zwierzątko, które tuli na obrazie renesansowa piękność, zupełnie nie może być żadnym z tych wymienionych w polskich nazwach dzieła. Zarówno łasiczka, jak i gronostaj są znacznie mniejsze, niż to wynika z proporcji na obrazie. Nigdy też nie były hodowane jako zwierzęta domowe. Nie ma natomiast wątpliwości, że dama na obrazie wybrała sobie do wspólnego portretu fretkę, która jest właśnie takiej wielkości, a była w ówczesnej Italii rozpowszechniona jako domowy myszołap oraz pomocnik w polowaniu na króliki. Obecnie również u nas coraz częściej trzyma się w domach fretki (tchórzofretki), czyli udomowione tchórze.

Mieliśmy w domu taką tchórzofretkę przez kilka lat, gdy Magda była w szkole podstawowej i to był jej ulubiony partner zabaw. Fredzio (samiczka!) trafił do nas pośrednio z hodowli, gdzie czekał go zły los z powodu „nie takiej" jakości futerka. Mieliśmy go od małego i został pozbawiony płci, żeby nie „pachniał" piżmem. W domu cieszył się pełną swobodą, ograniczoną jedynie zakazem wchodzenia do lodówki, pralki i zmywarki, na co trzeba było uważać, bo interesowały go wszelkie ciemne wnętrza („nory"). Jako główne miejsce do spania wybrał sobie zakamarek za szufladą w szafce kuchennej, którą sam otwierał, ale nie zamykał. Poza tym lubił zakopywać się na płasko w pościeli lub pod różnymi nakryciami (czyli „w norze") – trzeba było uważać, żeby na nim nie usiąść. Gdy ktoś wychodził spod prysznica, Fredzio czekał, żeby oblizywać mokre stopy. Załatwiał się w jakimś kącie na rozkładanych dla niego gazetach – pod tym względem bywał kłopotliwy. Z psami, nawet dużymi, skutecznie dawał sobie radę błyskawicznym ukąszeniem w nos.

Fredzio przy kuchennej szufladzie, za którą miał legowisko

Magda z naszą tchórzofretką Fredziem

Na spacery Magda zakładała Fredziowi uprząż zrobioną specjalnie dla niego. Kiedyś jednak wybrał się na samodzielną wycieczkę. Skoczył/spadł z balkonu na pierwszym piętrze do naszego ogródka, co było wyczynem niezgodnym z jego dotychczasowymi zwyczajami. Zanim zbiegłem na dół, Fredzio prześlizgnął się przez ogrodzenie do sąsiadów. Gdy poszedłem do nich, Fredzio był już w następnym ogródku i w ten sposób wędrował wzdłuż całej ulicy. Ja nie nadążałem za nim, tym bardziej że za każdym razem musiałem wyjaśniać cel mojej wizyty kolejnym zdziwionym sąsiadom. Sukces tej pogoni zawdzięczam srokom, które towarzyszyły Fredziowi, skrzecząc nad nim i pozorując ataki, czym wskazywały mi miejsce, gdzie przebywał. Bez takiego „namiaru" to zwinne zwierzątko przemykające się wśród zieleni ogródków byłoby nie do odnalezienia.

Fretka jest zwierzęciem terytorialnym (jak kot), a nie stadnym (jak pies), więc Fredzio dobrze znosił rozstania z nami, ale znalazłszy się w nowym miejscu lub powróciwszy na dawne, musiał zadomowić się i nie był towarzyski. Bardzo go lubiliśmy. Jeśli ktoś chce mieć czworonożnego domownika mniej zobowiązującego od psa, a bardziej inteligentnego i zabawniejszego niż świnka morska – może to być fretka (a nie żadna „łasiczka" czy „gronostaj" z obrazu mistrza Leonarda!).

25/7. Straszenia i kuszenia

W czasach PRL wyjazdy zagraniczne, z wyjątkiem wczasowych nad Morze Czarne do Bułgarii lub Związku Radzieckiego, były pod specjalnym nadzorem w aspekcie „politycznym" (tu zamierzony cudzysłów), począwszy od starań o paszport. W takim kontekście słyszało się wtedy, że ktoś „został na Zachodzie". Wyjeżdżałem wielokrotnie za granicę na spotkania naukowe, odbyłem też, wysłany przez PAN, kursy językowe w Moskwie (1966 rok) i w Anglii (Bournemouth, 1972 rok), ale z jednym wyjątkiem, opisanym w części *Kolacja z małpami*, nie miałem problemów, poza dewizową i biurokratyczną normalnością. Nigdy nie brałem pod uwagę ewentualności „zostania" za granicą ani pracy tam poniżej swoich kwalifikacji, wtedy intratnej w krajach „dolarowych". Natomiast wyjazdy wczasowe „na Wschód" były zwyczajowo „handlowe" – od nas „ciuchy" (dżinsy!) i kosmetyki, a stamtąd biżuteria, fotooptyka, domowy sprzęt mechaniczny, np. sokowirówki. Do Egiptu – jedynego dostępnego wczasowo kraju pozaeuropejskiego – wywoziło się koszule non-iron (ówczesna nowość) i grzałki, a przywoziło biżuterię.

Przy wyjazdach zagranicznych często towarzyszył mi cień „niby polityki", na szczęście bez konsekwencji, a przynajmniej mi znanych. Już podczas wyjazdu do Kanady w 1969 roku (rozdział 20), gdy byłem pierwszy raz na Zachodzie, wywiady w audycjach dla Polski i prelekcja w Instytucie Polskim znacznie wspomogły mnie finansowo, ale były na granicy ryzyka. W konsulacie w Montrealu ostrzeżono mnie, że „zanim coś powiem publicznie – będzie to już wiadome w Warszawie". Na szczęście sprzyjała mi apolityczność tematów – ptaki i przyroda. Przy okazjach tych wystąpień podczas obiadów z panem Sypniewskim (Radio Kanada) i prof. Romerem (Instytut Polski) miałem rozmowy nieprzyjazne wobec PRL i propozycje „zostania". Później spotykało mnie to jeszcze kilkakrotnie z innymi osobami. Był to czas, kiedy nieliczni przyjeżdżający z „komunistycznej" Polski stanowili atrakcję i traktowano ich jako potencjalnych uchodźców. Znaczna część ówczesnej emigracji to było starsze pokolenie o skrajnie negatywnym nastawieniu do PRL. Podobne propozycje „zostania" spotkały mnie w Berlinie Zachodnim (1978 i 1980 rok). Jedno z nich to było sympatyczne zaproszenie od nieznajomego starszego pana – Niemca na obiad w dobrej restauracji (skorzystałem). Tam też „ułatwienie" w „zostaniu" zaproponowała mi miła osoba z recepcji kongresu ornitologicznego. Zrewanżowałem się „suwenirem z Warszawy" – czekoladą Wedla.

W Londynie bywałem w klubie „starej emigracji" (Ognisko Polskie?), skąd przywoziłem „bezdebitową" literaturę łatwiejszą do przemycenia niż „świerszczyki" z golizną, gorliwie odbierane przez celników. Jako zapewne jeden z pierwszych w kraju miałem (i zachowałem jako pamiątkę) premierowe wydanie *Archipelagu GUŁag* Sołżenicyna (YMCA Press, Paryż 1973) po rosyjsku – gdy ta książka nie była jeszcze przetłumaczona na inne języki. Wziąłem ją wtedy na obóz wędrowny do czytania przy niepogodzie. Już pierwsze rozdziały zrobiły na mnie takie wrażenie, że nie mogłem dostosować się do wczasowej atmosfery i uciekłem do

Przy piramidach w Gizie, gdzie byłem tłumaczem grupy turystycznej, 1972 rok

Warszawy, żeby spokojnie dokończyć lekturę. Dziś jesteśmy oswojeni z tą tematyką, ale wtedy była ona dla mnie szokującą nowością.

W 1972 roku byłem w Egipcie jako tłumacz z językiem angielskim wycieczki turystycznej ówczesnego biura Juventur. Towarzyszący grupie „opiekun", nie ujawniając swojej funkcji, straszył mnie wówczas konsekwencjami w kraju, gdy w Kairze odwiedzałem naszego egipskiego przewodnika w jego domu.

Po którymś z tych wyjazdów miałem w Warszawie spotkanie z panem ze „służb". Banalna rozmowa skończyła się bez dalszych kontaktów – prawdopodobnie nisko ocenił moją przydatność, pewnie mając już opinię od „kogoś" w Instytucie. Natomiast tu „cień" padł na mnie podczas współpracy z Centralnym Zarządem Lotnictwa Cywilnego dotyczącej kolizji samolotów z ptakami (rozdział 19). Wtedy kontaktowałem się z pułkownikiem Ślepeckim zajmującym się w Zarządzie Lotnictwa bezpieczeństwem lotów, m.in. zabezpieczeniem przed kolizjami z ptakami. Składałem mu sprawozdania z zagranicznych spotkań europejskiej organizacji do spraw takich kolizji (Bird Strike Commitee Europe), na których reprezentowałem Polskę. W tamtych czasach w Instytucie były tylko „przywiązane" telefony stacjonarne, dlatego moje rozmowy z pułkownikiem słyszano i rozumiano (zupełnie niesłusznie!) w sposób, z którego wtedy nie zdawałem sobie sprawy. Po latach, gdy okazało się, że nie ma mnie na listach „TW" (tajny współpracownik), usłyszałem złośliwą uwagę: „Pewnie miałeś życzliwego oficera prowadzącego, który wiedział, co zrobić z twoją teczką". Naprawdę nigdy nie podpisałem, ani nie spełniałem żadnych „takich" zobowiązań.

Do tej kategorii doświadczeń zaliczam też epizod z przyznanym mi przez władze PAN Złotym Krzyżem Zasługi. W „kadrach" Instytutu zupełnie niespodziewanie

powiadomili mnie, że „dziś o godzinie…” mam stawić się w Pałacu Kultury do dekoracji tym odznaczeniem. Przyjąłem tę decyzję, nie wiedząc, że wcześniej były w Instytucie odmowy przyjęcia tego lub podobnych wyróżnień z motywacją „żadnych zaszczytów od tej władzy”. Był rok 1988 – schyłkowy już czas PRL, zaogniony napięciami niedawnego stanu wojennego. Nagłość powiadomienia sprawiła, że na uroczystość dekoracji poszedłem tak, jak byłem w pracy – w obwisłym swetrze. Profesor U., przypinając mi do niego odznaczenie, skomentował mój niestosowny ubiór: „Panie docencie, a kiedyś pana widziałem w eleganckim garniturze”. W Instytucie nie spotkałem się z krytyką za to nieświadome złamanie solidarności.

25/8. „Unhappy end” Medalu im. Wiktora Godlewskiego

W 1991 roku do Instytutu zgłosił się dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Bogutach-Piankach (wówczas powiat Ostrów Mazowiecka). Prosił o pomoc naukową w zorganizowaniu uroczystości 160-lecia urodzin Wiktora Godlewskiego, XIX-wiecznego przyrodnika pochodzącego z tej miejscowości, tam pochowanego i pamiętanego.

Zaangażowałem się z ramienia Instytutu w tę celebrację pamięci Godlewskiego obchodzoną przez Ośrodek Kultury w Bogutach-Piankach. Z tego zrodziła się inicjatywa medalu jego imienia przyznawanego osobom lub instytucjom za zasługi dla ochrony i poznawania przyrody. W skład Kapituły Medalu im. Wiktora Godlewskiego, której członkiem byłem w latach 1992–2009, weszli przyrodnicy, historycy oraz lokalni działacze. Wśród nich ze szczególnym uznaniem zapamiętałem pana Jerzego Żochowskiego, rolnika z Bogut – znawcę historii regionu i zapalonego jej badacza. Na posiedzenia kapituły spotykaliśmy się w Instytucie, natomiast coroczne wręczanie odznaczenia odbywało się na uroczystych sesjach w Bogutach, z licznym udziałem miejscowej publiczności. Laureatami w ciągu kilkunastu lat było ponad 45 osób, stowarzyszeń i instytucji z całego kraju, także

Wiktor Godlewski (1831–1900)

Był w okolicy Ostrowi Mazowieckiej zarządcą ziemskim, ale amatorsko zajmował się ornitologią, współpracując z ówczesnym warszawskim Gabinetem Zoologicznym (rozdział 11). Za udział w powstaniu styczniowym został skazany na katorgę we wschodniej Syberii. Tam był towarzyszem i bliskim współpracownikiem Benedykta Dybowskiego, wybitnego przyrodnika również przebywającego na zesłaniu. Wraz z nim prowadził badania syberyjskiej przyrody, m.in. wsławili się pionierską eksploracją jeziora Bajkał. W tych badaniach Godlewski okazał się zdolnym konstruktorem hydrobiologicznej aparatury badawczej oraz menedżerem. Organizował wysyłkę okazów syberyjskiej fauny do warszawskiego Gabinetu Zoologicznego, skąd trafiały do innych europejskich muzeów, co zapewniało badaczom potrzebne środki. Za eksplorację Bajkału obaj z Dybowskim zostali nagrodzeni medalami Carskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, co w przypadku zesłańców było zupełnie wyjątkowe. Po powrocie z zesłania Godlewski ponownie osiadł w rodzinnej okolicy.

Medal im. Wiktora Godlewskiego

Po wręczeniu medalu "Za Działania na rzecz Przyrody". Od prawej laureaci dr Przemysław Bielicki i prof. Gabriel Brzęk, Boguty-Pianki, 1995 rok

lokalnych, reprezentujących różne dziedziny działań dla przyrody. Wśród wyróżnionych znalazły się postacie tak znane, jak dziennikarze Adam Wajrak („Gazeta Wyborcza”) i Józef Sobiecki (RadioDlaCiebie), pisarka naukowiec prof. Simona Kossak, profesorowie Ludwik Tomiałojć i Gabriel Brzęk, reżyserzy filmów przyrodniczych Joanna Wierzbicka i Krystian Matysek. Społeczność Bogut nigdy dotąd nie miała okazji spotkać się z tyloma wybitnymi osobami, które przyjeżdżały tu z całego kraju. Prelekcje laureatów przedstawiające ich nagrodzoną działalność były najlepszą formą różnorodnej tematycznie edukacji, przekazywanej „z pierwszej ręki”. Po tych sesjach panie z Koła Gospodyń gościły nas pysznym obiadem.

Miałem poczucie, że działając w tej inicjatywie i w znacznym stopniu będąc jej animatorem, przyczyniam się do sprawy pożytecznej, ważnej dla społeczności Bogut i dla upamiętnienia Wiktora Godlewskiego. Tę satysfakcję zepsuło mi zaskakujące zdarzenie: dyrektor Ośrodka Kultury i jednocześnie przewodniczący kapituły, bez porozumienia z pozostałymi członkami, przyznał medal „Za Działania na rzecz Przyrody” lokalnemu luminarzowi, który nie miał nic

wspólnego z ideą odznaczenia. Skrytykowany za ten kumoterski wybryk trwał przy swoim, uzasadniając, że funkcja przewodniczącego upoważniała go do takiego zadysponowania. Wobec jego nieustępliwej postawy wystąpiłem (nie sam) z kapituły i nie słyszę, żeby Medal im. Wiktora Godlewskiego był nadal przyznawany. To „unhappy end" tego pięknego przedsięwzięcia. Szkoda!

25/9. Gawrony i króliki

W latach 1974–1977 uczestniczyłem w kompleksowym programie badań dla rolnictwa koordynowanym przez prof. Jana Pinowskiego (rozdział 20). Jednym z zadań, które mi przypadły, było dostarczenie danych o wymaganiach pokarmowych i skłonnościach do drapieżnictwa u gawronów. Te pożyteczne ptaki, występujące wtedy u nas znacznie liczniej niż obecnie, były oskarżane o wyrządzanie szkód w zasiewach kukurydzy – uprawy wówczas lansowanej w rolnictwie. Do tego myśliwi przypisywali gawronom polowanie na małe zajączki, co miało być przyczyną obserwowanego spadku populacji tej zwierzyny. Miałem ze współpracownikami – Januszem Truszkowskim i Leszkiem Jaraczewskim – eksperymentalnie sprawdzić zasadność tych oskarżeń. W tym celu trzymaliśmy kilka gawronów w dużej wolierze Instytutu Ekologii PAN w Dziekanowie Leśnym i podawaliśmy im różne zestawy pożywienia, badając, „co lubią" i ile tego zjadają. Nasze gawrony nie potwierdziły tezy o preferencji do kukurydzy[73]. Natomiast ich smakołykiem okazało się surowe mięso, m.in. wydziobywane z nieżywych zwierząt. To nasuwało przypuszczenie, że jednak mogą być drapieżnikami wobec młodych zajączków. Żeby to sprawdzić, wpuściliśmy do woliery małe, ledwo samodzielne króliki mające spełnić rolę zajączków. Ten eksperyment budził nasze opory – nie chcieliśmy być świadkami scen, jakich się spodziewaliśmy, mimo że w przyrodzie zabijanie jest naturalną codziennością. Bardzo się zdziwiliśmy, gdy gawrony uciekły przed królikami na swoje wysokie „grzędy" i przez długi czas z nich nie schodziły. Później już tolerowały bliskość królików, nawet zaglądających im do misek z pożywieniem. To zakończyło nasz eksperyment wnioskiem, że gawrony nie mają skłonności drapieżnika w stosunku do małych zajączków. Ocalone króliczki, wcześniej już skreślone z inwentarza przy planowaniu eksperymentu, znalazły się w ogródku mojej mamy w podwarszawskiej Falenicy. Tam zaraz zaznaczyły swoją obecność podkopem do wypieszczonego ogródka sąsiadki, która przywitała je mniej tolerancyjnie niż gawrony w opisanym eksperymencie. Natomiast same gawrony zostały wypuszczone, z naszą wdzięcznością dla nich i nadzieją, że kilkumiesięczny „staż naukowy" (jednak uwięzienie!) nie pozbawił tych dorosłych ptaków samodzielności, zwłaszcza że była to pora roku (lipiec) sprzyjająca ich powrotowi do przyrody.

[73] M. Luniak, *Konsumpcja i trawienie pokarmów u gawrona* Corvus frugilegus L. *w warunkach woliery*, „Acta Ornithologica" 1977, nr 16(6), s. 213–240.

25/10. Bóbr ze skórki bobra

W latach siedemdziesiątych XX wieku byłem konsultantem przyrodniczych filmów telewizyjnych Joanny Wierzbickiej (1931–2017), jednej z najwybitniejszych krajowych twórczyń w tej dziedzinie. Joanna nie miała gruntowniejszej wiedzy przyrodniczej, ale przywiązywała wielką wagę do rzetelności swoich filmów. Bywałem więc z jej ekipą w terenie, a później oczekiwała drobiazgowej konsultacji montowanego materiału i tekstu komentarza. Pamiętam jednak przypadek, gdy świadomie złamała tę zasadę perfekcji merytorycznej. Było to przy kręceniu nad Biebrzą filmu, w którym ważnym obiektem miały być bobry. Teraz te zwierzęta są pospolite, ale wtedy stanowiły jedną z największych rzadkości naszej fauny. Liczyliśmy na „upolowanie ich" w okolicy Osowca, gdzie żyła rodzina bobrów chroniona przez strażnika rzecznego pana Lechocińskiego. Znałem go już wcześniej z bytności na Czerwonym Bagnie (rozdział 10). Teraz został zaangażowany jako tropiciel – miał wystawiać bobry do filmowania. I z tym właśnie była trudność, bo te zwierzęta, o aktywności głównie nocnej, w odludnej okolicy były szczególnie płochliwe. Przez kilka dni, mimo organizowanych zasadzek, nie udało się ich upolować kamerą. Nie pokazywały się w odpowiednich warunkach oświetlenia, potrzebnego przy ówczesnej technice filmowej. Gdy przyszedł termin wyjazdu ekipy był materiał ze ściętymi przez bobry drzewami i z ich „domem" (żeremie), ale to wszystko na nic bez nich samych. Więc „bóbr" z doprawionym ogonem został zrobiony z autentycznej skórki zwierzęcia, którą pan Lechociński miał z niewiadomego (oczywiście kłusowniczego) źródła. W ten sposób wywiązał się z roli tropiciela. Ten „bóbr" pływał ciągnięty na żyłce i tak umiejętnie został sfilmowany przez Andrzeja Żydaczewskiego, jednego z najlepszych operatorów w ówczesnej warszawskiej TVP, że ja puściłem to przy konsultacji materiału i kolaudacji filmu. Ten wspólny grzech umocnił naszą przyjaźń z Joanną. W latach osiemdziesiątych XX wieku usunięto ją z Telewizji za działalność w podziemnej „Solidarności", a nawet była więziona. Po zmianach politycznych w kraju zyskała pozycję światową jako organizator cyklicznego Międzynarodowego Festiwalu Filmów Przyrodniczych im. Braci Wagów w Tykocinie na Podlasiu.

25/11. Magistranci i doktorant z „Wielkiej Gry"

Z czasów, gdy prof. Kazimierz Dobrowolski („Kazik" – rozdział 9) był rektorem UW, pamiętam szczególną wymianę przysług między nami. Prowadziłem wtedy w Instytucie badania nad wykorzystaniem skrzynek lęgowych dla wzbogacenia awifauny parków (rozdział 20). Uczestniczyli w tym aktualnie kończący studia na Wydziale Biologii UW Wiesław Nowicki i Paweł Kozłowski, z którymi od dawna łączyła mnie współpraca i przyjaźń ornitologiczna. Badania te miały być ich pracami magisterskimi i zależało mi na kierowaniu nimi. Jednak procedura UW nie przewidywała, żeby promotorem magistranta był ktoś (jak ja) spoza uczelni. Moja rozmowa w tej sprawie z prof. Dobrowolskim, wówczas kierującym zoologią na UW, a jednocześnie rektorem, rozpoczęła się dialogiem: „Kaziu, mam do

Z Elą i dr. Marianem Stójem podczas „wizytacji" orłów w Beskidzie Niskim

ciebie prośbę" i „A ja do ciebie też". Zgodził się na przekazanie mi tych dwóch magistrantów, ale jednocześnie prosił, żebym wystąpił w jury popularnego programu telewizyjnego „Wielka Gra", który miała prowadzić jego żona, dr Hanna Dobrowolska. To był gorący okres stanu wojennego (1982 rok), kiedy naukowcy powszechnie bojkotowali współpracę z Telewizją. Zgodziłem się, bo temat programu był zupełnie apolityczny, a przede wszystkim zależało mi na tych dwóch magistrantach. Później przez wiele lat z Wieśkiem i Pawłem blisko współpracowałem w Instytucie i przyjaźnimy się.

Było jeszcze inne następstwo tego zdarzenia. Program telewizyjny „Wielka Gra", w którym miałem uczestniczyć jako juror, w tym przypadku polegał na rozpoznawaniu głosów ptaków i ja wybierałem do niego materiał dźwiękowy. Jednym z biorących udział w konkursie był mgr Marian Stój, wówczas nauczyciel licealny z Jasła. Niestety odpadł, mimo że jest doskonałym (tak!!!) znawcą ptasich głosów. Zawiniłem w tym, że do rozpoznania dałem mu mało charakterystyczne nagranie śpiewu pokrzewki ogrodowej (teraz nazywanej gajówką). W tamtych czasach zestaw nagrań ptasich głosów w telewizyjnej fonotece był ubogi. Mimo tego zniechęcającego doświadczenia po kilku latach pan Marian poprosił mnie o prowadzenie jego doktoratu, z którego później narodziła się książka[74]. Od tego czasu jesteśmy w bliskiej przyjaźni i kilkakrotnie na jego zaproszenie uczestniczyłem (ostatnio w 2021 roku) w „wizytacjach" gniazd orłów i orlików w Beskidzie Niskim i Bieszczadach, gdzie prowadzi badania nad nimi i zajmuje się ich ochroną. Przy tej okazji podziwiałem jak (przecież niemłody już) sprawnie wspina się do orlich gniazd na wiekowych jodłach. Do czasu niedawnego przejścia na emeryturę był dyrektorem Magurskiego Parku Narodowego.

[74] M. Stój, J. Dyczkowski, *Ptaki Jasła – liczebność, rozmieszczenie i ochrona*, Bogucki Wydawnictwo Naukowe, Poznań 2002.

Rozdział 26

PRZED ODLOTEM

Przypominając sobie teraz, „przed odlotem", swoje długie życie (czy cieszę się z tej długowieczności???), myślę, że ułożyło się ono dla mnie pomyślnie, mimo nieuniknionych nieszczęść (strat osób bliskich) i niepowodzeń. Z wyjątkiem pięcioletniego okresu wojennego dzieciństwa, mimo radykalnych zmian polityczno-społecznych w kraju, żyłem w czasach spokojnych i bezpiecznych[75], nie zaznałem też dotkliwego niedostatku materialnego. Miałem serdeczne oparcie w rodzinie i spełniałem się w relacjach osobistych. Ten wątek jednak nie był tematem tej książki (rozdział 1), mimo że splatał się z wydarzeniami w niej opisanymi. Miałem to szczęście, że od lat licealnych, podczas studiów i później, gdy pracowałem naukowo, łączyło się to z moim zamiłowaniem przyrodniczym (ptaki) i nadal jest moją radością. Był to więc dobry wybór drogi życiowej i zawodowej.

Z uczestnikami badań przyrody parku Skaryszewskiego, 2014 rok, fot. Magda Dziadosz

[75] Te wspomnienia kończą się na 2021 roku (rozdział 1).

Jako naukowiec starałem się nie tylko wnosić wkład do specjalistycznej wiedzy, ale też przekazywać ją do użytku w praktyce ochrony przyrody, w urbanistyce, w gospodarce zielenią miejską, w lotnictwie. Dużo uwagi poświęcałem popularyzacji wiedzy przyrodniczej – żeby służyła zaprzyjaźnieniu ludzi z dzikim życiem, przez lepsze poznanie go. Obok ponad 200 publikacji naukowych mam podobną liczbę popularnonaukowych – w wielkonakładowych gazetach, w pismach dla młodzieży, w różnych periodykach, broszurach, książkach. Udzielałem się też często w wywiadach prasowych, prelekcjach, ekspertyzach, konsultacjach naukowych (m.in. filmów telewizyjnych) i opracowaniach dla różnych instytucji. Przez 31 lat prowadziłem warszawskie koło ornitologów liczące ponad 100 członków – naukowców i amatorów ptasiego hobby. Te zaangażowania pozanaukowe pozwalają mi czuć się „pożytecznym" i łagodzą wyobcowanie, gdy z wiekiem ubywa osobistej atrakcyjności.

W pracy naukowej szczególną satysfakcję (i przyjemność współpracy!) dało mi kierowanie dużymi zespołami badawczymi, których uczestnicy przyłączali się nie na zasadzie przydziału służbowego, a z zainteresowania tematem i z zaufania do mnie. Były to dwa duże projekty badawcze inwentaryzujące awifaunę Warszawy (rozdział 17), w których uczestniczyło po około 50–60 ornitologów – amatorów i zawodowych. Później (2014–2015) zainicjowałem i koordynowałem kompleksowe badania przyrody parku Skaryszewskiego ze społecznym udziałem około 38 przyrodników różnych specjalności (rozdział 21).

Za swoich naukowych mistrzów („guru") uważam prof. Kazimierza „Kazika" Dobrowolskiego (rozdział 9) – w ornitologii, a w ekologii miasta – prof. Romana „Romka" Andrzejewskiego (rozdział 10) i prof. Herberta Sukoppa z Berlina (rozdział 21). Natomiast sam jestem wdzięczny za zaufanie naukowe sześciorgu doktorantom, których wypromowałem[76]. Ich prace wzbogaciły moją wiedzę w dziedzinie, którą zajmuję się, cenię też trwającą nadal osobistą przyjaźń z nimi.

Starość, mimo że nieuchronna i spodziewana, jednak zaskakuje odebraniem wielu przyjemności życiowych i osobistej przyszłości. Dotkliwe jest ubywanie osób, z którymi „było się" – bo odchodzą albo zanika wspólność z nimi. A własną perspektywę coraz bardziej ogranicza świadomość, że „już nie warto", „już nigdy tam nie będę", „nie będę tego robił albo tego potrzebował…", że cofam się – umysłowo, fizycznie, w relacjach, w dokonaniach. Otoczenie nie zawsze dostrzega te narastające niedostatki, pamiętając (i nadal traktując) mnie, jakim „byłem", czemu coraz trudniej mi sprostać. Ale trzeba też przyznać, że starość zwalnia z różnych ciążących powinności, doświadcza się też więcej życzliwości – „litościwej" albo dlatego że już nie jestem konkurentem w życiowym współzawodnictwie. Czy śpiewając kiedyś w różnych radosnych okolicznościach akademicki hymn *Gaudeamus igitur*: „Post iucundam iuventutem, post molestam senectutem, nos habebit humus" myślało się o tym jego przesłaniu?

[76] Marian Stój (obrona doktorska w 1992 roku), Wiesław Nowicki (w 1997 roku), Andrij Bokotej z Ukrainy (w 1999 roku), Beata Dulisz (w 2001 roku), Łukasz Rejt (w 2007 roku) i Andrzej Węgrzynowicz (w 2013 roku).

Te refleksje „przed odlotem" kończę wersem z piosenki *Słowik*[77] Leonarda Cohena, barda, którego twórczość szczególnie lubię:

Mój słowiku, żegnaj mi
Zdobiłeś moje życie
Ty gdzieś na pewno śpiewasz dziś
Lecz ja cię już nie słyszę.

Gdziekolwiek mieszkałem – zawsze na balkonie lub w ogródku wieszałem skrzynkę dla szpaka (rozdział 23), który jak słowik z piosenki Cohena śpiewem i bliską ptasią obecnością „zdobił moje życie".

Maciej Luniak, grudzień 2021 roku

[77] *Słowik* (ang. *Nightingale*) na płycie *Boogie Street. Renata Przemyk śpiewa piosenki Leonarda Cohena*, tłum. D. Wyszogrodzki, Teatr Stary w Lublinie, Wydawnictwo Agora, 2017.

W swoim domu
na Starych Bielanach,
grudzień 2022 roku

Maciej Luniak (ur. 1936 w Warszawie)

Profesor doktor habilitowany, zoolog ornitolog specjalizujący się w ekologii miasta.

Studiował (mgr w 1959) i uzyskał doktorat (1968) na Wydziale Biologii UW, habilitację (1978) otrzymał w Instytucie Ekologii PAN, a tytuł profesora (1992) od prezydenta Lecha Wałęsy. W latach 1960–2004 był pracownikiem naukowym w Muzeum i Instytucie Zoologii PAN, w którym pełnił m.in. funkcje zastępcy do spraw naukowych dyrektora Instytutu (1982–1991), członka Rady Naukowej (1981–2014), redaktora naczelnego międzynarodowego czasopisma „Acta Ornithologica" (1995–2003) i kierownika Pracowni Ornitologicznej (1996–2002). Wypromował sześciu doktorantów (1991–2013). Obecnie (od 2004) emeryt na prawach profesora współpracownika Instytutu.

Głównym przedmiotem jego zainteresowań badawczych, ale także zaangażowania na rzecz praktyki proekologicznej jest awifauna (ptaki) i szerzej żywa przyroda miasta. Autor (do 2021) około 213 publikacji naukowych i około 244 popularnonaukowych poświęconych głównie przyrodzie środowiska miejskiego, w szczególności Warszawy. Kierował m.in. dwoma inwentaryzacjami awifauny tego miasta (opublikowane w latach 1964 i 2001), reintrodukcją sokoła wędrownego w Warszawie (1995–1999), prowadził badania nad awifauną zieleni miejskiej i warszawskich osiedli mieszkaniowych. Jest współautorem książki o ptakach Warszawy (1974), rozdziałów w książkowych monografiach przyrodniczych Lasu Bielańskiego (1982), Warszawy (2005 i 2009), koordynatorem, redaktorem naukowym i współautorem obszernych monografii książkowych przyrody dzielnicy Bielany (2010 i 2013) i parku Skaryszewskiego (2021). Opracował liczne ekspertyzy i uczestniczył w gremiach konsultacyjnych w dziedzinie ochrony/kształtowania przyrody miasta, m.in. Lasu Bielańskiego, projektu rewaloryzacji parku Skaryszewskiego i warszawskiej Wisły (od 2011). Był współorganizatorem amatorskiego ruchu ornitologicznego w Warszawie – przez 31 lat (1960–1991) kierował Kołem Warszawskim Polskiego Towarzystwa Zoologicznego – klubem tej społeczności.

Odznaczony przez PAN Złotym Krzyżem Zasługi (1988), a za działalność na rzecz warszawskiej przyrody otrzymał Nagrodę Miasta Stołecznego Warszawy (2017), Odznakę Honorową Zasłużonego dla Warszawy (2018), odznaczenie „Kamień Kamionka" (2019), dyplom „Bielański Autor" (2021) i honorowe członkostwo Towarzystwa Przyjaciół Warszawy (2021).

Hobby – obserwowanie ptaków i obcowanie z przyrodą, jazda na rowerze.

Trzeba mieć niezwykłą wrażliwość, żeby zauważyć dziką przyrodę w tak przekształconym środowisku jak miasto. Trzeba być człowiekiem naprawdę ciekawym świata, żeby w tej miejskiej przyrodzie, z pozoru błahej i nieciekawej, dostrzec ważny temat naukowy i badawczy. Trzeba mieć niezwykłą odwagę, żeby stawać w obronie tej przyrody, tak trudnej do obrony w przeciwieństwie do spektakularnych dziczy. Przecież dla wielu sprowadza się ona do krzaków i nieużytków, dla których w miastach nie powinno być miejsca. Maciej Luniak ma to wszystko. Bardzo polecam jego autobiografię. Z niej dowiadujemy się, jak to się stało, że tak niezwykły człowiek pojawił się wśród nas i dlaczego dla tak wielu ludzi kochających przyrodę jest mistrzem i nauczycielem.

Adam Wajrak

Książka jest spojrzeniem wstecz na prawie już dziewięć dekad mojego życia. W pierwszych rozdziałach opowiadam, jak moja rodzina, polska od trzech pokoleń, wyrosła z korzeni czterech narodowości. Opisuję widziane oczami dziecka czasy okupacji i realia dorastania w latach powojennych. Wspominam, jak znalazłem swoją życiową fascynację i drogę zawodową – ptaki. Nie jest to jednak pamiętnik z życia osobistego i rodzinnego. Główna część książki dotyczy tego, czym zajmowałem się jako przyrodnik.

Maciej Luniak

Maciej Luniak – zoolog ekolog. Jego specjalnością i hobbystyczną fascynacją są ptaki (ornitologia), a w szerszej działalności proekologicznej – żywa przyroda miasta.

Warszawa Bielany

MULTICO
Oficyna Wydawnicza